

THRILLER PSYCHOANALITYCZNY

# S NI O HIROSZIMIE NY

w  
ydawnictwo  
ab

JOANNA  
RUDNIAŃSKA

Joanna Rudniańska

# SNY O HIROSZIMIE



Copyright © by Joanna Rudniańska, MMXIX

Wydanie I  
Warszawa, MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

I

Przy śniadaniu

Janina

Babka Tower. Dramat

Babka Tower. Scena 1

Babka Tower. Scena 2

Babka Tower. Scena 3

Babka Tower. Scena 4

II

W samolocie

Weekend na Krecie

Babka Tower. Scena 5

III

Na lotnisku

Bliźniaczki

Babka Tower. Scena 6

IV

W księgarni

Hiroszima

Babka Tower. Scena 7

V

[W hotelu](#)

[SMS](#)

## [VI](#)

[W samochodzie](#)

[Fukushima](#)

[Babka Tower. Scena 8](#)

## [VII](#)

[Na spacerze](#)

[Rozstanie](#)

## [VIII](#)

[W pociagu](#)

[„Hiroshima No Pika”](#)

[Babka Tower. Scena 9](#)

## [IX](#)

[Na poczcie](#)

[Arkadia](#)

## [X](#)

[W szkole](#)

[Epicentrum](#)

[Babka Tower. Scena 10](#)

[Babka Tower. Scena 11](#)

[Babka Tower. Scena 12](#)

[Na targu śniadaniowym](#)

## [Podziękowania](#)

Moim dzieciom, według starszeństwa: Mateuszowi,  
Łukaszowi, Berenice

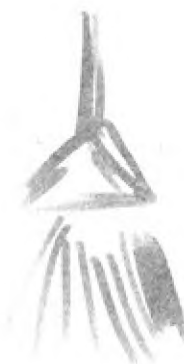
Do potraw *sashimi* i *sushi* ryby i inne dary morza kroi się w plastry, paski i kostki. Używa się specjalnego, długiego, bardzo wąskiego noża do krojenia surowej ryby. Każde cięcie wykonane jest jednym ruchem, nóż zagłębia się w rybę całą długością – od nasady trzonka do czubka ostrza.

*Kuchnia japońska*, wyd. Astrum, Wrocław 1993, tłum. Anna Wojtkiewicz

ひろしまにっこのゆめ

Hiroshi Tamura, kaligrafia tytułu *Sny o Hiroszynie*, znaki japońskie

# W AMERYCE



ALE TATA!  
RUSKI WZIAŁ  
NASZĄ WALIZKĘ



TATA TO BĘDĄ  
TAK STRZELI  
SOBIE SAMOBÓJĄ





## Przy śniadaniu

**ONA:** *A gdybyś był Hitlerem i miał bombę atomową, to co byś zrobił?*

**ON:** *Nie mógłbym być Hitlerem.*

**ONA:** *A jakbyś był? I miałbyś bombę?*

**ON:** *Nie mógłbym być. Nie miałbym.*

**ONA:** *No pomyśl. Jesteś Hitlerem i masz bombę. Mógłbyś jedną bombą zabić mnóstwo Żydów. Może nawet wszystkich, gdyby ta bomba była wielka. W '61 Ruscy wybuchli taką wielką bombę. Nazywali ją Car. Najpierw mówili na nią Wielki Iwan, a potem Car. Carbomba. To była Bomba Pierwszy Sekretarz, Bomba Generalissimus. Nie było większej. Ciekawe, jak byś ją nazwał, jakbyś był Hitlerem i byś ją miał. Kanclerz? A może dałbyś jej swoje imię, Adolf?*

**ON:** *Może Blondi, jak pies Hitlera, suka owczarka alzackiego. Bomba Blondi.*

**ONA:** *To jak, spuściłbyś Blondi na Żydów?*

**ON:** *Nie, to niemożliwe. Musiałbym najpierw zwieźć ich wszystkich w jedno miejsce, oddalone od wszystkich innych.*

**ONA:** *Nie martw się. Na pewno by ci się udało.*

## Janina

Zanim pojawi się Janina, trzeba powiedzieć, jak wygląda Bibi.

Wysoka, elegancka, nerwowa.

To, że jest śliczną brunetką o ostrych rysach, wydaje się w jej wypadku drugorzędne.

\*

Gabinet na szesnastym piętrze Babka Tower jest wysoki i przestronny. Przez balkonowe okno wlewa się niebo. Jeszcze trwa jaskrawe popołudnie, ale z kątów wypełza już zmierzch i kładzie się na parkiecie smugami cienia.

Na ścianie obraz: szara ulica i stary niebieski autobus. Kiedyś mówiło się na taki pekaes. Miejsce kierowcy jest puste, a przez okna wyglądają dwie identyczne dziewczynki, siedmiolatki z czarnymi warkoczykami. Innych pasażerów nie widać. Niebo nad autobusem wygląda jak pokryte srebrnoszarą rybią łuską. Obraz jest dziwny i niepokojący, ale tylko Bibi widzi go podczas sesji, bo wisi naprzeciw jej fotela, pacjent ma go za plecami. Na przeciwległej ścianie spokojny pejzaż, widok na rozległą równinę, oświetlone czerwonym słońcem potargane rzysko. Przecina je zarośnięta suchymi trawami polna droga, dzieląca obraz na dwie połowy. Ten właśnie krajobraz widzi pacjent podczas rozmowy z psychoterapeutką.

Kobieta, która wchodzi do gabinetu, jest wysoka i potężna, ale rusza się lekko jak kot. Jej twarz wydaje się Bibi znajoma. A może nawet bliska? Janina. Ale nie, Bibi nie znała nikogo o tym imieniu. Kobieta mówi, że nazywają ją Janine, Żanin, po ciotecznej babce, która mieszkała w Paryżu. Mówi, że nie umie żyć i chciałaby się tego nauczyć.

Podczas pierwszego spotkania Bibi robi wywiad. Pytania, odpowiedzi, notatki. Janina długo patrzy na jej pantofle, szpilki w kolorze pomarańczy. Jej mokasyny w porównaniu ze szpilkami Bibi są ochraniaczami na stopy, niczym więcej.

W pewnej chwili Janina rozgląda się dookoła, jakby czegoś szukała.

— Nie ma tu kozetki? — pyta.

— Nie. Ten fotel chyba jest wygodny.

— Szkoda. Kiedyś o tym marzyłam — mówi.

— O czym pani marzyła?

— Wyobrażałam sobie, jak leżę na kozetce i zwierzam się przystojnemu...

— Psychoanalitikowi oczywiście — mówi Bibi.

— Może samemu Freudowi. Ale Freud był zbyt stary, aby być przystojny. Jeszcze te brzydkie okulary.

— Według mnie nigdy nie był przystojny, nawet gdy był młody.

— No to mogę siedzieć w fotelu — mówi Janina.

Bibi notuje swoje spostrzeżenia, ale nie ma w nich na przykład nic o włosach: że rude włosy Janiny są jak z obrazów prerafaelitów. Gdy Janina po raz pierwszy siada w fotelu, Bibi przypomina sobie lady Lilith, siedzącą na tle ciemności usłanej różami. To pocztówka, którą przysłał jej Adam, reprodukcja obrazu Rossettiego.

Gdyby nie te włosy, Janina byłaby zupełnie kimś innym. Na pewno nie przypominałaby Lilith. Nie jest nawet ładna! I tak okropnie się ubiera. Biała, batystowa bluzka o kroju koszuli nocnej, sprane dżinsy opinające grube uda, zniszczone mokasyny. Ale te jej przepiękne włosy starczą za wszystko.

# **Babka Tower. Dramat**

## **Osoby**

### **BIBI**

psychoterapeutka. Jest szczupłą brunetką koło czterdziestki, zawsze elegancko ubrana, uczesana, zawsze w tym samym stylu.

### **JANINA**

pacjentka Bibi, też koło czterdziestki, wysoka i potężna, można powiedzieć, że gruba. Ma przepiękne rude włosy, burzę włosów, kręcone, sięgające do połowy pleców. Za każdym razem wygląda inaczej: czasem jest zaniedbana, w zniszczonych butach i spodniach, czasem ubrana w sposób wyszukany i oryginalny. Jej twarz jest za każdym razem jakby inna.

### **MŁODA KOBIETA**

ma długie, prawie białe, tlenione włosy. Drobna, ubrana na czarno. Pacjentka Bibi.

### **PAN SUZUKI**

Japończyk, ma około 80 lat. Wygląda na sportowca. Szczupły. Pacjent Bibi.

### **ADAM**

kochanek Bibi. Występuje tylko jako domniemany interlokutor w rozmowach telefonicznych, raz w scenie erotycznej widzianej przez okno, niewyraźnie. Właściwie go nie ma.

### **MĘŻCZYŻNA**

bardzo chudy, ma około 50 lat. Pacjent Bibi.

## **Scena**

Gabinet Bibi. Wnętrze widać od drzwi wejściowych. Zazwyczaj Bibi i jej pacjent siedzą na dwóch fotelach, ustawionych naprzeciw siebie, tak że

publiczność widzi ich profile, chyba że ustawią się inaczej. Dalej, trochę z boku, widać wielkie balkonowe okno, za nim barierkę balkonu i niebo. Z drugiej strony biurko Bibi. Czasem scena obraca się o 180 stopni i widzimy gabinet od strony balkonu, przez balkonowe okno.

## Babka Tower. Scena 1

*Bibi: szara sukienka J. Crew 135 US\$, pomarańczowe szpilki Pollini 440 €, stalowo-złoty naszyjnik Jacek Byczewski 560 zł.*

*Janina: dżinsy H&M 79,99 zł, bluzka India Shop 49 zł, mokasyny Scholl 299 zł, bransoletka wikingów ze stalowej liny ze smoczymi głowami West Wolf Renaissance 34,99 US\$ na eBayu.*

*Janina i Bibi siedzą naprzeciwko siebie.*

JANINA

Nie umiem zaakceptować pewnych rzeczy, które i tak nie zależą ode mnie. Czy powinnam na przykład przyzwycząć się do tego, że mąż kocha inną kobietę? Może powinnam to zaakceptować. Zrozumieć go i zaakceptować. Czy pani też tak sądzi?

BIBI

Możemy o tym porozmawiać.

JANINA

Przedtem, przedtem też miał kochanki, nawet raz czy dwa był bardzo zaangażowany. Ja też zdradziłam go kiedyś, ale to nie miało żadnego znaczenia, to niczego między nami nie zmieniło. A teraz wszystko się zmieniło, to było tak nagle, wszedł do domu, a ja pomyślałam, że wsiadł na statek i popłynął do Ameryki. Nawet nie był na mnie zły, że jestem, nie, nic takiego, po prostu byłam już dla niego tylko wspomnieniem, może nawet przyjemnym, ale wspomnieniem. To dziwne, być czyimś wspomnieniem. Uśmiechnął się do mnie, ale nie pocałował mnie na powitanie. Do wspomnień można się uśmiechać, ale ich się nie całuje, prawda? Zrobiłam na kolację kluski kładzione z łososiem. Dodałam do ciasta na kluski trochę mąki gryczanej, gryka pasuje do łososa. No i sos ze śmietany i masła. Rozmawialiśmy o dzieciach. Przyszedł pies i mąż zaczął go pieścić. Nawet nie lubi tego psa, to jest mój pies. Pocałował go, chociaż ten pies jest już strasznie stary i okropnie śmierdzi. Nigdy

przedtem go nie całował. Ja też go nie całuję, ale dzieci tak, one często go całują. Spytałam, co się stało, ale mąż nie usłyszał tego pytania, tak bardzo zajęty był psem. Potem znów go spytałam, ale on mi nie odpowiedział. Pewne moje wypowiedzi w ogóle do niego nie dochodziły, nie słyszał ich. Czytałam kiedyś takie opowiadanie, ktoś umarł, ale wciąż chodził wśród żywych, mówił do nich, a oni go nie słyszeli. Nawet pomyślałam, że umarłam. To podobno może zdarzyć się naprawdę, ktoś umrze, ale o tym nie wie i nie może odejść, nie widzi nawet tego tunelu, którym się odchodzi. Nie, nie myślę tak, wiem, że żyję, ale gdybym zobaczyła taki tunel pełen światła, to weszłabym do niego.

## BIBI

Co było potem?

## JANINA

Potem oglądaliśmy telewizję, siedzieliśmy obok siebie na kanapie. Nie opuściłam rolet. Padał deszcz. Widziałam światło latarni, która stoi pod naszym domem. Gdy pada deszcz, latarnia świeci trochę inaczej. Słyszałam szum ulicy zmieszany z szumem deszczu i głos lektora, ale nie mogłam zrozumieć, co mówi. Nie rozróżniałam słów. Położyłam rękę na kolanie męża, ale on tego nie poczuł. Pomyślałam, że nie powinnam kłaść ręki na jego kolanie, że to nie wypada, zdjęłam więc rękę z jego kolana i położyłam na swoim. Próbowałam zrozumieć, co mówi lektor, ale sprawiało mi to wielką trudność. To był bardzo zły lektor, nie umiał czytać na głos, źle akcentował i nie oddzielał słów, dziwne, że mąż tego nie skomentował, jest bardzo czuły na takie rzeczy. Pies oddychał głośno, słyhać było, jaką trudność mu to sprawia, a jeszcze wzdychał i poszczekiwał przez sen, mówiłam, że jest stary. Biedny kundel, myślałam, że mieszańce nie chorują i nie starzeją się, ale to nieprawda. Były jeszcze inne hałasy, sąsiedzi chodzili na górze i pralka była włączona, pralka też była stara, więc skrzypiała co jakiś czas. Nie mogłam tego znieść i zatkałam uszy rękami, i wtedy dopiero mogłam skupić się na filmie. To był bardzo ładny film, o wojnie i o miłości. Działo się to w Paryżu. Teraz już mamy nową pralkę i nie skrzypi. Pod filmem był pasek z napisami i pisali raz za razem, że na Haiti zginęło sto tysięcy ludzi. Trzęsienie ziemi, pamięta pani? Pomyślałam, że to



trzęsienie ziemi dotarło do nas, do mnie i męża, ale zaraz zrobiło mi się wstyd, bo przecież siedzieliśmy na kanapie, a dzieci spały w swoim pokoju, nawet pies nie zginął. Próbowałam sobie wyobrazić te sto tysięcy ludzi, które zginęły pod zwałami ziemi i zburzonymi domami, ale nie potrafiłam. Nawet nie potrafiłam im współczuć. Byłam oddzielona, rozumie pani. Było to takie straszne, że się popłakałam. Było mi strasznie wstyd, ale nie mogłam przestać płakać. Mąż pytał, co się stało, i prosił, żebym się uspokoiła, nawet mnie przytulił i głaskał mnie po włosach, ale równie dobrze mogłyby to być włosy jakiejś obcej osoby, jakiejś kobiety, która straciła rodzinę w tamtym trzęsieniu ziemi. Na szczęście dzieci się nie obudziły. Prawie trzy miesiące upłynęły od tamtego dnia, a ja do tej pory nie wiem, czy powinnam się na to godzić, czy nie.

BIBI

A co by znaczyło w praktyce, że pani się na to nie zgodzi?

JANINA

Jeszcze nie wiem. Najpierw muszę wiedzieć, czy mam się na to godzić, czy nie.

BIBI

Czy mogłaby pani powiedzieć jeszcze raz, na co miałaby się pani godzić lub nie? Powiedzieć dokładnie, konkretnie. Proszę spróbować.

JANINA

Czy mam być żoną mężczyzny, który kocha inną kobietę. Czy to jest konkretnie?

BIBI

Oczywiście. Czy pani jest pewna, że mąż kocha inną kobietę?

JANINA

Mówiłam już. Przyszedł do domu, ale go nie było. I do tej pory tak jest. Jestem dla niego, no wie pani, nie wiem, jak to nazwać. Nieistotna. Jakby mnie nie było. Nawet nie złości się na mnie. Jak w *Mistrzu*

*i Małgorzacie.* Pamięta pani, jak Mistrz spotkał Małgorzatę? Powiedział, że mieszka z tą... i pstryknął palcami. (*Janina robi taki właśnie gest*). Zapomniał jej imienia. Miał żonę, mieszkał z nią, a nagle strzepnął palcami i już jej nie było, przestała istnieć. Jak czytałam ten kawałek, żal mi było tamtej kobiety. Małgorzata była taka piękna i wyjątkowa, nigdy nie mogłabym nią być. Ale tamtą kobietą — tak. Szkoda, że nie napisał o niej więcej. Myślę o niej czasami.

BIBI

Proszę pomyśleć o swojej matce. Opowiadała mi pani, jak matka płakała, gdy ojciec nie wracał na noc. Wiele razy staliście pod drzwiami sypialni matki, trójka dzieci, i słuchaliście jej płaczu. Nigdy nie weszliście do niej, prawda? Może pani bierze na siebie cierpienie swojej matki. Może pani czuje się zdradzona przez ojca, wciąż to pani czuje. Czy pomyślała pani o tym, że może pani męża zaprzętają inne sprawy?

JANINA

Wiele spraw go zaprzęta. Zawsze tak było. Ale teraz jest inaczej. Ktoś przeciął nas na pół. A ja jestem tą częścią, która została amputowana.

BIBI

Co pani ma na myśli?

JANINA

Odcięto mnie i od tamtej pory jestem tylko fantomem w głowie męża. Ale nie bolę go, wiem. To moja matka miała bóle fantomowe. Chociaż ręka, która ją bolała, dawno spłonęła w jakiejś spalarni, na pewno.

BIBI

Pani matka nie miała ręki? Nic pani nie mówiła. Kiedy pani matka straciła rękę?

*Leżący na stole telefon komórkowy mruga światełkiem i mruczy. Bibi patrzy na niego przez chwilę, widać, że oderwało ją to od rozmowy.*

JANINA

Nie wiem. Podobno miała wypadek, jeszcze zanim poznała ojca. Od kiedy pamiętam, nie miała lewej dłoni, to przecież nie była choroba. Miała protezę i zawsze nosiła koronkowe rękawiczki, popielate albo liliowe, a gdy szła do teatru, czarne. Śliczne. Nie musiała nic robić, babcia Tola wszystko robiła, a jak nie było babci, to byliśmy my, dzieci. Moja matka też była śliczna. Tylko te bóle fantomowe. Wydawało jej się, że lodowe obcęgi miażdżą jej palce. Jak to przychodziło, jej oczy robiły się zupełnie białe. Musiała brać morfinę, rozumie pani, prawda?

BIBI

Matka mówiła pani o swoich bólach, opisywała je?

JANINA

Nie, nie pamiętam. Chyba nie.

BIBI

To skąd to porównanie do obcęgow z lodu? Tak pani wyobrażała sobie ból?

JANINA

Zawsze tak myślałam, nawet jak byłam bardzo mała, że szarpia ją lodowe obcęgi. Nie wiem dlaczego. Pewnie brat nam mówił, on wszystko wiedział.

BIBI

Widziała pani kiedyś protezę matki bez rękawiczki? Albo sam kikut?

JANINA

Tylko raz, w dzieciństwie. Nie poszłam wtedy do przedszkola, bawiłam się w dużym pokoju, a matka wróciła z miasta. Chyba nie wiedziała, że jestem w domu. Siedziałam pod stołem, to był mój dom, a babcia hałasowała garnkami w kuchni. Matka usiadła przy stoliku pod oknem, zdjęła rękawiczkę z prawej dłoni, a potem zdjęła lewą dłoń, całą. Ten kawałek ręki, który został, był trochę czerwony i trochę siny. Wyglądał

okropnie. Matka włożyła sobie papierosa do ust i przypaliła go. W lewej ręce trzymała pudełko zapalek, chociaż nie miała tej ręki. To wyglądało tak, jakby pudełko unosiło się w powietrzu samo. Wtedy uwierzyłam, że boli ją naprawdę, że ta ręka wciąż jest, chociaż jej nie widać.

*Bibi odwraca głowę w stronę okna. Jakby nie chciała tego słuchać.*

BIBI

Mówiła pani komuś o tym? Bratu, siostrze?

JANINA

Nigdy. To była moja tajemnica.

BIBI

A potem, gdy pani dorosła, co pani myślała o tamtym zdarzeniu?

JANINA

Nic. Nigdy o tym nie myślałam. Zapomniałam, przypominałam to sobie dopiero teraz.

BIBI

A gdy pani matka umarła, jak to było? Co pani czuła? Myślała pani wtedy o jej dłoni?

JANINA

Spaliłam ją. Nie mogłabym znieść myśli, że leży w trumnie bez ręki. Nie mogłabym jej tak zostawić. I już byłam spokojna, poczułam, że odzyskała swoją rękę, że jest już cała.

*Janina zrywa się z fotela, otwiera szeroko uchylone drzwi i wychodzi na balkon. Bibi powoli idzie za nią, ale nie wchodzi na balkon. Zostaje w pokoju. Janina podchodzi do wysokiej balustrady.*

JANINA

Co za widok. Chciałabym mieszkać tak wysoko. Świetne. Ten plac przed Arkadią wygląda jak rynek jakiegoś miasteczka.

BIBI

Powinnyśmy już skończyć.

JANINA

Wszystkie cmentarze stąd widać. Musi to ślicznie wyglądać nocą, jak na grobach palą się znicze.

BIBI

Palą się tylko na Wszystkich Świętych. To już koniec na dziś. Zobaczymy się za tydzień.

*Żegnają się, Janina wychodzi. Bibi bierze komórkę ze stołu i dzwoni. Trzyma chwilę telefon przy uchu. Kasuje połączenie, odkłada telefon. Zapala papierosa i wychodzi na balkon.*

***Koniec sceny 1***

W czarnym ceratowym płaszczyku, mokrym od przelotnego deszczu, wbiega do mieszkania. Z jednej strony jest pewna, że wszystko jest w porządku, a z drugiej – zawsze przecież może zdarzyć się coś złego. Matka siedzi w pracowni i rysuje. Bibi oddycha z ulgą. Matka podnosi głowę i uśmiecha się.

— Mamo, jak mogłaś! — krzyczy Bibi.

Zaciska pięści i wsuwa je do kieszeni płaszcza.

— Przestań. O co ci chodzi?

— Przysłałaś mi esemesa. Jak możesz mi przysyłać takie esemesy? I dlaczego nie odbierasz telefonu?

— Pracuję. Przeszkadzasz mi — mówi matka.

Bibi patrzy na rysunek i łzy napływają jej do oczu. Bazgroły, bezmyślne, idiotyczne bazgroły. Nieudolnie, schematycznie naszkicowane twarze, sylwetki ludzi, drzewa, zwierzęta, domy. Linie, spirale, okręgi. Litery, słowa. Wszędzie kartki, na rysownicy, na parapetach, na podłodze. Pokryte ołówkowymi rysunczkami, bazgrołami, jakby matka rysowała z nudów, siedząc na wykładzie lub zebraniu. A zaledwie trzy lata temu miała wystawę obrazów w Berlinie!

— Mamo, co ty robisz?

— Pracuję, córeczko.

— Mamo — mówi Bibi, nagle pochyla się i całuje matkę w policzek.

Idzie do kuchni, nie zdejmując płaszcza, siada na krześle i zapala papierosa. Wyjmuje telefon i jeszcze raz czyta esemesa od matki. Jedno słowo. UMIERAM. Jak zawsze.

Otwiera laptop i wchodzi na fejsbuka. Pisze na swoim profilu, że ma zamiar iść na spacer. Adam je kolację w domu. Tym razem jest to kurczak po seczuańsku. Trochę za ostry, ale świetny, to właśnie Adam napisał u siebie. Musi być ostry, jeśli po seczuańsku, komentuje Bibi i wyobraża sobie Adama siedzącego przy kuchennym stole i bawiącego się swoim ajfonem. Po kwadransie, gdy już zjadła kanapkę i kończy herbatę, dostaje esemesa. Dwa słowa: „za godzinę”. Oznacza to, że za godzinę spotkają się w jej gabinecie, w wieżowcu Babka Tower.

— Napijmy się, Beatrycze — mówi Adam i przesuwa butelkę w stronę Bibi. To burgund. Właśnie taki jest Adam, kupuje dobre wino, aby wypić je wprost z butelki, siedząc z Bibi na balkonie i patrząc na księżyc. Siedzą przy stoliku ze szklanym blatem, jak w kawiarni.

— Coś się stało. Coś cię gryzie — mówi Adam.

Bibi przez chwilę ma ochotę opowiedzieć mu o tych esemesach od matki, ale milczy. Mają niepisaną i niewypowiedzianą umowę — nie rozmawiają o sprawach rodzinnych: ona nie opowiada mu o matce, on o żonie i dzieciach, czasem tylko wspomina o psie, jamniku bez jednej nogi. Tak jest lepiej, Bibi nie miałaby ochoty słuchać o tym, że nic go już nie łączy z żoną i że od dawna ze sobą nie sypiają. Słyszała to kilka razy, nie tylko od swoich pacjentów. A ona sama jak mogłaby komukolwiek wyznać, że jej matka, sławna malarka, bazgrze jak wariatka?

— Pacjent, prawda? — pyta Adam.

— Pacjentka. Mąż ją zdradza.

— Niezwykła historia.

Adam śmieje się głośno. Bibi sięga po papierosa.

Adam jest jedyną osobą, która zwraca się do Bibi jej oficjalnym imieniem, Beatrycze. Tylko czasami mówi do niej „Bi”.

Ten wieczór, jak wiele poprzednich, kończy się na podłodze w gabinecie Bibi. Leżą na karimatach i kocach. To romantyczne i niezobowiązujące, jakby byli studentami na wędrownym obozie w Bieszczadach. I pasuje do pitego z butelki wina. Wielkie okno jest odsłonięte, księżyc wciąż świeci, mniejszy niż przed kilkoma godzinami i już na innym kawałku nieba. Adam śpi. Bibi owija się kocem i wychodzi na balkon. Zapala papierosa. Widzi ciemne plamy cmentarzy: Powązki Cywilne i Powązki Wojskowe, Żydowski, Ewangelicki, Prawosławny...

Myśli o matce. Matka kupiła sobie kwaterę na Wólce. Nie zobaczy jej grobu ze swojego okna.

Bibi patrzy na siebie z zewnątrz, zza okna lub z głębi lustra.

Ostatnio najbardziej razi ją schemat, model jej życia; czterdziestoletnia bezdzietna kobieta pomiędzy dominującą matką a dojmującą miłością. Miłością? Czy to właśnie ma być miłość? Ten czarny, półprzejrysty hidżab, który nagle spadł na jej głowę, gdy w jakimś pubie, na czyichś urodzinach, odwróconą szklanką przykryła włochatego pajaka krocącego po niklowanym barze, właśnie w tym momencie, w którym miał zginąć od uderzenia zwiniętą gazetą.

— Nie zabija się pajaków — powiedziała.

— I nie dobija się koni — dodał wysoki, trochę już szpakowaty facet o ciemnych, wąskich oczach pod wyrazistymi brwiami, stojący tuż za

nią. Wyjął czarnego moleskina i wydarł z niego kartkę, aby mogła wsunąć ją pod szklankę i wynieść pająka na ulicę. Dopiero tam zobaczyła, że jest to tytułowy kartonik, z nazwiskiem, mejlem i telefonem właściciela, a również innymi telefonami, nabazgranymi byle jak ołówkiem. Chciała go oddać, ale facet zniknął jej z oczu. Więc zatelefonowała następnego dnia. Spotkali się w tym samym pubie, pustym i ciemnym z powodu wczesnej pory. I tak to się zaczęło, od pająka pod szklanką.



## **Babka Tower. Scena 2**

*Bibi: szara sukienka Margaret Howell 204 US\$, szare sandały na obcasach Marni 190 US\$ na eBayu, bransoletka z rodowanego srebra z kryształem Apart 239 zł.*

*Janina: mała czarna Herve Leger 2002 rok, 1770 zł, transparentny płaszczyk Top Shop 300 zł, czarne kalosze Hunter 150 US\$, perły po babci.*

## Odłona 1

*Okno balkonowe szeroko otwarte, jest mglisto, ale bardzo jasno, światło ostre i rozproszone. Janina stoi tuż przy oknie, tyłem do pokoju. Wygląda olśniewająco, jej foliowy przezroczysty płaszcz jest jak prześwietlony blaskiem klosz. Bibi podchodzi i staje za nią, ale Janina jakby tego nie zauważa.*

BIBI

Jest pani dziś bardzo elegancka.

JANINA

Po terapii idę na przyjęcie. Idziemy z...

*Janina pstryka palcami.*

BIBI

Zapomniała pani, z kim idzie na przyjęcie?

JANINA

To cytat. Udaję, że nie pamiętam. Dziwna ta mgła. I to niesamowite światło. Z dołu nie widziałam pani okna, zawsze patrzę. A stąd nie widać nawet Arkadii. Czuję się jak w batyskafie, w wodzie, w morzu.

BIBI

Możemy zacząć?

*Janina odwraca się, ale wciąż odwleka ten moment, w którym ma zacząć się terapia. Staje przy biurku. Bierze do ręki ramkę z obrazkiem, która stoi na biurku. Ogląda ją.*

JANINA

Znam tę pocztówkę. To *Lady Lilith* Rossettiego. Taką samą pocztówkę przysłał mi mąż z Ameryki.

BIBI

Pani mąż był w Ameryce? Długo?

JANINA

Nie. Miesiąc albo dwa. Przysłał mi ten „portret, bo żartowaliśmy kiedyś, że jestem do niej podobna. Ale ja nie jestem podobna, tylko włosy mam podobne. Ten portret jest w jakimś muzeum w Ameryce.

BIBI

Kiedy mąż był w Ameryce?

JANINA

Dawno. Jeszcze nie było dzieci. Dziesięć, może dwanaście lat temu.

*Bibi jest wyraźnie zmieszana. Janina zdejmuje swój szklany płaszcz i rzuca go na podłogę obok fotela. Obie siadają w fotelach.*

BIBI

Miałyśmy dziś rozmawiać o pani pożyciu seksualnym z mężem.

JANINA

Już chyba mówiłam. Od tamtego dnia, gdy przyszedł taki zupełnie inny, gdy było tamto trzęsienie ziemi, już nie spaliśmy ze sobą. Nigdy, ani razu. I nawet nie przebierałam się przy nim. Jak tamta kobieta w *Powiedzmy, Gantenbein*, tak samo. Czytała pani *Powiedzmy, Gantenbein*?

BIBI

Chyba tak, kiedyś. Ale mało pamiętam. Jaka kobieta?

JANINA

Ta, którą zdradzał mąż. Od tamtego czasu, gdy się o tym dowiedziała, nie pokazywała mu się nago. Uważała, że to nie wypada, skoro on ma inną kobietę. Że są sobie obcy. Przecież nie rozbieramy się przy obcych mężczyznach. Niektóre kobiety opalają się nago na plaży, ale ja nigdy bym tego nie zrobiła. A pani, czy pani opala się nago?

BIBI

A mąż? Widuje go pani nagiego?

JANINA

Nie, od tamtego czasu nie. Jemu wszystko jedno, ale ja wychodzę z pokoju, gdy się ubiera. Nigdy nie lubiłam widoku gołych facetów. Te ich genitalia, co może być w nich ładnego... Jeśli nie są z marmuru... Jak studiowałam, był remont akademika i postawili rusztowania. Na każdym piętrze były drewniane pomosty, w nocy chodził po nich ekshibicjonista. Nie miałyśmy zasłon, ten ekshibicjonista zbliżał się do okna i rozchyłał płaszcz, w ciemnym oknie widziałyśmy tylko jego genitalia, bo miał długi czarny płaszcz i czarny kapelusz, zasłaniał twarz. Otwierałyśmy okno i wrzeszczałyśmy „zбочek”, a on uciekał. Wreszcie spadł i zabił się, leżał na chodniku, czarny płaszcz z chudymi, białymi nogami, obok leżał czarny kapelusz.

BIBI

Nie lubiła pani widoku genitaliów męża?

JANINA

Dlaczego? Byliśmy razem, on i ja. Dopóki dzieci nie podrosły, często chodziliśmy po domu na golasa.

BIBI

Jak pani mąż ma na imię?

JANINA

Mówiłam. Jak papież. Benedykt. Wszyscy mówią do niego Benek.

BIBI

Nigdy nie mówi pani o nim Benek. Mówi pani mąż.

JANINA

On jest moim mężem. To nie ustało, to jest relacja urzędowa. Ale wszystko inne zmieniło się tamtego dnia, podczas trzęsienia ziemi.

A może kilka miesięcy wcześniej, nie wiem. Dawniej, jak się kochaliśmy, to nie musiałam nic mówić na głos, tylko myślałam. Wiele razy to sprawdzałam. A któregoś nocy mnie nie usłyszał. I potem już ani razu. To był test, robiłam tak czasami, żeby sprawdzić. Wiedziałam, że to się kiedyś skończy, bo przecież nie może być tak zawsze. Ale jak to się skończyło, to byłam zaskoczona. I było mi żal, że się skończyło.

BIBI

Nie bardzo rozumiem. Co się skończyło? Proszę to wytłumaczyć.

JANINA

Myślałam, że pani rozumie. No dobrze, spróbuję. Jak kochaliśmy się i ja miałam ochotę, żeby mi coś zrobił ręką albo językiem, to on to robił. Albo żebyśmy to robili w jakiejś konkretnej pozycji, to on to od razu rozumiał, nie musiałam mówić tego na głos, wystarczyło, że powiedziałam to w myślach. Nie wiem, może wszyscy tak mają, tylko o tym nie mówią, bo to przecież musi być tajemnica, żeby działało. Ale u nas przestało działać. A potem wszystko przestało działać.

*Głos Janiny jest monotony i pozbawiony wszelkich emocji, jakby czytała książkę.*

*Bibi patrzy na pólężącą w fotelu kobietę w czarnej, wydekoltowanej sukience, na jej płomienne włosy, białą cerę, piersi, biodra, nogi, dłonie. Na perły owijające jej szyję, na czarne, obcisłe, wysokie buty z błyszczącej gumy. Janina wygląda pięknie.*

## Odśłona 2

*Bibi ubrana jak wcześniej. Światło też takie samo. Bibi stoi w otwartym oknie i pali papierosa. Dzwoni komórka. Bibi podchodzi do biurka i odbiera. Znów staje przy oknie, wydmuchuje dym na balkon.*

BIBI

Tak, mogę.

BIBI

Nie, nic się nie stało.

BIBI

Nie, pacjentka. Wyszła niedawno.

BIBI

Wiesz, Adam, to trochę dziwne. Oglądała tę pocztówkę, którą mi przysłałeś. Dobrze, że nie widać rewersu. Powiedziała, że mąż przysłał jej z Ameryki taką samą. Bo ona ma takie same włosy jak lady Lilith. Ale wtedy, gdy dostała tę pocztówkę, jeszcze się nie znaliśmy.

BIBI

Nie pamiętasz, co napisałeś? Kocham i tęsknię. To samo mógłbyś napisać żonie. Zabawne.

*Bibi śmieje się.*

BIBI

Nie, zupełnie normalna. Zdradza ją mąż.

BIBI

Jasne, banał. A może jednak to twoja żona?

*Bibi wybucha śmiechem, potem nagle poważnieje.*

BIBI

Głupie żarty.

BIBI

Tak. Wieczorem. Tu jest dobrze.

BIBI

Ja też. Chcę tylko ciebie.

BIBI

Wszystko lubię. Najbardziej, jak mi wsadzasz.

BIBI

Laskę też mogę ci zrobić, nie myśl sobie. Jestem bardzo wykształcona. Mam certyfikat z edukacji seksualnej.

BIBI

Tak będzie już zawsze, Adam. Do końca świata. *Ever and ever*. Nie wywiniesz się.

***Koniec sceny 2***

## Babka Tower. Scena 3

*Widać tylko pacjentkę, dwudziestokilkuletnią kobietę z gotyckim makijażem, bladą i szczupłą, tlenioną blondynkę z prawie białymi, długimi, prostymi włosami. Bibi siedzi tyłem do widzów. Albo bokiem, ale jej twarz i sylwetkę skrywa cień. Jest ciemno i lampa oświetla tylko białowłosą kobietę w czerni.*

*Młoda kobieta: czarna koronkowa midi sukienka z tiulem RiZ 180 zł, czarna bluza Spiral 199,90 zł, glany New Rock 349 zł, spinki do włosów z czarnym ceramicznym oczkiem Zu Design 53,33 zł za 2 sztuki.*

### KOBIETA

Każdy ma jakąś historię, ja płacę pani za opowiadanie mojej, a tamta mi opowiada za friko, więcej, to ja jej płacę. Jakby ta jej historia była mi do czegokolwiek potrzebna! Jak byłyśmy małe, ja i siostra, przychodziła gruba pani Irenka ze swoim chronicznym bólem głowy, idąc z przystanku, kupowała sobie w kiosku papierek proszków z krzyżykiem, tak się nazywały i tak na nie mówiono, na pastylki mówiono proszki. Żywiła się tymi pastylkami, pojadała je co godzina i cały czas bolała ją głowa. Myła schody, czołgała się po tych schodach ze szmatą i opowiadała nam swoje życie. Dopiero później uświadomiłam sobie, że jedynym jasnym okresem w tym życiu były przymusowe roboty w Niemczech podczas wojny, miała szesnaście lat i trafiła do przyzwoitych ludzi, którzy nie kazali jej za ciężko pracować i nie żalowali jedzenia. Ale wojna się skończyła i Irenka musiała wrócić do domu, do swojej wsi pod Mińskiem. Wtedy, gdy przychodziła do nas, utrzymywała ze sprzątania męża pijaka i dorosłego syna, też pewnie pił, wozila im z Warszawy siaty z zakupami, zawsze było tam kilka chlebów, dwie paczki papierosów i ćwiartka wódki. Już dawno rodzice sprzedali dom, który sprzątała, a ja wciąż o niej myślę i zastanawiam się, czy jeszcze żyje. Tylko tam, w Niemczech, była szczęśliwa, a przecież była niewolnicą, siłą roboczą jak konie tamtych bauerów, pewnie konie też dobrze traktowali, bo wiedzieli, że syte i zadowolone zwierzę lepiej pracuje. A może nie, może oni ją pokochali jak własną córkę i chcieli, aby ta Polka została u nich na zawsze, i tęsknili za nią aż do śmierci,



i pamiętali ją, tak jak ona pamiętała ich? No właśnie, jak było naprawdę, jak mogło być? Czy ja muszę o tym myśleć, czy nie wystarczy mi historii mojej własnej rodziny, w tym kraju brakowało zawsze różnych rzeczy, ale historii mamy w nadmiarze. Nie wiem, jak jest w innych krajach, może w Szwajcarii nie ma tylu historii, ale za to mają pieniądze, to na pewno jest zdrowsze. A teraz jeszcze ci ludzie z daleka i każdy przyjeżdża tu z własną historią, nie mam nic przeciwko ludziom, ale na ich historie powinno się nakładać cło, niech zostawiają je za granicą, można je utylizować albo nie, archiwizować, dobrą historię zawsze można jakoś wykorzystać, a nie nosić ją ze sobą i wszędzie częstować. Tak jak ta dziewczyna z Czeczenii. Jest sobota, ona sprząta, a ja gotuję jej obiad, płacę jej, nie pilnuję, jak sprząta, bo nawet nie umiem wyobrazić sobie idealnego porządku. A ona opowiada. Chodziła do szkoły i miała zdawać maturę, podobał jej się jeden chłopak z sąsiedniej klasy. Przyuważył ją inny, nie ze szkoły, poznała go na zabawie, ale nie polubiła go. Szła ulicą i ten chłopak ją porwał, podjechał z kolegami samochodem, wciągnęli ją do środka i zawieźli do jego rodziny. Jego ojciec zadzwonił do jej ojca, jej ojciec przyjechał po nią i zabrał ją do domu. I już. Już została porwana i machina obyczaju zaczęła działać. Najpierw przyszedł jego ojciec, ale jej rodzice odmówili. Ona nie chce, powiedzieli. Nigdy nie wyjdiesz za kogoś, kogo nie chcesz, obiecała jej matka. Potem przyszedli Brodaci. Tak ich nazywa. To starzy mężczyźni z długimi brodami, znamy ich, a jakże, pewnie każdy z nich wyglądał jak bin Laden. I jej ojciec się zgodził, musiał się zgodzić, powiedziała. Rany, przecież ona ma tyle lat co ja, ja też wtedy miałam siedemnaście lat. No i musiała wyjść za porywacza, swojego męża, pokazuje mi jego zdjęcie, nic ciekawego, jest Czeczenem i wygląda jak Czeczen, nie to co ona, bo ona jest niebieskooką blondynką, wesołą i ładną, zupełnie nie wygląda tak, jak wyobrażamy sobie Czeczenki, surowe kobiety ze zburzonego miasta. A jeszcze ta historia ma ciąg dalszy, tutaj i teraz. Ona przyjechała tu z tym mężem i trójką dzieci, mieszkają w jakimś pokoju w jakimś domu do rozbiórki na Pradze. I historia rozwija się dalej. Nagle jej najstarsza córka, ona ma czternaście lat, wraca do Czeczenii, bo ma wyjść tam za męża, to małżeństwo zaaranżowała rodzina męża. Ona to mówi, myjąc moje okno, a ja co mam powiedzieć? Ja mam tylko słuchać? To dziecko, ta dziewczynka jedzie właśnie pociągiem, sama, przez okno widzi jakieś rozległe pustkowia z badyłami i kępami drzew,

pewnie przejeżdża przez Białoruś, w Warszawie chodziła do gimnazjum, miała koleżanki i piórnik z Hello Kitty, a teraz ma wyjść za mąż za faceta, którego nigdy nie widziała, ma z nim uprawiać seks, mieszkać u jego rodziny i być służącą jego matki. W dodatku znam tę dziewczynkę, była u mnie kiedyś z matką, przyszli też jacyś moi znajomi, miało być gotowanie multi-kulti, gotowaliśmy po czeczeńsku i udawaliśmy, że jest fajnie, że wszyscy jesteśmy tylko znajomymi i że te różnice, co nas dzielią, to tylko kuchnia i język. A teraz to dziecko wychodzi za mąż! Ta historia jest mi naprawdę zbędna, gdybym miała ochotę na taką historię, mogłabym sobie kupić książkę albo iść do kina na festiwal Planete, nawet mogę kliknąć pod jakąś petycją Avaaza za zakazaniem podobnych rzeczy, a potem zasiąść sobie przed telewizorem z kieliszkiem wina i obejrzeć serial, a tymczasem ta historia stała się już moją, wsączyła się w ściany mojego mieszkania i do końca życia będzie mnie podtruwała jak azbest, który też pewnie w nich jest. Więc mówię tej dziewczynie, że wyjeżdżam na długo i nie wiem, kiedy wrócę, i nie musi już do mnie przychodzić, nigdy i nigdy, a potem mam te cholerne wyrzuty sumienia, bo ona też, jak pani Irenka, musi utrzymywać swojego męża, bo co z tego, że on ma prawo jazdy na wszystko, tiry i autobusy też, przecież w tym kraju nikt nie pozwoli Czeczenowi jeździć czymś takim, co z tego, że wiadomo, że on nie weźmie do ust alkoholu, jak to robią tutejsi, przecież to na pewno krewniak Basajewa i zaraz porwie autobus pełen ludzi albo tirem wjedzie do szkoły. Więc myślę o niej i wciąż nie mogę zabrać się do sprzątania, a potem moja matka mówi, że jak będzie tu taka Hiroszima, to Piotrek mnie rzuci i ona wcale się nie zdziwi, bo Kuba też na pewno mnie rzucił z powodu brudnych naczyń i śmieci na podłodze i że to nic nie znaczy, że ja jestem taka wymuskała, jak mam dookoła Hiroszimę. Ona zawsze mówi Hiroszima na bałagan i brud, nikt tak nie mówi, dopiero niedawno usłyszałam, jak mówi tak jedna kobieta w pierwszej serii *Mad Mena*. Ten serial dzieje się w Ameryce, kilkanaście lat po wojnie, Amerykanie mogą sobie tak mówić, ostatecznie Hiroszima należy do ich kodów kulturowych, ale tutaj? Żeby jeszcze mówiła Auschwitz, o, sorry, zagalopowałam się, w Auschwitz był porządek, wszystko poustawiane w rzędy i pozamiatane jak w Disneylandzie, ja nigdy tak nie będę miała. Ale ona zawsze wyjeżdża z tą Hiroszimą, pamiętam to, jak byłam mała, potem leżałam całą noc z otwartymi oczami i czekałam, aż bomba atomowa spadnie na

Warszawę, bo nie posprzątałam pokoju. No więc ona o Hiroszimie w moim mieszkaniu, a ja jej na to, że rzucę tę robotę w „Twoim Stylu” i zostanę sprzątaczką, bo czemu nie, praca jak inne, jasne, że zarobię mniej, ale są też zalety, nie muszę myśleć za dużo i tak się denerwować, za to mogę opowiadać, co chcę, i jeszcze dostawać za to kasę, zrobię tak w końcu i będę opowiadać te historie, których się nasłuchałam, niech te panusie, co nie wiedzą, jak włączyć odkurzacz, zabiorą sobie te wszystkie historie na zawsze.

***Koniec sceny 3***

Wulkan jeszcze nie wybuchł. A może wybuchł, ale tutaj na razie nic o nim nie wiadomo. Islandia jest jeszcze daleko, na razie jest to tylko kraina z teledysku Björk.

Ale już spadł samolot wiozący państwową delegację. Zginęli wszyscy, 96 osób. Stało się to w innym kraju, w Rosji, na lotnisku pod miastem Smoleńsk. Zginął prezydent Polski, jeden z bliźniaków, drugi, prezes opozycyjnej partii politycznej, ocalał, bo został w kraju. W pracowni matki dniami i nocami ryczy telewizor. Bibi już nie może znieść wciąż takich samych wiadomości wykrzykiwanych histerycznym tonem. Każda ze stacji informacyjnych zmontowała swój własny teledysk: przy dźwiękach podniosłej muzyki startujący samolot, straszliwe szczątki, z oparów mgły wyłaniają się portrety tych, którzy zginęli, przebitki pokazujące prezydenta i jego żonę, podczas gdy motyw muzyczny wzbija się na wyżyny rozpaczy. Po kilku dniach jest jeszcze gorzej, nic się nie zmienia, tylko zamiast szczątków samolotu widać trumny, najpierw na rozklekotanej ciężarówce, jadącej przez beznadziejnie szary krajobraz, potem, przystrojone w szarfy i kwiaty, sunące ulicami Warszawy. Matka siedzi przed telewizorem dniami i nocami, rysując te swoje bazgroły, a telewizor wykrzykuje wiadomości. Nawet zepsute samochodowe radio Bibi nadaje to samo i nie można go wyłączyć ani przestawić.



Okolice Pałacu Prezydenckiego, Warszawa, 11 kwietnia 2010

Przez kilka dni tej wszechogarniającej żałoby Adam nie odzywa się.

Wreszcie przyjeżdża do Bibi późnym wieczorem. Po pośpiesznym seksie na podłodze gabinetu wstaje i ubierając się, mówi, że w tamtym samolocie zginął kumpel, z którym grał w pokera.

— Nie wiedziałam, że grasz w pokera — mówi Bibi.

— To się dowiedziałas. Dziś też będę grał — mówi Adam i wychodzi bez pożegnania, a Bibi zostaje sama, siedzi goła wśród skłębionych koców i śpiworów, na prześcieradle w zielone i czerwone pasy i czuje zapach, a raczej smród miłości. Patrzy na swoje odbicie w balkonowych drzwiach i nagle zasłania piersi rękami, jakby tam, na szesnastym piętrze, podglądał ją przez okno jakiś zбочek w czarnym palcie. Nie powiedziała bym nic o pokerze, gdyby był moim pacjentem, spytałabym go o tego kumpla, ale Adam nie jest moim pacjentem, myśli Bibi,

opuszcza rolety i ubiera się. Nie ma ochoty wracać samochodem z radiem informującym wciąż od nowa o wypadku i kolejnych pogrzebach. Postanawia iść do domu piechotą, od Babka Tower to najwyżej godzina. Na placu Zamkowym, pod kolumną, zaczyna się kolejka, która wchodzi w Krakowskie Przedmieście, wije się i nie widać jej końca. To ludzie, którzy czekają, aby wejść na chwilę do Pałacu Prezydenckiego, gdzie wystawione są dwie najważniejsze trumny, prezydenta i jego żony. Siąpi deszcz, czuć zapach zniczy, które tworzą migoczące jeziora blasku na chodnikach, pod kościołami i wreszcie całe morze światełek pod Pałacem Prezydenckim. Bibi mija skwer, który kiedyś jej koledzy ze studiów nazywali Café Cardinale, pod pomnikiem surowego kardynała mnóstwo świeczek i oklapniętych kwiatów, na chodnikach abstrakcyjne płaskorzeźby z roztopionej stearyny. Pomiedzy kwiatami i świeczkami okładka tygodnika ze zdjęciem prezydenta. Bibi idzie wzdłuż kolejki, która posuwa się w ślimaczym tempie. I nagle zatrzymuje się jak wryta, nie chce uwierzyć w to, co widzi: kilkadziesiąt klęczących osób, sznur ludzi idących na klęczkach, młodzi i starsi, ubrani zupełnie zwyczajnie. Dlaczego idą na klęczkach do tamtego niskiego, korpulentnego faceta, który czasami sprawiał wrażenie, jakby się zgubił w obcym mieście, i do jego chudej żony, a właściwie do tego, co po nich zostało? Bibi wpatruje się zachłannie w twarze tych ludzi. Przez chwilę ma ochotę uklęknąć i razem z nimi iść na kolanach aż do pokoju z czerwonym dywanem, na którym stoją dwie eleganckie włoskie trumny, z zewnątrz drewniane, od środka z ocynkowanego metalu. Potrząsa głową, odwraca się i idzie do bistra Przekąski Zakąski po drugiej stronie ulicy. Przy zatłoczonym barze zamawia nóżki w galarecie i dwie wódki, stawia na okiennym parapecie i patrzy na ulicę przez podświetloną światłami latarni szarą chmurę — to dym setek, tysięcy płonących zniczy.

Właśnie tamtego dnia wszyscy dowiadują się o chmurze wulkanicznego pyłu, która zaczyna rozsnuwać nad Europą ciemny welon. Islandzki wulkan Eyjafjallajökull ognistym jęzorem wypluwa z siebie drobinki kwarcu i skał, a wiatr gna je na południe. Ta chmura przeszkodzi wielu koronowanym oraz wybieranym głowom państw zjawić się na pogrzebie polskiego prezydenta. Niektórzy upatrują w tym celowe działanie

wrogich sił, inni twierdzą, że to Bóg zasłonił niebo, jak kiedyś podczas żałoby zasłanianiano kirem lustra.

Bibi ma lecieć z Adamem na weekend na Krete. To ma być ich pierwszy wspólny weekend. Bibi boi się tylko jednego: że coś stanie się matce. Matka absolutnie nie zgadza się na to, aby w domu przebywał ktoś inny poza Bibi. Patrzy na kartki zaścielające stół w pracowni i mówi, że nie mogłaby pracować w obecności obcej osoby.

Mamo, to bazgroły, idiotyczne bazgroły, chce krzyknąć Bibi.

— Wyjadę i dostanę esemesa, że umierasz. I co wtedy zrobię? Będę daleko, wrócę dopiero w poniedziałek — mówi.

— Nie martw się, nie wyślę ci żadnego esemesa. Dlaczego mam ci wysyłać takie esemesy? Nie mam zamiaru umierać, przecież w przyszłym roku mam wystawę.

— Wystawę? Jaką wystawę?

— W Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Nie udawaj, że o niej nie wiesz — mówi matka obrażonym tonem.

Zwariowała, bazgrze bez sensu i jeszcze wyobraża sobie, że powiesi te bazgroły w nieistniejącym muzeum, przecież tego muzeum jeszcze nie ma, dopiero mają je zbudować.

Właśnie to myśli Bibi, siedząc przy biurku w swoim gabinecie.

Czeka na Janinę, która powinna być tutaj od czterech minut. Przegląda swój notatnik i zatrzymuje się na opisie zabawy, w którą Janina w dzieciństwie bawiła się z rodzeństwem. Była to zabawa w śmierć, śmiercią zawsze był brat, stał na krześle, machał czarną szmatą i wrzeszczał „bójcie się, bójcie się, śmierć wisi nad wami!”, a dwie dziewczynki, jego młodsze siostry, a czasem jeszcze córki sąsiadów, klęczały na podłodze, płakały i trzęsły się ze strachu. Janina nie wie, czy jej siostra tylko udawała strach, ale ona bała się naprawdę, tak bardzo, że nie mogła się ruszyć, raz nawet zsiusiała się ze strachu. Jednak lubiła tę zabawę. Może dlatego, że potem, jak brat przestawał krzyczeć, a ona wciąż żyła, była bardzo szczęśliwa, powiedziała, że były to najlepsze chwile jej dzieciństwa. Bibi wciąż się zastanawia, w jaki sposób zinterpretować tę zabawę. Naprawdę ta zabawa wydaje jej się nudna i głupia, pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Na chwilę wędruje myślami do własnego dzieciństwa, do pracowni matki, gdzie leżąc na wielkich

arkuszach szarego papieru, rysowała plany wymyślonych miast. Jedno z tych miast nazywało się Miasto Psów.

Wreszcie Janina przychodzi, spóźniona dwanaście minut. Przeprasza i tłumaczy się psem.

— Myślałam, że umiera. Ale on nie umarł. Głupi kundel — mówi.

Jest blada i potargana, a jej oczy zasłaniają przeciwsłoneczne, duże okulary. Wygląda jak ruda czarownica z wypalonymi oczodołami.



Okolice Pałacu Prezydenckiego, Warszawa, 11 kwietnia 2010



## **Babka Tower. Scena 4**

*Bibi: pomarańczowy sweterek Benetton 179 zł, pomarańczowe szpilki Pollini 440 , szara spódnica szyta na miarę 300 zł, zegarek na stalowej bransoletce Vivienne Westwood z lat 90. XX wieku, prezent od matki.*

*Janina: czarny dres Nike 265 zł, białe tenisówki Top Shop 99 zł, ciemne okulary Ray-Ban Wayfarer 55 mm 446 zł, na nadgarstku czerwona kabalistyczna nitka, 3 zł na Allegro.*

## Odłona 1

*Bibi siedzi za biurkiem i patrzy na zegarek. Czeka. Słyszc dzwonek do drzwi. Bibi otwiera drzwi, wchodzi Janina. Jest blada i potargana, a jej oczy zasłaniaj duże przeciwsłoneczne okulary. Wygląda jak ruda czarownica z wypalonymi oczodołami.*

BIBI

Spóźniła się pani dwanaście minut.

JANINA

To przez psa. Myślałam, że umiera. Ale on nie umarł. Głupi kundel.

*Obie siadają w fotelach bez zbędnych słów.*

JANINA

To tylko pies, ale on mnie kocha i nie ma nikogo innego. Wszyscy mówią od dawna, że bym go uśpiła, bo jest stary i chory, ale ja nie chcę. Nie wiem, dlaczego. Nie jest nawet ładny, zwykły kundel. Nikt go nie lubi, bo nie ma za co go lubić, naprawdę.

BIBI

Mówiła pani, że dzieci go kochają.

JANINA

Wiadomo, jakie są dzieci. One każdego kochają, jeśli nie jest człowiekiem, pajaka też. Ale tylko przez pięć minut, potem zapominają. A pies kocha cały czas i nigdy nie przestaje, nawet na chwilę. Jak rano wstaję i idę na bosaka do łazienki, on łapie mnie zębami za pięty, tak leciutko. Wtedy mówię mu, żeby poczekał, że zaraz dam mu jeść, i on czeka, ale cały czas patrzy na mnie. Potem też patrzy na mnie, jego oczy wodzą za mną cały czas i teraz też czuję te jego oczy, bo on na mnie czeka, patrzy na drzwi, gdy mnie nie ma, mówiono mi to nieraz. Wierzy pani w reinkarnację?

BIBI

A pani? Wierzy pani w reinkarnację?

JANINA

Nie, nie wierzę. To niemożliwe. Idiotyczne. Ale gdyby reinkarnacja była, to może byliśmy kiedyś, w innym życiu, kochankami albo małżeństwem. I może on o tym pamięta, bo pamięć psów jest inna. Może on chce mi coś powiedzieć, coś wynagrodzić, czasem tak myślę, bo niczym nie zasłużyłam na taką bezgraniczną miłość.

BIBI

Czy sądzi pani, że na miłość trzeba zasłużyć?

JANINA

Musi być coś, żeby ktoś kogoś pokochał. Bez powodu nie można nikogo kochać.

BIBI

A dzieci? Kocha pani swoje dzieci, prawda?

JANINA

Nie wiem. Oddałabym za nie życie, ale nie wiem, czy je kocham.

BIBI

Co to znaczy?

JANINA

Nie wiem. Nie tęsknię za nimi, gdy ich nie widzę. Dzieci są męczące. Ma pani dzieci?

BIBI

Mówimy o pani.

*Janina śmieje się. Zdejmuje okulary. Jej powieki są czerwone i spuchnięte.*

*Wygląda okropnie.*

JANINA

Mówimy o mnie? Nie ma o kim. Mąż wyjeżdża na weekend ze swoją kochanką. A ja zostaję z dziećmi i z psem. Wcale się nie cieszę, że zostaję na weekend z moimi dziećmi.

*W tym momencie telefon komórkowy daje sygnał, że odebrał esemesa. Bibi wstaje i podchodzi do biurka, na którym leży telefon. Patrzy przez chwilę w okno i wraca na fotel.*

BIBI

Przepraszam. Zapomniałam wyłączyć. Co pani mówiła?

JANINA

Mąż wyjeżdża na weekend z kochanką. Wylatuje, leci samolotem.

BIBI

Dlaczego pani tak myśli?

JANINA

Powiedział mi o tym.

BIBI

Co powiedział?

JANINA

Lecę do Lizbony na weekend. Wyszłam z kuchni, jak to powiedział, bo nagle poczułam się tak, jakbym miała twarz jakiejś obcej osoby. Musiałam to sprawdzić, poszłam do łazienki, żeby spojrzeć w lustro. Rozmawialiśmy w kuchni, ja smażyłam ryby i jak poszłam do łazienki, to się spaliły. To były takie zupełnie malutkie sardynki, bardzo rzadko u nas można kupić surowe sardynki. Chciałam je zrobić jak w Grecji, w głębokim smażeniu, ale spaliły się i zapalił się olej na patelni, i mąż zgasił. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Bo co miałam powiedzieć?

Żeby nie jechał? To nie miałyby dla niego żadnego znaczenia. Skoro mi o tym powiedział, to znaczy, że ma zamiar pojechać i pojedzie, rozumie pani? W końcu jedliśmy tylko kartofle w łupinach i sałatkę grecką. Szkoda, kupiłam wino do tych sardynek, retsinę. Kiedyś byliśmy w Grecji i piliśmy retsinę, i potem, jak wróciliśmy, też często piliśmy retsinę. Kilka razy nawet upiliśmy się i kąpaliśmy się razem, udawaliśmy, że wanna to jest basen, jak w Grecji, w hotelu. Ostatnio mąż był trochę inny, jakby chciał do mnie wrócić, pomyślałam, że jak zjemy na kolację te sardynki i sałatkę grecką i napijemy się retsiny, to będzie jak dawniej. Ale on powiedział o tym weekendzie i już nie podałam tej retsiny. Zrobiło mi się głupio. Bo raz w Grecji, jak upiliśmy się retsiną, to kochaliśmy się w basenie. Nikogo tam nie było, była noc, ale przyszli jacyś starzy Niemcy, cała wycieczka, i udawali, że nie widzą, co robimy, i mówili bardzo głośno po niemiecku, i porozbierali się do naga. To było okropne, nagle tylu starych, gołych ludzi, ale potem bardzo śmialiśmy się z tego.

BIBI

Dlaczego pani sądzi, że mąż wyjeżdża z kochanką? Powiedział tylko, że wyjeżdża.

JANINA

To było zupełnie jasne. Gdybym go zapytała, czy leci z kochanką, potwierdziłby, a tego bym nie zniosła.

*Janina znów wkłada okulary.*

JANINA

Te okulary mąż kupił mi w Grecji, właśnie wtedy. Bo miałam urodziny. Skończyłam tam dwadzieścia dwa lata. Strasznie były drogie, to prawdziwe rejbany, żadne tam podróby, ustaliliśmy, że będę je nosić przez następne dwadzieścia dwa lata, aż do czterdziestych czwartych urodzin. To już niedługo.

BIBI

I nosiła je pani przez te wszystkie lata?

JANINA

Skądże. Znalazłam je kilka dni temu, jak porządkowałam szuflady. Teraz wszyscy noszą takie. Ale moje pewnie nie mają tych wszystkich powłok, UV i coś tam jeszcze. Kiedyś nie było tych powłok. Kiedyś słońce było bogiem.

BIBI

Wciąż myśli pani o tym, co minęło, o przeszłości. Chciałaby pani wrócić do przeszłości?

JANINA

Nie. Z całą pewnością nie.

BIBI

Dlaczego?

JANINA

Kiedyś byłam... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale teraz nie lubię tej osoby, którą kiedyś byłam. Kiedyś dobrze się z nią czułam, lubiłam ją, ale teraz już nie.

BIBI

A teraz? Lubi pani tę osobę, którą pani teraz jest?

JANINA

Nie wiem. Staram się być taką, żeby móc ją polubić. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, do końca jeszcze nie wiem, ale mam pewien plan.

BIBI

Jaki plan?

JANINA

Tego nie mogę powiedzieć, jeszcze nie.

BIBI

No dobrze. I na to przyjdzie czas.

JANINA

Na pewno.

*Janina na chwilę zaciska ręce w pięści; niemal nie zmieniając swojej zrelaksowanej pozycji, przybiera pozę, jakby szykowała się do walki: nogi rozstawione, jedna pięść na wysokości piersi, druga na wysokości talii. Gdyby stała, a nie siedziała w fotelu, mogłaby wzbudzić strach: mocna, zwarta, przygotowana do ataku, ubrana w czarny strój, w czarnych okularach.*

BIBI

A czego pani nie lubi w tej osobie, którą pani była?

JANINA

Miłości.

BIBI

Czyjej miłości?

JANINA

Żyłam otoczona miłością męża. Jak owad w bursztynie. Widziałam kiedyś w muzeum, wszyscy się zachwycali tym owadem, ale to bursztyn był piękny. Owad był ohydny, gdyby laźł po podłodze, od razu by go rozdeptali.

BIBI

Ale przecież tęskni pani do miłości męża, kupiła pani retsinę...

JANINA

No właśnie. Nie rozumiem tego. Sama nie wiem... Nie wiem nawet, czego powinnam chcieć. Gdyby rozbić bursztyn i taki owad by się obudził, to też nie wiedziałby, co robić. A ja nie wiem, jak przeżyję ten weekend, gdy mąż wyjedzie. Pomyślałam, że powinnam go dokładnie zaplanować, co do minuty. Kino i spacer z dziećmi, obiad, dwadzieścia minut na czytanie wierszy tego poety, który dostał Nike, zapomniałam, jak się nazywa, cztery minuty na głaskanie psa, jeszcze malowanie oczu, wypicie drinka, film w telewizji. I jakoś przeleci. A może powinnam zostawić trochę czasu na to, żeby sobie popłakać? Jak pani myśli?

BIBI

Dlaczego pani chciałaby tak zrobić?

JANINA

Jak zaplanuje się dokładnie czas, to jest łatwiej. Wszystko ma swój początek i koniec. Trochę sobie popłaczę, potem spojrzę na zegarek i usiądę przy komputerze. Albo zadzwonię do siostry.

BIBI

I opowie pani swojej siostrze, gdzie wyjechał pani mąż?

JANINA

Nie mam zamiaru. Dobrze wiem, co by mi powiedziała: że wszyscy faceci są tacy sami i że już dawno domyślała się wszystkiego. Poopowiadamy sobie o dzieciach. Wystarczy, że pani to mówię.

BIBI

I z nikim innym pani nie rozmawia o swoich problemach? Z przyjaciółką? Z przyjacielem?

JANINA

Tylko z panią.

BIBI

Ma pani przyjaciół?



JANINA

Pewnie, że mam. Ale nie będę im nic mówić. Pani to co innego. Pani nie zna mojego męża. I za każdym razem pani płacę prawdziwymi pieniędzmi.

BIBI

Przypomnę pani scenę z dzieciństwa, którą mi pani opisała: ma pani dwanaście lat, stoi pani na ulicy pod oknem kawiarni i patrzy do środka. Jest ciemno, pada deszcz, widzi pani swojego ojca przy stoliku tuż przy oknie. Obok niego siedzi młoda kobieta.

JANINA

Pocałował ją w szyję. Miała naszyjnik z brązowych i czerwonych koralików, zupełnie taki sam jak ten, który ojciec przywiózł mi z Meksyku.

BIBI

I co pani wtedy zrobiła?

JANINA

Nic. Postąpiłam i poszłam. Chyba płakałam, nie pamiętam dobrze, przez ten deszcz i tak miałam mokłą twarz.

BIBI

Powiedziała pani o tym komuś? Mamie? Bratu?

JANINA

Nikommu. Tylko pani.

BIBI

Niech pani sobie wszystko przypomni. Niech pani spróbuje cofnąć się do tamtej chwili, poczuć krople deszczu na twarzy.

*Janina podnosi prawą rękę i szarpie się za ucho, tak jak robią to małe dzieci, gdy są zmęczone.*

## JANINA

Byłam wtedy gruba. Dużo grubsza niż teraz. Wstydziałam się tego. A ona, tamta dziewczyna, była szczupła. Była bardzo ładna i ładnie ubrana. Pomyślałam, że nigdy nie będę taka. Ale wcale nie pomyślałam, że to moja wina, że mój ojciec ma randkę z jedną ze swoich studentek. Zawsze był otoczony wianuszkami dziewczyn z wydziału, na wszystkich zdjęciach z uniwerku. Myśli pani, że cały czas tkwię w tych samych schematach i przenoszę je na moje małżeństwo? Że cały czas jestem tamtą grubą, nieładną dwunastolatką, która stoi w deszczu na Nowym Świecie pod oknem kawiarni Bajka?

*Janina prostuje się, zdejmuje okulary i potrząsa głową. Jej włosy są ognistą aureolą wokół bladej twarzy, na której gości dziwny uśmiech. Już nie widać, że przepłakała całą noc.*

## JANINA

A może zaproszę siostrę i ugotuję lakse. Laksa lemak. Gotuję ją tylko wtedy, jak męża nie ma, bo on nie znosi krewetek.

## BIBI

Laksa lemat?

## JANINA

Lemak, nie lemat. Pierwszy raz jadłam ją we Francji, pojechaliśmy tam z klubem na zawody. Chodziłam jeszcze do liceum. Trener zaprosił mnie do restauracji i dali nam lakse. Pierwszy raz w życiu widziałam krewetki. Ale to nie chodziło o krewetki, chodziło o tę zupę. Wzięłam do ust pierwszą łyżkę i wszystko się zmieniło. Nie wiedziałam, że może być coś takiego na świecie. Do tej pory nie wiem, co daje ten smak, trawa cytrynowa, mleczko kokosowe, pasta krewetkowa, wszystko razem? To wtedy straciłam dziewictwo, mówiłam to już pani. Przespałam się z trenerem.

## BIBI

Tak, rozmawialiśmy już o pani inicjacji seksualnej. Nie było to dla pani

ważne przeżycie, tak?

JANINA

Też mi przeżycie. Nic nie pamiętam. Tylko laksę pamiętam. Nigdy potem nie jadłam takiej laksy, nawet w Azji, a o Warszawie nie ma co mówić. Tyle razy ją gotowałam, zupełnie dobrze mi wychodzi, ale nigdy nie jest taka jak tamta.

BIBI

Lubi pani gotować, prawda?

JANINA

Skądże, nie lubię.

BIBI

Ale przykłada pani wielką wagę do kuchni, prawda?

JANINA

Niepotrzebnie. Mąż nie przyjdzie na kolację, dzieci najedzą się czipsów i wszystko zostaje. Co mam robić? Naszego śmietnika nie zamykają, każdy może tam wejść. Pakuję w pudełka, daję serwetki i plastikowe widelce, ustawiam z boku. Katering. Nic nie zostaje, biorą wszystko. Są coraz lepsi, coraz lepiej ubrani, w metrze nie odróżniłaby ich pani od innych.

BIBI

Kogo bym nie odróżniła?

JANINA

No tych, szperaczy, nurków śmietnikowych. Wczoraj szłam Jana Pawła, były sklepy, knajpki i stały betonowe kosze na śmieci, takie wielkie. W jednym grzebał chłopak w żółtych adidasach, w drugim kobieta z tlenionymi włosami, 50 lat, dżinsy i obcasy. Ona przed barem z jedzeniem wegańskim. Może jest weganką.

*Janina znów zakłada swoje przeciwsłoneczne okulary. Nic więcej już nie mówi.*

## Odśłona 2

*Bibi zamyka drzwi i szybkim krokiem podchodzi do stołu. Zapala papierosa i bierze telefon. Otwiera szeroko balkon, staje przy progu. Przegląda wiadomości na telefonie. Zaczyna się denerwować. Dzwoni. Rozmowę zaczyna podniesionym tonem.*

BIBI

Mamo! Żyjesz, prawda? I co robisz?

BIBI

Pracujesz! Oczywiście, że pracujesz! Ja też pracuję! A ty znów wysyłasz mi takiego esemesa!

BIBI

Jak to? To normalne? Umieram!?! Co to znaczy taki esemes? Że nie umierasz? Że pracujesz? Napisałaś umieram! Tak napisałaś! Umieram! I co ja mam robić, jak czytam takiego esemesa?

BIBI

Nic? Mam rozumieć to w sensie egzystencjalnym? Ale ty piszesz dosłownie, a nie ogólnie. Umieram znaczy umieram. Przecież wyjeżdżam na weekend! Lecę samolotem na koniec Europy. I co ja tam zrobię, gdy przeczytam, że umierasz? Wezwę karetkę?

BIBI

Nie, nie powiem ci, z kim jadę. Nie muszę. Jestem dorosła, od dawna.

BIBI

No dobrze. Z facetem. To ci powinno wystarczyć.

BIBI

W porządku. Fajnie, że się cieszysz. Fajnie, że obędziesz się bez esemesowania.

BIBI

No dobrze, już nie krzyczę. Przepraszam. Ale te esemesy szarpią mi serce. Nigdy już tego nie rób.

BIBI

No dobrze. Wtedy, jak naprawdę będziesz umierać, możesz mi wysłać takiego esemesa. Ale wtedy możesz nie być w stanie wysłać esemesa, chyba wiesz.

BIBI

To nie złośliwość, mamó. Wiesz, że cię kocham. Jesteś najlepsza, przecież wiesz.

***Koniec sceny 4***



## W samolocie

- ON:** *Wiesz, myślę o siódemkach. To nie przypadek, że lecimy Boeingiem 777. Czy wiesz, że Hiroszima leży nad siedmioma rzekami? Te siedem rzek to delta rzeki Ota. I zobacz, czytaj: „naczelne dowództwo planowało operację pod kryptonimem Olympic, które zakładało desant 777 tysięcy żołnierzy amerykańskich na wybrzeżu Kiusiu. Jednak ze względu na wielkie koszty operacji i przewidywane straty szukano alternatywy”. No i znalazł się ten poszukiwany członek alternatywy, mały chłopiec, Little Boy. To on uratował 777 tysięcy amerykańskich żołnierzy. Musiał tylko wsiąść do samolotu, a potem spaść z nieba na ziemię. Powinien być to Boeing 777.*
- ONA:** *Nasz Pan, Zbawiciel, też był małym chłopcem.*
- ON:** *I z tych 777 tysięcy nie zginął nawet jeden żołnierz.*
- ONA:** *Ale w momencie wybuchu zginęło od 70 do 80 tysięcy Japończyków! Głównie cywilów. Niektórzy z nich właśnie w tym momencie przychodzili na świat.*
- ON:** *No cóż, mieli pecha. Policz. Chociaż nie znasz dokładnej liczby zabitych, spalonych, odparowanych, stopionych jak wosk. Możesz przyjąć, że było ich 77 000 i odjąć tę liczbę od liczby 777 000. 700 tysięcy na plusie.*



## Weekend na Krecie

W kwietniowym słońcu bezlistne drzewa i szare płachty trawników. Ulice są zatłoczone, taksówka powoli przedziera się na lotnisko. Bibi powinna być szczęśliwa, przecież ma lecieć z Adamem na Kretę. Dlaczego więc ogarnia ją niepokój? Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. To chyba kawałek jakiegoś wiersza. Ale jakiego?

W samolocie Bibi siedzi przy oknie, widzi błyszczące skrzydło samolotu i myśli o innym samolocie, tym, który spadł kilka dni temu. Może tam też ktoś patrzył przez okrągłe okienko i widział wielkie skrzydło, srebrne blachy i nity opierające się pędowi powietrza.

— A gdyby teraz spadł... — mówi Adam.

— Bylibyśmy już zawsze razem — kończy zdanie Bibi.

Śmieją się. Adam nagle poważnieje.

— Nie powinienem wyjeżdżać — mówi. — Ale pogrzeb jest dopiero we wtorek, zdążę.

Chodzi mu o pogrzeb kumpla, który zginął w katastrofie.

Dopiero wieczorem są u celu podróży.

W Atenach muszą czekać na przesiadkę pięć niespodziewanych godzin. Adam wpada we wściekłość. Biega po lotnisku jak wariat i robi awanturę kelnerce, która podaje im kawę. Bibi usiłuje go zmitygować, a on patrzy na nią z nienawiścią i radzi, żeby takim tonem zwracała się do swoich pacjentów. Nie odzywa się aż do chwili, gdy na lotnisku w Iraklionie okazuje się, że nie ma jego walizki.

— Tu zawsze tak jest. Albo samolot się spóźnia, albo gubią ci bagaż. Ewentualnie jest strajk i nic nie działa. Nie znoszę tego kraju. A Kreta jest najgorsza. Cholerne imperium. Dawno już nie ma tu żadnego imperium, tylko hotel na hotelu — mówi, czekając na kogoś, komu będzie mógł zgłosić zgubę.

— Byłeś tu? — pyta Bibi.

— Byłem tu ze dwadzieścia razy. I zawsze w tej samej wsi.

Z niemowlętami też musiałem tu przyjeżdżać. Pieluchy, butelki, smoczki, kremiki, cały majdan.

— Nie powiedziałaś.

— Nie zapytałaś. To ty wymyśliłaś ten wyjazd. Nie chciałem psuć.

— No to zepsułaś. A dokąd jeździłaś, do jakiej miejscowości?

— A co, chcesz tam pojechać? Kalimera, Adam, o, masz nową kobietę. Fajniejsza niż ta stara. To chcesz usłyszeć?

Bibi nie odpowiada. Patrzy w ogromne okno, za którym ulewny deszcz pada na gładką płytę lotniska. W ciemnej szybie widzi swoje odbicie. A może to nie ona, może to ktoś inny, kobieta podobna do Bibi jak dwie krople wody.

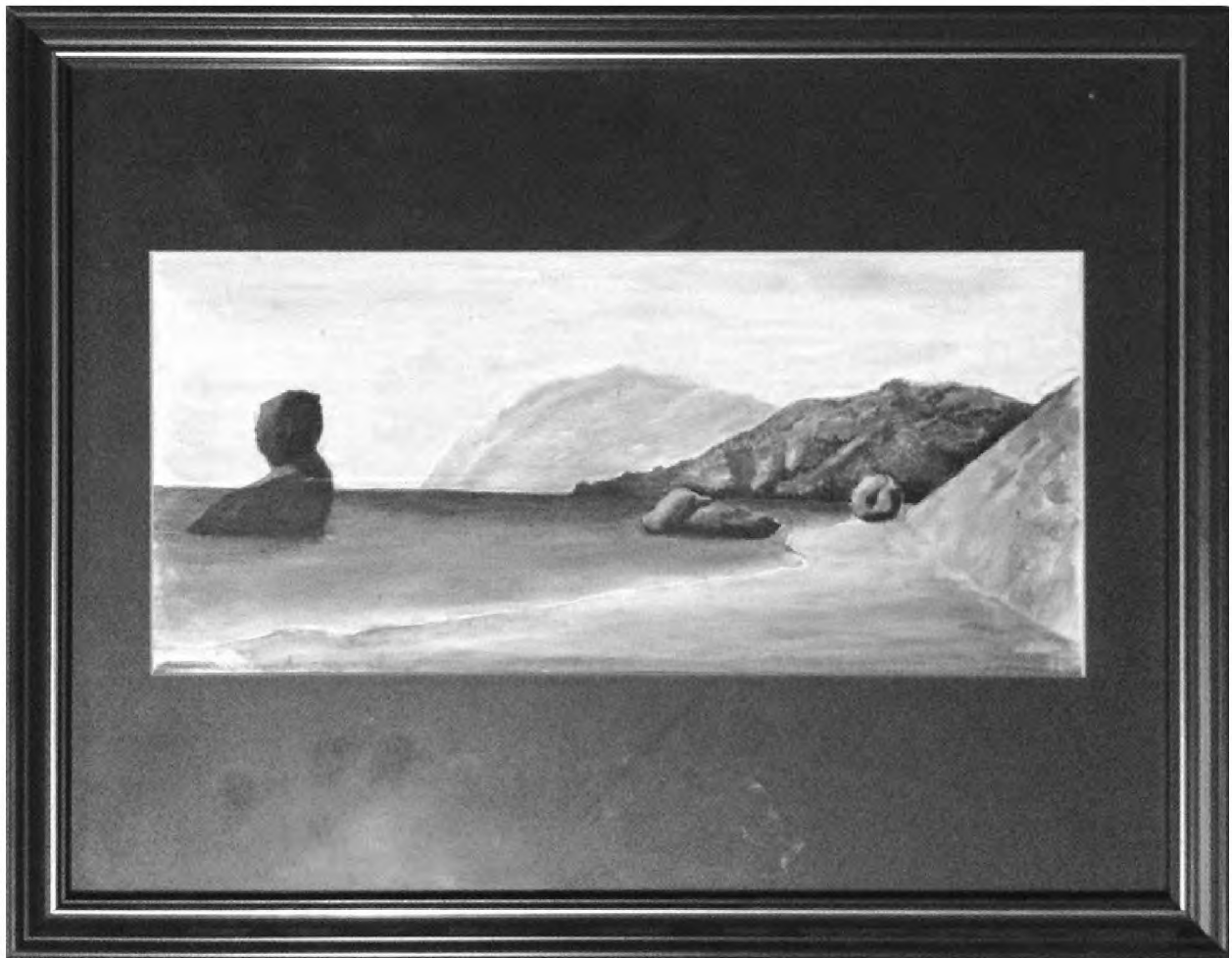
— Chciałabym mieć siostrę bliźniaczkę — mówi.

— No, przepraszam. Nie powinienem się wściekać. Przecież to nie twoja wina — mówi Adam.

Jest zbyt późno, by wynająć samochód i wyjechać z miasta, jadą więc do małego hoteliku, który polecił im taksówkarz. Wynajmują pokój i wychodzą na miasto. Tuż obok hotelu, przy niewielkim placu, wznosi się biała cerkiew. Deszcz już nie pada, idą ulicą zastawioną dziesiątkami skuterów, z przeszklonego, piętrowego budynku dobiega ostra muzyka. W środku tłumu młodzieży okupują stojące na kilku poziomach wielkie kanapy, dziewczyny i chłopaki siedzą na szerokich schodach i zwartą ciżbą otaczają bary. Bibi i Adam idą dalej, szukają spokojnego miejsca, gdzie można by coś zjeść. Za szybą małego lokalu, który wygląda jak stołówka, widać za kontuarem śliczną czarnowłosą dziewczynę i wielki garnek na kuchence gazowej. Przy dwóch zestawionych stolikach siedzą mężczyźni wyglądający na miejscowych: mężczyzna w jasnym garniturze, z teczką opartą o krzesło i kilku bardzo opalonych ludzi w roboczych ubraniach. Piją wódkę z małych szklaneczek, zagryzają krewetkami, których stos leży na wielkim talerzu.

Bibi zamawia krewetki, Adam prosi o coś innego i dostaje jajko na twardo oraz wielki kartofel ugotowany w łupinie. Jajko i kartofel zostały wyłowione z wielkiego gara. To samo je mężczyzna w garniturze. Delikatnie zdejmuje z kartofla cienką skórę, potem wyciska na niego cytrynę i posypuje solą. Adam robi to samo. Całkiem dobre, mówi, popijając raki nalaną z plastikowej butelki po wodzie mineralnej do

małej karafki z grubego szkła. Właśnie takie jedzenie lubię, mówi. Bibi również prosi o kartofla. Wódka ją rozgrzewa. Adam wreszcie się rozchmurza. Bawią się w zgadywanie, kim są mężczyźni siedzący obok. To są rybacy, a ten w garniturze to ich księgowy, mówi nagle czarnowłosa dziewczyna zza baru. Mówi po polsku, miłym głosem wykształconej panienki. A jeszcze przed chwilą, patrząc na nią, myśleli, że jest typową Greczynką. Zaczynają rozmawiać i już po kilku minutach Bibi wie wszystko: że dziewczyna, Kasia, poznała w Warszawie chłopaka z Kreta, rzuciła studia i przyjechała tutaj, że ta knajpka należy do ojca chłopaka, że ojciec ma jeszcze kilka sklepów spożywczych, że Kasia w ciągu dnia pracuje w sklepie, a wieczorami w knajpce. Bibi jest wściekła na dziewczynę.



Południowa Kreta, akryl i ekolina na papierze akwafortowym, 30x15 cm, oprawa drewno + szkło

Nie po to jechała z Adamem na Krete, żeby ktoś rozumiał ich rozmowy i żeby ten ktoś okazał się śliczną dziewczyną z Warszawy! Adam rozmawia z dziewczyną, która wciąż donosi nowe karafki, a on jest coraz bardziej pijany. Znajduje w ajfonie zdjęcie kamienicy na Żurawiej, w której mieszkają rodzice dziewczyny. W podwórku, na parterze, jest fryzjer, do którego co miesiąc chodzi Bibi. Ten salon nazywa się Sebastian, mieszkałam nad nim i czasem czułam zapach fryzjerskich chemikaliów, mówi Kasia i ma łzy w oczach, jakby wspomnienie tego zapachu obudziło w niej zapomniane uczucia. Adam śmieje się i przytrzymuje jej rękę, a ona sztywnieje, spoglądając w stronę drzwi.

W końcu przychodzi jej chłopak zamknąć knajpkę, a usłyszawszy, że mówią po polsku, patrzy na Adama i Bibi, jakby chciał ich zabić. Każe dziewczynie iść na zaplecze, sam podlicza rachunek i niemal wyrzuca wszystkich na ulicę. Bibi idzie do toalety i widzi dziewczynę, stojącą spokojnie i nieruchomo w małym korytarzyku, patrzącą przez okno na ciemne podwórko. Ma ochotę coś jej powiedzieć, coś istotnego, nie bardzo wie, jakich słów użyć, więc mówi tylko do zobaczenia. Przyjdziecie tu jeszcze, prawda, upewnia się dziewczyna, a Bibi bez zastanowienia odpowiada jej, że przyjdą, że na pewno się jeszcze spotkają. Będę czekała, mówi dziewczyna cicho, nie odrywając wzroku od okna.

Znów pada deszcz. Adam jest tak pijany, że to Bibi musi znaleźć drogę do hotelu. Bierze od Adama ajfona i wpisuje w telefon adres hotelu. Idą według wskazówek GPS-a znacznie dłużej, niż szli w tamtą stronę, a może Bibi tak tylko się wydaje. Jest pewna, że zabłądzili, ale nagle widzi białą cerkiew w głębi ulicy. W hotelu Adam zwała się w ubraniu na łóżko i natychmiast zasypia. Bibi wychodzi na balkon z papierosem i małą buteleczką retsiny, którą znalazła w lodówce. Miało być zupełnie inaczej. Mieli spędzić trzy noce pełne miłości pod antycznym niebem pełnym gwiazd, mieli trzymać się za ręce i pić greckie wino, mieli przeżyć coś, co będzie warte wspomnień. Bibi jest wściekła na siebie za te idiotyczne marzenia, zupełnie jakby była konsumentką komedii romantycznych. Przez plac zalany deszczem przejeżdża ciemny samochód i staje pod cerkwią. Z samochodu wychodzi wysoki mężczyzna w czarnym, długim płaszczu i z czarnymi włosami związanymi w ogonek, podchodzi do bocznych drzwi cerkwi i otwiera je kluczem. Wchodzi do środka, a myśli Bibi idą za nim. Ten facet podoba

jej się, pociąga ją, choć nie widziała jego twarzy. To poprawia jej humor. Bierze z lodówki nową buteleczkę i zapala następnego papierosa.

— Beatrycze, Beatrycze! Obudź się, Bi!

Bibi otwiera oczy. Leży w sukience na wielkim łóżku, z nogami na poduszce, jest strasznie jasno, a Adam, ubrany do wyjścia, stoi na środku pokoju. Okno balkonowe otwiera się na pełną blasku przestrzeń. Adam trzyma swój ajfon i wpatruje się w ekran.

— Wybacz, kochanie, ale musimy wracać. Za godzinę mamy prom, a w Atenach pomyślimy. Może znajdziemy lot, a jak nie, to wymyślę coś innego. Wynajmę samochód. Powinniśmy dojechać w dwa dni.

Bibi siada na łóżku. Kręci jej się w głowie. Najbardziej ją niepokoi, że Adam powiedział do niej „kochanie”. Nigdy tak do niej nie mówi.

— O co chodzi, Adam?

— Wybuchł wulkan. Nie latają samoloty.

— Wulkan? Tutaj, na Krecie?

— Na Islandii. Ejacośćam. Pozamykali lotniska. Tu jeszcze wszystko normalnie, ale na północy już nie przyjmują. Muszę być na pogrzebie we wtorek, przecież wiesz.

— Do wtorku jeszcze daleko.

— Trzy dni. Prognozy nie są dobre. Muszę wracać.

— Chyba zwariowałaś.

— Wracamy. I to natychmiast. Wstawaj!

— To wracaj sobie sam. I tak mu nie pomożesz.

— OK. Jadę. Masz bilety, prawda? Nie przejmuj się mną, dam sobie radę — mówi Adam.

Zbiera jej się na wymioty. Jak przez mgłę przypomina sobie, że w nocy wypła cztery buteleczki retsiny, może było ich pięć, o pojemności 250, może 330 mililitrów, a potem otworzyła butelkę koniaku, którą kupili na lotnisku w Atenach. Adam podchodzi, pochyla się nad nią, szybki, zdawkowy pocałunek we włosy i już go nie ma, nie ma jego torby, a drzwi są zamknięte.

Bibi myśli o matce. Musi zadzwonić do matki, tak, to jest najważniejsze.

Ale najpierw idzie do łazienki, klęka na podłodze, obejmuje sedes i wymiotuje.

Idzie brzegiem morza. Świeci słońce, a na niebie nie ma ani jednej chmury. Pusto, wieje chłodny wiatr. Piasek jest szary, roślinność nijaka, wzdłuż biegnącej równoległe do plaży ulicy stoją byle jakie domy, mniej lub bardziej luksusowe hoteliki i bungalowy. Nawet morze jest płaskie i bez koloru. To mój nastrój, oczywiście, wydaje diagnozę Bibi, ale jak ma mieć w tej sytuacji dobry nastrój. Z daleka dostrzega jakąś konstrukcję stojącą na piasku. Gdy podchodzi, widzi tablicę z informacją, że to plaża miejska, a trochę dalej obszar wielkości boiska ogrodzony nieproporcjonalnie wysoką siatką. Na zewnątrz dwóch uzbrojonych ludzi, umundurowanych, może policjantów, wewnątrz barak i kilkudziesięciu młodych, smagłych mężczyzn. Siedzą na ławkach lub na ziemi, spacerują, palą papierosy, rozmawiają, stoją, stoją bez ruchu i patrzą. Nad samą wodą bawią się dzieci, cała klasa dwunastolatków pod opieką dwóch nauczycielek. Biegnie pies z patykiem w zębach, wpada do wody, wznecając nagłą fontannę. Chłopak i dziewczyna biegną, mają sportowe buty i jaskrawe dresy, dziewczyna jest szybsza, chłopak zostaje w tyle.

A w klatce siedzą mężczyźni: ten w czerwonej bluzie leży na ławce, ten w białej koszulce siedzi na ziemi, ten z nagim torsem stoi tuż przy siatce i robi nieprzyzwoity gest. Patrzą na Bibi, a ona podchodzi coraz bliżej.

— Co to jest? — pyta uzbrojonego człowieka w zielonkawym mundurze.

Funkcjonariusz macha ręką, jakby nie rozumiał.

Więc ona też macha rękami, w niemym pytaniu.

— Maroko — mówi obojętnie człowiek w mundurze i odwraca się tyłem.

A oni, Marokańczycy, patrzą przez siatkę oczami bez wyrazu, obojętni, znudzeni, ten, który przedtem wykonał nieprzyzwoity gest, spluwa na ziemię.

— Dlaczego trzymacie ich w klatce?! — krzyczy Bibi po polsku w stronę mundurowego, który tymczasem odszedł w stronę ulicy.

On nawet nie odwraca się, jakby nic nie powiedziała. Bibi płacze z wściekłości, połyka łzy i idzie w stronę morza, żeby nie widzieć, no bo jak można iść na plażę, a tu klatka z ludźmi wystawionymi na pokaz, jak kiedyś niedźwiedzie przy alei Solidarności w Warszawie. Myśli o tym, że jednak lepiej jeździć na wakacje do hotelu *all inclusive* z własną plażą i nie wychodzić poza ogrodzenie, bo klatka z ludźmi nie nadaje się ani

na pamiątkowe zdjęcie, ani na wspomnienie.

Tego samego dnia, późnym popołudniem, wchodzi na chwilę do cerkwi. I nagle mnóstwo natarczywych oczu wpatrujących się prosto w jej oczy, rzędy portretów ludzi w aureolach, upozowanych, z dłońmi złożonymi w eleganckie mudry. Staruszek oparty na lasce, zgięty wpół, z siwą brodą, patrzy na Bibi surowo, za nim zielone drzewa obsypane różowo-białymi kwiatkami. Przez cerkiewną salę przechodzi pop w czarnej sukni, ma czarne włosy związane w ogonek. Czyżby to był mężczyzna, którego widziała nocą? A może to Banderas grający popa? Dwie kobiety siedzą na ławce pod ścianą i rozmawiają, śmiejąc się głośno.

Nie myśli o Adamie i nie wchodzi do żadnej z internetowych kafejek, aby zobaczyć na fejsbuku, co robi.

Wieczorem, po długim szukaniu, odnajduje bistro, w którym byli wczoraj. Wydaje jej się, że od przyjazdu upłynęły tygodnie i od wielu dni spaceruje sama po obcym mieście, nad obcym morzem. Czarnowłosa dziewczyna jak wczoraj siedzi za barem, na kuchence stoi ten sam garnek. Ale tym razem nie ma nikogo więcej. Dziewczyna siedzi skulona, upozowana jak stara kobieta, w ciemnych okularach i czarnym golfie. Bibi podchodzi do niej i już wie, co się stało.

— Uderzył cię? — pyta.

— Nie — mówi dziewczyna, zdejmuje okulary i odgarnia włosy.

Różowa szrama przecina jej skroń aż do kącika oka. To ślad noża.

— Co jeszcze? — pyta Bibi.

— Ręka, ale mniej. Nic groźnego, płytkie skaleczenie.

— To pierwszy raz?

— Nie, nie pierwszy.

— Chcesz iść na policję? Mogę iść z tobą.

— Nie.

— Kochasz go?

— Kocham.

— Podaj mi wódkę, proszę.

Bibi siada przy stoliku. Wódka jest dobra. Czuje, jak bardzo była jej potrzebna. Dostaje ośmiorniczkę na małym talerzyku i kilka oliwek. Wchodzi trzech mężczyzn w tanich garniturach. Gdy jedzą i piją,

przypatrując się Bibi, ona przywołuje dziewczynę.

— Mam dwa bilety na samolot do Warszawy. Mój facet mnie tu zostawił, pojechał sam. Słyszałam, że można zmienić nazwisko na bilecie, trzeba tylko coś zapłacić. W poniedziałek wieczorem możesz być w Warszawie.

Bibi mówi to obojętnym tonem, jakby składała zamówienie. Nie wie, dlaczego to powiedziała, przecież nie musiała. To wina tej dziewczyny, nie powinna była zdejmować okularów. I wina Adama, bo ją tu zostawił. A również wina tamtych Marokańczyków, siedzących w klatce na plaży.

Dziewczyna patrzy w bok martwym wzrokiem. Gdy podaje kawę, wchodzi jej chłopak. Wita się z mężczyznami, potem podchodzi do dziewczyny i kładzie jej rękę na karku.

Bibi znów zamawia wódkę. Dziewczyna podchodzi ze spuszczonej oczami. Stawia karafkę na krawędzi stołu, karafka przewraca się i spada na kolana Bibi. Przepraszam, bąka dziewczyna i wraca po ścierkę, nachyla się nad Bibi i wyciera jej spódnice, potem kładzie na niej złożoną serwetkę.

— Przepraszam, nie gniewaj się. W serwetce. Ważne. Przepraszam. Dziękuję — bąka dziewczyna.

Chłopak patrzy na nią uważnie.

W serwetce jest paszport, Bibi wyczuwa go palcami. Wsuwa go do kieszeni żakietu, gdy chłopak rozmawia z mężczyznami. Idzie do toalety i na swojej wizytówce pisze nazwę i adres hotelu. Gdy wychodzi, dziewczyna stoi w korytarzyku, trzymając stos brudnych talerzy. Bibi, nic nie mówiąc, wsuwa wizytówkę pomiędzy talerze i szybko wraca na salę, prawie wpadając na chłopaka, który stoi w drzwiach. Chce jej się śmiać. Gdyby nie przypomniała sobie, że ten chłopak może mieć w kieszeni nóż, roześmiałyby się w głos.

Wracając do hotelu, wkłada rękę do kieszeni, aby dotknąć paszportu. To prawdziwa przygoda, z gatunku tych, które można obejrzeć w kinie. Obca dziewczyna, którą ma wywieźć z Grecji, chłopak z nożem — Bibi przez chwilę gra rolę agentki obcego wywiadu. Teraz już może się roześmiać i głośno się śmieje, aż zaczyna jej wtórować para starych ludzi, którzy idą naprzeciw niej.

Dziewczyna zjawia się zaraz po północy. Jest cała przemoczona,



choć nie pada deszcz. Trzęsie się. Bibi zamyka okno, zasłania je i każe dziewczynie się rozebrać. Odsuwa koc, aby dziewczyna mogła się pod niego wsunąć. Ale zanim dziewczyna przykryje się, Bibi może zobaczyć zbieżną bliznę na łopatce i drugą, przecinającą pierś.

— Uciekłam mu — mówi dziewczyna. — Gonił mnie, ale był już pijany. Byłam szybsza.

— Co cię tak zmoczyło? — pyta Bibi.

— Nic. To polewaczka — mówi dziewczyna.

Bibi leży w łóżku z obcą dziewczyną. Dziewczyna śpi. Jest bardzo blada. Jej długie rzęsy kładą się na policzkach zębatym cieniem. Łóżko jest ogromne i bardzo wygodne, stworzone dla kochanków. Bibi i dziewczyna dzielą koc osłonięty prześcieradłem, Bibi czuje ciepło bijące od ciała dziewczyny. Przypomina sobie ciało Adama, jego ciepło. Cholerny dupek, to miało być nasze łóżko, myśli. Nie może zasnąć. Wstaje i idzie na balkon zapalić. Bierze ze sobą butelkę koniaku. Przez otwarte balkonowe drzwi patrzy na śpiącą dziewczynę, w tym wielkim łóżku sprawiającą wrażenie małej dziewczynki. Bibi wie dokładnie, ile ma lat, przecież ma jej paszport. 26. Jest dużo młodsza od Bibi. A gdyby była jej siostrą lub przyjaciółką? Wtedy nie byłoby nic niezwykłego w tym, że śpią w jednym łóżku.

Będę musiała z nią rozmawiać, myśli Bibi. Całe dwa dni. Nawet nie wie, na kogo trafiła. Dostanie terapię weekendową, dwa dni z terapeutą.

Bibi budzi zapach kawy. Na łóżku stoi taca ze śniadaniem. Dziewczyna o imieniu Kasia siedzi w fotelu z filiżanką w dłoniach i patrzy w telewizor. Na ekranie widać księżycowy krajobraz i wulkan wymiotujący czerwienią, na dole przesuwają się napisy. Głos jest wyłączony. Dziewczyna wydaje się zupełnie inną osobą niż poprzedniego wieczoru. Pyta Bibi, jak się czuje i czy się wyspała, nie zapominając o tym, aby podziękować za jej propozycję.

— Wyrzuciłam telefon po drodze. To jego telefon, może on umie go zlokalizować. Gdybyś mogła zadzwonić do mojego taty, to przyjdzie na lotnisko. I odda ci pieniądze. Rodzice będą szczęśliwi, że wracam. Ciągle mi mówili, żebym wracała.

— To dlaczego nie wróciłaś?

— Bo nie chciałam ich słuchać. Bo mi nie pozwalał. Bo go kochałam.

— A teraz? Przecież go kochasz. Mówiłaś mi.

— Już nie. Nie kocham go. To stało się nagle, wczoraj wieczorem. Wszedł do baru i przywitał się z tamtymi facetami. Popatrzyłam na niego i przestałam go kochać. Jak podszedł do mnie i położył na mnie swoją rękę, to już byłam pewna, że go nie kocham. A przed chwilą powiedziałaś mi o tym bilecie. To było niesamowite. Poczułam się tak, jakby spełniło się marzenie, o którym nie wiedziałam. Nie mogłam wyjść z tobą od razu, bo on jest niepoczytalny. Ale już byłam daleko. Jakbym siedziała w samolocie. Dobrze, że schowałam tam paszport, co nie? Myślałam, że go zgubiłam.

Dziewczyna milknie na chwilę.

— To tak samo jak wtedy, kiedy się zakochałam. Pamiętam. Wszedł do Szarloty, no wiesz, na placu Zbawiciela, i od razu wiedziałam, że go kocham. Jak można zakochać się nagle, to odkochać też, co nie? Miłość to taka Ziemia 2, jest strasznie daleko, ale jak się zakrzywi czasoprzestrzeń, to można się znaleźć na niej w jednej chwili. Oczywiście nikt nie wie, jak zakrzywić czasoprzestrzeń, to dzieje się niezależnie od nas. Fajnie to wymyśliłam, co nie? Wiesz, czuję się świetnie. Jakbym była na jakimś okropnym filmie, film się skończył, a ja wyszłam z ciemnego kina, dookoła tak pięknie, świeci słońce i wszyscy są zadowoleni.

— Ten film jeszcze się nie skończył. Jeszcze nie jesteś w Polsce — mówi Bibi.

— E tam. Wiesz, jak się obudziłam, myślałam o mojej pracy magisterskiej. Pierwszy raz od dwóch lat. Napisałam więcej niż połowę — mówi dziewczyna.

— O czym pisałaś?

— O dzieciństwie w cieniu bomby atomowej. Ja już nie, ale jeszcze moja mama, jak była mała, bała się bomby atomowej. Zrobiłam mnóstwo wywiadów z ludźmi, którzy byli dziećmi niedługo po wojnie i potem. Oni wszyscy wiedzieli, a teraz nikt o tym nie myśli. A te bomby ciągle są, przecież nie można ich zniszczyć, co nie? I ciągle robią nowe. Jeden facet z Krakowa, taki zupełnie stary, pamiętał zabawę w Hiroszimę i że opowiadali sobie na podwórku o bombie atomowej, a nie rozmawiali o Oświęcimiu. Dla tego faceta Oświęcim to było tylko miasto, gdzie mieszka jego ciocia.

— Zabawa w Hiroszimę? Co to za zabawa?

— To była taka zabawa w państwa, tylko że to miejsce w środku koła, które gdzie indziej dzieci nazywały Ziemią, u nich nazywało się Hiroszima. Głupie, co? A jak kiedyś byłam w Oświęcimiu i był straszny mróz, to była tam tylko wycieczka z Japonii, nikogo więcej.

Dziewczyna mówi i mówi. Jak można się tak zmienić, myśli Bibi. Ta dziewczyna zrzuciła z siebie dwa lata życia w toksycznym związku, tak jak zrzuca się przemoczony płaszcz. Czy to możliwe, taki powrót do krainy „sprzed”? Siedzi teraz z podwiniętą nogą i rozprawia o swojej pracy magisterskiej, studentka jednego z tych niepraktycznych uniwersyteckich wydziałów, wypełnionych mądrymi dzieciakami po dobrych liceach.

Na ekranie telewizora widać mapę Europy i linie pokazujące połączenia samolotowe. Widać ludzi na zatłoczonym lotnisku, chyba na Heathrow. I szaroczarne pagórki Islandii.

— Pozamykali lotniska. Prawie cała Europa nie lata — mówi dziewczyna, tłumacząc napisy na przesuwających się paskach. — No nie, jak zdecydowałam się wrócić do Warszawy, to wybuchł wulkan na Islandii. Chcą mi przeszkodzić.

Jeszcze trochę rozmawiają, patrzą w telewizor, a potem Bibi idzie na spacer. Dziewczyna zostaje w pokoju. Woli nie ryzykować.

— Nie chcę się natknąć na tego czubka — mówi.

— Możemy zwrócić się do policji — mówi Bibi.

— Pewnie, a wtedy okaże się, że zabrałam mu kasę ze sklepu — mówi dziewczyna i śmieje się.

Słoneczna, piękna niedziela. Niedziella, jak mówiła w dzieciństwie Bibi. Idzie brzegiem morza i liczy kroki, aby nie myśleć. Ale zanim dojdzie do klatki z mężczyznami, zawraca.

I nagle jest zupełnie inaczej, niż było przed chwilą. Dookoła to, co było: piach, morze i słońce na niebie. Ale blask ciemnieje, nasycają się kolory, kontury obrysowują się ciemną linią i wyraźnie odróżniają od tła. Słońce, zasłonięte szarym filtrem, jest już tylko bladym, wyraźnym krążkiem. Koszula biegnącego mężczyzny razi stroboskopową bielą, tak samo ręcznik leżący na piasku. Czy to chmura drobinek z głębi ziemi, wulkaniczna plwocina, jest już tutaj, nad Kretą? A jeśli nie, myśli Bibi.

Co to może być? Dlaczego tak widzę?

Po drodze do hotelu wstępuje na kawę. Z kawiarnianego ogródka widzi cerkiew. Ludzie wchodzą i wychodzą, niektórzy z wychodzących coś jedzą. Czyżby czymś ich częstowano? Po kawie idzie do cerkwi. W środku, tuż przy drzwiach, na postumencie, stoi kamienna misa wypełniona porwanymi kawałkami białej bułki. Bibi czuje nagły głód. Bierze więc bułkę i zaczyna jeść, drugi kawałek chowa do torebki. Kilka kobiet śpiewa, trzymając zapisane kartki. Bibi nie wie, czy właśnie w tej chwili odbywa się nabożeństwo, czy to tylko próba. Niektórzy chodzą, inni stoją, jeszcze inni siedzą. Z boku, na ozdobnym krześle, siedzi pop o urodzie Banderasa. Kilka osób stoi przed nim jak w kolejce, jedna za drugą. Stara kobieta klęczy obok jego kolan, a on przytula jej głowę do swojej piersi. Kobieta całuje krzyż trzymany przez popa, wstaje i odchodzi, a wtedy jej miejsce zajmuje dziewczyna w zielonym szalu na głowie.

Bibi stoi i patrzy. W jej myślach zjawia się śliczna czteroletnia dziewczynka, którą spotkała kilka lat temu pod wschodnią granicą Polski, w ogrodzie drewnianej niebieskiej cerkiewki. Rozmawiały o psach, a wtedy zawołał ją chłopiec, trochę starszy.

— Marija, masz iść do ołtarza!

— Po co masz tam iść? — spytała Bibi.

— Muszę dać buzi Jezusowi — powiedziała dziewczynka i odbiegła w podskokach.

Bibi nie weszła wtedy do cerkwi, nie chciała przeszkadzać w obrzędach, wobec których mogła być tylko intruzem. Ale potem wielokrotnie się zastanawiała, co to może znaczyć, „dać buzi Jezusowi”.

Nie myśląc, co robi, staje na końcu kolejki i coraz bliżej przesuwa się w stronę popa. Każdy uczestnik kolejki robi to samo co poprzedni. Klęka i skłania głowę w kierunku mężczyzny, który przytula ją serdecznym gestem. Po chwili całuje krucyfiks i wstaje, a jego miejsce zajmuje następny. Gdy przychodzi kolej na Bibi, ta patrzy przez chwilę w ciemne oczy mężczyzny, potem przypomina sobie o bułce, którą wciąż trzyma w dłoni. Kręci powoli głową i odchodzi. Ma łzy w oczach.

Gdy wychodzi z cerkwi, włącza z powrotem telefon i widzi, że dzwonił Adam. Ale nie oddzwania. Nie ma ochoty z nim rozmawiać. Nawet nie

chce wiedzieć, czy udało mu się wcześniej wsiąść do samolotu.

Otwiera drzwi do hotelowego pokoju i widzi stojącego pod oknem chłopaka w czarnej czapce z parafką Nike. Zamyka z powrotem drzwi i stoi na korytarzu z bijącym sercem.

— Nie bój się, to ja — słyszy i drzwi otwierają się. Stoi w nich Kasia, trzymając w ręku czapkę. Ma na sobie opadające, szerokie dżinsy i skórzaną bejsbolówkę. Śmieje się.

— Ale się nabrałaś. Widzisz, nikt mnie nie pozna, jak będziemy jechały na lotnisko. Nawet ten czubek — mówi.

— Skąd masz te ciuchy? — pyta Bibi.

— Zadzwoiłam do jego brata. Pożyczył od kolegi i przyniósł mi. Nie mogę przecież tak po prostu wyjść na ulicę. A może ten czubek będzie kręcił się po lotnisku. Głupi nie jest.

— Zadzwoiłaś do jego brata?! Przecież on mu powie!

— Nigdy. On go nienawidzi. Ma 15 lat i kocha mnie. To mój mały braciszek. Szkoda, że nie mogę go zabrać ze sobą.

Wieczorem Bibi znów idzie do tej małej restauracyjki, gdzie poznała Kasię. Tym razem nie ma w niej żadnego klienta, a za barem siedzi chłopak Kasi. Na drewnianej desce do krojenia leży wielki nóż.

— Chciałabym napić się raki — mówi Bibi.

Chłopak napełnia karafkę, bierze nóż i kroi cienką kiełbasę.

— Kasia będzie? — rzuca obojętnie Bibi.

— Nie — warczy chłopak.

Bibi pije powoli wódkę, zagryzając kiełbasą. Przypatruje się chłopakowi. Zwykły, mało sympatyczny chłopak, zakompleksiony i gwałtowny, co ta dziewczyna w nim zobaczyła, wtedy, w warszawskiej kawiarni, zastanawia się Bibi.

Znów zamawia wódkę.

— Zaraz zamykam — mówi chłopak, stawiając karafkę z hałasem. Tym razem nie podał zakąski.

Bibi nic nie mówi, pije powoli, cały czas przypatrując się chłopakowi.

A nocą szłocha w objęciach dziewczyny.

Piją wino, a Bibi zaczyna jej opowiadać o sobie — o swojej miłości do Adama, o matce, o wszystkim. Aż wybuchają płaczem, a dziewczyna

przytula jej głowę do piersi, tak samo jak czarnowłosy pop przytulał głowy swoich wiernych.

— Nie rycz, no, nie rycz. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. To dupek, ten twój Adam. Po co ci taki? Zobaczysz, odkochasz się i będziesz szczęśliwa. Wszystko będzie dobrze. Jesteś strasznie fajna, szkoda ciebie dla takiego dupka. Pójdziemy w Warszawie na Chłodną, no wiesz, Chłodna 25, tam jeden barman robi świetną margaritę. Zapomniałam, jak ma na imię, chyba Artur. Nie, Zdzisław. Lubisz margaritę? Wieki nie piłam margarity, a tamten chłopak to prawdziwy fachowiec. Zobaczysz...

Nazajutrz, w samolocie do Aten, gdy Bibi trzeźwieje i spada na nią potężny kac, robi jej się głupio z powodu tej nocy, gdy wyplakiwała się obcej dziewczynie. Ostrzyżona na jeża dziewczyna patrzy obojętnie przez okno, szrama na jej skroni jest czerwona jak usta. Samolot pruje przez białe stożki cukrowej waty, nad Grecją nie ma śladu wulkanicznego pyłu. Bibi przypomina sobie twarz „tego czubka”, chłopaka Kasi, gdy minęły go stojącego przy wejściu na lotnisko. Salute, powiedział do Bibi. Kasia szła tuż za nią. Skórzana bejsbolówka i czapka z daszkiem nasunięta na oczy, skejtowskie spodnie, czy to możliwe, że strój może tak odmienić? Nic nie brakowało tej wymyślonej postaci, wszystkie szczegóły zostały dopracowane, dziewczyna miała na nogach wielkie, podniszczone chłopięce adidas, a dłonie ukryła w kieszeniach, bo te mogą zdradzić najłatwiej, jak gładkie dłonie zgarbionych staruszek żebrzących na ulicach Warszawy. Może dbałość o szczegóły była przesadna i niepotrzebnie Bibi obcięła jej włosy, bo nie mieściły się pod czapką. Ale teraz przypomina sobie, jak Kasia, idąc kołyszącym się krokiem miejskiego łobuza, popatrzyła bezczelnie w oczy swojego chłopaka, a on obojętnie oddał jej spojrzenie. Wybucha głośnym śmiechem, a dziewczyna wtóruje jej, jakby czytała w jej myślach.

— W szkole wystawialiśmy *Wieczór Trzech Króli*. Grałam Wiołę. To też była niezła zabawa — mówi. — A ten facet z kontroli paszportowej? Nawet jak zdjęłam czapkę, nie mógł uwierzyć, że to ja. Chyba myślał, że naprawdę jestem chłopakiem. Już chciałam zdjąć bluzę, żeby mu udowodnić...

Na lotnisku w Atenach spędzą prawie dwie doby, pijąc kawę i metaxę

pod ekranem, na którym co jakiś czas widać pogrzeb polskiego prezydenta i jego żony, Wawel z lotu ptaka, kilkadziesiąt trumien stojących w wielkiej sali. Bibi przypomni sobie wycieczki swojego żeńskiego liceum, gdy jadąc autokarem do Paryża lub Wenecji, oszołomiona brakiem snu i po kryjomu popijanym winem, gadała z koleżankami i śmiała się ze wszystkiego, prawie nie zauważając mijanych krajobrazów i dzieł sztuki w kolejnych muzeach.

Kilka razy zatelefonuje do matki, ale pod czujnym okiem Kasi nie przyjmie ani jednego telefonu od Adama i nie odczyta ani jednego esemesa.

Gdy na lotnisku w Warszawie przechodzi przez lustrzaną ścianę, jedyną jaskrawą plamą w metalicznej szarości jest ogromy bukiet róż, który oburącz trzyma Adam.

— Róże. Ale banał — mówi Kasia i nagle pędzi w stronę niskiego, siwego grubasa w dżinsach, skokiem ląduje w jego ramionach jak mała dziewczynka, ponad miarę wyrosnięta Alicja, która przed chwilą napiła się czarodziejskiej mikstury. Bibi idzie za nią, wita się z mężczyzną, rozmawiają chwilę i dopiero potem podchodzi do Adama.

— Przyjechałeś samochodem? To dobrze — rzuca i niemal biegnie do wyjścia, a Adam za nią, opuściwszy w dół wielki bukiet róż.

Dwa samochody, stara czarna alfa z wygiętym zderzakiem i biały prius z bukietem czerwonych róż na tylnym siedzeniu, staną na chwilę obok siebie przy wyjeździe z parkingu, czekając na podniesienie się szlabanów. Ale ani Bibi siedząca w milczeniu obok Adama, ani Kasia, wpatrzona w ojca i paplająca bez ustanku, żadna nie poszuka spojrzenia tej drugiej i nie pomacha na pożegnanie. A gdy po jakimś czasie Bibi zajdzie przypadkiem do kawiarni na Chłodnej, zobaczy młodych ludzi siedzących grzecznie nad swoimi laptopami i popijających kawę z wielkich filiżanek. Podejdzie do baru i przypomni jej się margarita, o której mówiła Kasia. Ale nie zobaczy rzędu butelek z budzącymi nadzieję nalepkami, tylko ekologiczne kole i napoje z mate. Nie, już nie mamy alkoholu, odpowie na jej pytanie barman, Artur albo Zdzisław, a może jeszcze ktoś inny.

## **Babka Tower. Scena 5**

*Bibi: płócienna sukienka w biało-granatowe pasy COS 299 zł, granatowe espadryle na koturnie Kate Spade 129 US\$ (po przecenie), granatowa skórzana bransoletka MonEgo 85 zł, wisior Ti Sento Milano na rzemieniu 314,50 zł po przecenie.*

*Janina: czarny podkoszulek z dużym japońskim napisem 38 zł, czarny dresowy narzucaj Arti Farti 220 zł, krótka dzinsowa spódnica H&M 69,99 zł, zielone za duże crocsy classic 129 zł, męska bransoletka z czarno-zielonej liny spięta czarną szklą Pig & Hen 59,95 €. Na prawej stopie biały bandaż.*



## Odłona 1

BIBI

Co się stało? Zwichnęła pani nogę? Skąd ten opatrunek?

JANINA

Śniło mi się, że leciałam samolotem do Hiroszimy. To był zwykły rejsowy samolot. W mojej torebce była bomba atomowa. Miałam ją rzucić przez okno, gdy będziemy nad Hiroszimą. Byłam okropnie zmęczona. Bałam się, że zasnę i prześpię odpowiedni moment. Poprosiłam więc stewardesę, żeby mnie obudziła, gdy będziemy się zbliżać do Hiroszimy. Ale ona powiedziała, że i tak by mnie obudziła, bo otrzymała takie polecenie. Spojrzałam jej w oczy i zrozumiałam, że ja też mam być wyrzucona z samolotu, razem z bombą. Przeraziło mnie to, ale zarazem pocieszyło. Takie zakończenie wydało mi się sprawiedliwe.

*Janina podnosi obie dłonie i zakrywa oczy, jakby jeszcze raz chciała obejrzeć swój sen. Milczy. Bibi też nic nie mówi.*

JANINA

Nie zrzuciłam tej bomby na Hiroszimę, bo się obudziłam. Wstałam i poszłam napić się wody. Było ciemno, ale znam swoje mieszkanie na pamięć. Byłam na bosaka i w kuchni weszłam na coś ostrego. Strasznie mnie zabolalo, a jak zapaliłam światło, to myślałam, że zemdleję, tyle było krwi. I wciąż leciała. Weszłam na zbitą szklanę, pewnie dzieci zbiły i nic nie powiedziały. Wsadziłam nogę pod zimną wodę, ale krew leciała i leciała, wyglądało jak na filmie, gdy w wannie ćwiartują zwłoki. Pomyślałam, że się wykrwawię, dzieci rano wstaną i znajdą mnie w wannie pełnej krwi. Ale jak założyłam opaskę uciskową i podniosłam nogę wyżej, trochę przestało lecieć. Męża nie było, przecież wyjechał na weekend z kochanką. Nie wiedziałam, co robić, powinnam pojechać na pogotowie, żeby mi zszyli, bo stopę miałam rozciętą na pół, ale przecież nie mogłam zostawić dzieci samych. Zadzwoiłam do brata, obudziłam go, powiedział, że zaraz przyjedzie. Po drodze zabrał siostrę. Ona została w domu z dziećmi, a brat zawiózł mnie do szpitala. Wziął mnie na rękę i zniósł ze schodów. Naprawdę. On jest niski i gruby, ale bardzo silny,

cały czas trenuje. Poczułam się znowu jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Wtedy zawsze musiałam mu wszystko mówić. Lepiej powiedz sama, mówił, ja i tak widzę twoje myśli. Tylko czasami udało mi się coś ukryć. Teraz też nie chciałam mu powiedzieć, ale powiedziałam. Bo zapytał, jak staliśmy na światłach, odwrócił się w moją stronę i popatrzył mi prosto w oczy. No więc mu powiedziałam, że wyjechał do Lizbony. Z kochanką. To też mu powiedziałam. A on powiedział tylko jedno słowo, „chuj”. Nic więcej. Nie powinnam była mu mówić.

BIBI

Dlaczego pani tak sądzi?

JANINA

Boję się, że go zabije.

BIBI

Kto kogo zabije?

JANINA

Brat. Zabije męża. On może go zabić. On wiedział, co się stanie. Uprowadził mnie. Nie chciał, żebym za niego wychodziła.

BIBI

Ale dlaczego sądzi pani, że posunąłby się do morderstwa?

JANINA

Już raz to zrobił. Zabił kochankę ojca. Nie powie pani nikomu?

BIBI

Obowiązuje mnie tajemnica. Ale w szczególnych sytuacjach bywają wyjątki. Nie mogę pani z góry nic obiecać.

JANINA

No dobrze. To było wtedy, jak dostał się na studia, a ja zdałam do liceum. Mama wtedy płakała każdej nocy. I była bardzo chora, nie

wstawiała z łóżka. Ojciec przychodził i wychodził, nie patrzył na nikogo i nawet nie chciało mu się rozmawiać. Oczywiście dziewczyna była jego studentką. Nazywali ją Madonna, brat wkręcił się w jej towarzystwo, chociaż studiował na politechnice. Widziałyśmy ją z siostrą, brat zabrał nas kiedyś do baru koło uniwerku, gdzie chodziła z kolegami. Miała jasne i proste długie włosy. Nie była wysoka, ale wszyscy na nią patrzyli. Wyglądała jak święta z obrazka, taka uduchowiona, jak nie z tego świata. Śledziliśmy ojca. Jeździł do niej tramwajem. Mieszkała za placem Wilsona, w strasznie wysokim domu. Podobno jak był silny wiatr, to ten dom huśtał się, jakby płynął po morzu. Madonna miała kawalerkę na ostatnim piętrze. Postanowiliśmy, że ją zabijemy. Brat powiedział, że nic innego nie da się zrobić, ojciec był jak w transie. Długo myśleliśmy. Najłatwiej byłoby ją wyrzucić z balkonu, no i w końcu na tym stanęło. Tak właśnie zrobił.

BIBI

Skąd pani to wie?

JANINA

Wiem. Zaplanowaliśmy to razem, każdy szczegół. Były moje urodziny i ojciec obiecał mi, że będzie na kolacji. Chyba miał ochotę wyjść, ale pilnowaliśmy go, ja i siostra. To był bardzo miły wieczór, nawet mama była zadowolona. Usmażyłyśmy z siostrą placki kartoflane, jedliśmy je ze śmietaną i z żurawiną. A ojciec przyniósł tort czekoladowy od Bliklego. Brat wyszedł po kolacji, powiedział rodzicom, że musi odwiedzić koledze notatki. Ale my wiedziałyśmy, że pojechał na plac Wilsona, do Madonny, żeby ostatecznie załatwić sprawę. Nie było go przez godzinę, może trochę dłużej. Grałyśmy przez ten czas z ojcem w tysiąca. Dałyśmy mu wygrać, chociaż tego dnia nie miał szczęścia.

BIBI

Kiedy brat wrócił... Co powiedział?

JANINA

Nic nie powiedział. Po co? Powiedział tylko, że załatwił sprawę. Rodzice zrozumieli swoje, siostra i ja swoje. Już nigdy do tego nie wróciliśmy.

Ani jednym słowem, jakby to się nie wydarzyło. Tamten rozdział został zamknięty. Tylko jedna rzecz, miał oberwany guzik od płaszcza. Wyrwany z mięsem. Powiedział mamie, że jakaś baba w tramwaju zahaczyła go torebką. Oczywiście to ja musiałam mu zreperować płaszcz i przyszyć nowy guzik.

BIBI

I co było dalej?

JANINA

Nic. Wszystko było jak przedtem. Nie, właściwie zupełnie inaczej. Ojciec przez pół roku nie wychodził z domu, nie pracował, mama wyzdrowiała i wzięła drugi etat. Było okropnie. Mamy nigdy nie było, a ojciec siedział w swoim pokoju jak ten robal z Kafki. Czasem wychodził, nieogolony i w piżamie, żeby zagrać z nami w tysiąca. A potem wydał książkę i znów był gwiazdą, a mama znów płakała po nocach. Ale wtedy już poznałam męża i nie przejmowałam się. Nawet z bratem przestałam być blisko. Aż do teraz, jak opowiedziałam mu wszystko w samochodzie. Był taki troskliwy. W szpitalu zrobił straszną awanturę, jak kazali nam czekać. Pielęgniarki mówiły, żebym uspokoiła męża. Myślały, że jest moim mężem. Teraz się boję, że on zabije męża. Właściwie mógłby zabić jego kochankę, ale boję się, że zabije jego. Nigdy go nie lubił. Chciałam z nim porozmawiać, ale nie było okazji, a potem było jeszcze gorzej.

BIBI

Co było gorzej?

JANINA

Mąż miał wrócić w poniedziałek, ale nie wrócił. Zadzwoił, że utknął na lotnisku w Lizbonie, no, z powodu tego wulkanu z Islandii. Wszędzie trąbili o wulkanie i że nie latają samoloty, więc to nie było nic dziwnego. Ale we wtorek zadzwonił brat i powiedział, że widział go w telewizji na pogrzebie jednej kobiety, która zginęła w tej katastrofie. Powiedziałam, że to niemożliwe, a on poradził mi, żebym obejrzała wiadomości na TVN24, oni tam puszczają w kółko to samo. No i zobaczyłam go, stał w pierwszym rzędzie, przy samej trumnie, jakby

był rodziną i nawet kamera zatrzymała się na nim dłużej, bo leciały mu łzy. Mąż wrócił dopiero w nocy, nic mu nie mówiłam, ale brat wie. I boję się, że mu coś zrobi. Powinnam z nim porozmawiać, ale nie wiem, jak zacząć. I ten sen o Hiroszimie. Co może znaczyć taki sen, jak pani myśli?

BIBI

A jak pani myśli? Jak pani rozumie ten sen? Jest w nim dużo agresji, prawda? Co według pani symbolizuje bomba, którą pani ma w torebce?

*Janina wstaje gwałtownie i syczy z bólu, widocznie zbyt nieostrożnie stanęła na zranionej stopie.*

JANINA

Muszę iść. Przepraszam. Ma pani rację, ta bomba, która może w każdej chwili wybuchnąć. Ta bomba to właśnie jest on, brat. Muszę z nim porozmawiać, zaraz. I jeszcze to, że w tym śnie boję się zasnąć... To znaczy, że nie mogę przegapić. Przepraszam, to za tydzień. Tak, pani ma rację...

BIBI

Nie, nie mówiłam nic takiego...

*Janina, kulejąc, podchodzi do drzwi, po drodze wyjmując z kieszeni banknoty, kładzie je na okrągłym stoliku i wychodzi bez słowa, nie zamykając za sobą drzwi.*

*Bibi nie rusza się z miejsca, patrzy za nią długo.*

*Wreszcie wstaje, zamyka drzwi i otwiera szeroko okno. Przysuwa swój fotel do fotela, w którym przed chwilą siedziała Janina. Siada w fotelu Janiny, zsuwa pantofle i kładzie stopy na swoim fotelu.*

## Odłona 2

*Bibi siedzi jak poprzednio i pali papierosa. Dzwoni telefon. Bibi wyciąga rękę i bierze ze stolika telefon. Patrzy, kto dzwoni, zaciąga się długo i dopiero wtedy przyjmuje połączenie. Jej głos jest nienaturalnie spokojny.*

BIBI

Tak, dobrze wycelowaleś. Mam przerwę.

BIBI

Nie, nie gniewam się.

BIBI

To nie było miłe, że wyjechałeś wcześniej i zostawiłeś mnie samą w obcym kraju. Ale było nieźle. Ciekawie.

BIBI

Mówiłam, że się nie gniewam. Myślę o pracy. Przecież jestem w pracy.

BIBI

Nie, nie chcę z tobą zerwać. Kocham cię.

BIBI

Co ty mówisz, Adam? Pytasz się mnie, czy masz się rozwieść? Chcesz zrzucić na mnie odpowiedzialność za taką decyzję? Nie jestem twoją terapeutką! Spytaj swojego terapeuty!

BIBI

To zafunduj sobie terapię. Bo ja nawet swojemu pacjentowi bym nie mogła...

*Bibi patrzy na telefon. Orientuje się, że jej rozmówca przerwał połączenie. Wzrusza ramionami i kładzie telefon na kolanach. Zastania twarz dłońmi.*

### **Odsłona 3**

*Na pierwszym planie balkon, bo scena została obrócona. Noc, za szybą dyskretne światło. Dwie sylwetki, scena miłosna, bardziej śmiała lub mniej. Może być muzyka. Kochankowie kochają się na podłodze, w kłębowski pościeli. Facet zasypia, kobieta podnosi się i nagle, jakby zobaczyła, że nie jest tu sama, gwałtownym ruchem okrywa się. Owinięta kocem wychodzi na balkon. Siada na krześle. Zapala papierosa. Siedzi i pali, skulona jak dziecko, patrzy na publiczność. To oczywiście Bibi, teraz widać ją dobrze. Nie wygląda na szczęśliwą.*

**Koniec sceny 5**





## Na lotnisku

**ONA:** *To stało się o ósmej piętnaście. Szóstego sierpnia 1945 roku. W Warszawie była wtedy pierwsza w nocy. 01.15. Czy nocą błysk byłby jaśniejszy, bardziej jaskrawy? Błysk bomby atomowej jest jaśniejszy niż tysiąc słońc.*

**ON:** *Jedno słońce mniej, jedno więcej. Co za różnica.*

**ONA:** *Pamiętasz noc z piątego na szóstego sierpnia 1945 roku?*

**ON:** *Nie pamiętam. Wiesz.*

**ONA:** *Warszawa, jak ona wtedy wyglądała? Morze ruin, prawda? I szkło, wszędzie szkło.*

**ON:** *Zwariowałaś! Nie było mnie jeszcze na świecie!*

**ONA:** *A skąd wiesz? A może byłeś wtedy w Hiroszynie? Może twoja dusza wciąż widzi tamten błysk.*

## Bliźniaczki

Bibi i matka jedzą obiad przy małym stoliku w wykuszu pracowni. Matka jest zamyślona, co chwila wędruje spojrzeniem do swojej rysownicy, zarzuconej papierami.

— Smakuje ci? — pyta Bibi.

— Tak, dobre — mówi matka, nawet nie patrząc na to, co je.

— Mamo, to laksa, najlepsza zupa na świecie, a ty ją jesz, jakby to była kartoflanka — mówi Bibi.

— Przecież powiedziałam, że dobra — mówi matka. — Ale nie tak dobra jak kartoflanka, którą jadłam w czterdziestym piątym.

Bibi śmieje się cicho.

— Mogłam zrobić kartoflanke — mówi.

— Nie jestem pewna, czy umiałabyś. To nie takie łatwe — mówi matka.

— Wiesz, idę jutro na przedstawienie, ale to nie jest przedstawienie — Bibi zmienia temat, bo najwyraźniej nie doczeka się pochwały za swoje danie. — To rodzaj instalacji, wystawy, ale to nie jest też wystawa. To się nazywa X-Apartments i widzowie chodzą po zwykłych mieszkaniach i w każdym mieszkaniu uczestniczą w jakiejś zastanej tam sytuacji, na przykład wchodzą do mieszkania, a tam na stole kolacja urodzinowa, ale nie ma solenizanta, a może Wigilia, zresztą nie wiem, co to będzie, nigdy nie uczestniczyłam w czymś takim. Ktoś mnie zaprosił, powiedział, że to jest taka psychogeografia, więc powinno mnie zainteresować. Takie przedstawienia były już w Niemczech, w Polsce będą pierwszy raz.

Matka podnosi głowę i patrzy na Bibi.

— Psychogeografia — powtarza. — Tak, w Niemczech. Pamiętam.

— Co pamiętasz?

— Wracałyśmy z Ravensbrück, szłyśmy do Warszawy przez Niemcy, przez puste wsie i miasteczka, wchodziłyśmy do opuszczonych domów i w tych domach... w każdym domu było inaczej, nikogo już tam nie było, ale czasem było jeszcze coś do jedzenia i właśnie tam, w takim pustym domu, dokładnie pamiętam ten dom, właśnie tam na kuchni stał garnek kartoflanki, mówiłam ci przed chwilą o tej kartoflance.

Niebieskie płócienne serwetki i niebieskie talerze, na kafelkach w kuchni były niebieskie imbryki. Nigdy potem nie jadłam takiej kartoflanki — mówi matka i pochyla się nad miseczką, w której pływają krewetki.

Bibi odkłada porcelanową łyżkę. Wstaje, podchodzi do otwartego okna i zapala papierosa. Widzi ulicę, odnowiony Nowy Świat, niebieskie kwiaty w kamiennej donicy, ludzi w kolorowych płaszczach, słońce i cień równo dzielące ulicę na połowy.

— Mamo, ty byłeś w Ravensbrück? Czy to znaczy, że podczas wojny byłeś więźniarką obozu koncentracyjnego Ravensbrück? — pyta podniesionym głosem.

— Owszem — odpowiada matka, jedząc zupę.

— Nigdy przedtem o tym nie mówiłaś. Nie wiedziałam, że byłeś w Ravensbrück. Dlaczego mi nie mówiłaś? Musisz mi o tym opowiedzieć — mówi Bibi.

— Nic ci nie muszę opowiadać. Nie jestem twoją pacjentką. Teraz też nie chciałam ci o tym mówić, przepraszam cię. Naprawdę nie chciałam. To przez tę kartoflanę. Świetna ta twoja laksa, naprawdę. Nigdy nie jadłam nic podobnego — mówi matka.

— Dlaczego? — pyta Bibi. — Dlaczego nie mówiłaś?

Matka podnosi głowę i patrzy na Bibi. Trwa to długo, może pół minuty.

— Raz ci o tym powiedziałam. Niechcący. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłam coś takiego powiedzieć. To było w Domu Towarowym na Woli. Chciałaś, żebym kupiła ci drewniane taczki, a ja powiedziałam, że nigdy nie kupię ci tacek, bo w obozie woziłam trupy na taczkach. Sprzedawczyni popatrzyła na mnie jak na wariatkę. Miałam nadzieję, że tego nie zapamiętałaś, miałaś wtedy cztery lata.

— Pamiętam: ty, w czerwonym płaszczu i w butach na obcasach pchasz taczki, na których leży martwa dziewczynka, zupełnie naga. Taki sen śnił mi się całym latami, opowiedziałam go na swojej terapii i na podstawie tego snu pracowałam nad moim stosunkiem do matki. Czyli do ciebie. Ale dlaczego nie wiedziałam? Nie rozumiem. Czy ty ze wszystkiego musisz robić tajemnicę?

— No tak. Jesteś już dorosła — mówi matka. — Ale jak byłaś mała, postanowiłam, że będę młodą matką. To ci się należało, mieć młodą matkę, która ma młode wspomnienia, a nie takie wspomnienia, które może mieć babcia. Sześćdziesiąty ósmy, marzec, hippisi, trawa, na takie

wspomnienia mogłam sobie pozwolić, ale nie wspomnienia z Ravensbrück! Nie dość, że nie miałaś ojca, jeszcze miałaś mieć matkę, która mogłaby być twoją babcią?

— Już nie musisz się starać, mamó — mówi Bibi łagodnie.

— Jestem stara, nie muszę się starać — mówi matka i śmieje się głośno.

— Ale śmieszne — mówi Bibi i gasi papierosa.

Już nie ma ochoty na zupę, która nazywa się laksa.

— Przecież urodziłaś się w trzydziestym ósmym. Osiemnastego lipca — mówi.

— Trochę dawniej.

— Ile masz lat, mamó? — pyta.

Matka śmieje się jeszcze głośniej niż przed chwilą i jej twarz nagle młodnieje, błyszczą oczy, a policzki nabierają kolorów.

— Dowiesz się w swoim czasie.

Bibi domyśla się, co to znaczy w „swoim czasie”. To stanie się po śmierci matki. Wtedy Bibi otworzy serwantkę, która stoi w sypialni matki. W serwantce zamiast kryształowych kieliszków i porcelanowych figurek są tekturowe teczki. Wie, gdzie matka trzyma klucz, ale nigdy nie wpadło jej do głowy, aby tam zajrzeć.

— A powiesz mi wreszcie, kto jest moim ojcem? — pyta obojętnym tonem.

To pytanie pada raz na kilka miesięcy, począwszy od dzieciństwa Bibi. I zawsze pozostaje bez odpowiedzi. Tak jest i teraz.

Matka je zupę.

Nazajutrz, w niedzielę, matka idzie na obiad z wujem Emilem. Niedaleko, do Bristolu. Wuj Emil, adwokat spod Wrocławia, ilekroć przyjeżdża do Warszawy, zatrzymuje się w Bristolu. Tak robił jego ojciec przed wojną, tak robi i on, dziewięćdziesięcioletni, stary mężczyzna z łysą, piegowatą głową.

— Chyba zwariował! To najdroższy hotel! On wydaje na to resztki swoich oszczędności! Mógłby zatrzymać się u nas! I jeszcze upiera się, że mamy tam zjeść obiad! — wykrzykuje matka.

— On musi tam nocować. Bristol i *Pan Tadeusz*. To są stałe punkty w jego życiu, rozumiesz, mamó? — mówi Bibi.

Matka rozumie, o co chodzi Bibi. Wuj Emil zna na pamięć całego *Pana Tadeusza*. Zawsze imponował tym na przyjęciach rodzinnych, ale zazwyczaj wiedział, kiedy przestać. Teraz zatracił tę świadomość, jak zdarzy mu się zacząć, to deklamuje i deklamuje, ostatni jego rekord to cztery i pół godziny po pogrzebie jego żony, ciotki Lusi.

Bibi nie wybiera się na ten obiad. Powiedz wujowi, że pracuję, rachunek będzie niższy, jak pójdziesz sama, mówi, a matka kiwa głową. Bibi nie lubi Bristolu. Gdy była jeszcze studentką, była tam na obiedzie właśnie z wujem Emilem. W łazience, gdy myła ręce, stanęła za nią platynowowłosa kobieta w czarnej koronkowej bluzce. Były same. Bibi widziała ją w lustrze i czuła zapach jej perfum. Kobieta trzymała w dłoni żyletkę.

— Masz śliczną buzię, mała. Ale nie myśl sobie, że będziesz tu pracować. To nie twoje podwórko — wysyczała kobieta.

— To przecież mój wujek Emil — wyjaśniła Bibi drżącym głosem.

Kobieta roześmiała się.

— Każdy jeden to wujek. Jak byłam młodsza, każdy chciał być moim wujkiem. Nie ma cię tu, bo koniec z tą śliczną buzią — powiedziała kobieta.

Bibi wyszła z łazienki blada jak prześcieradło, powiedziała, że dostała torsji, i wuj odprowadził ją do domu.

Od tamtego dnia Bibi nigdy nie była w Bristolu. Czasami przypomina jej się tamta kobieta w lustrze i zapach jej perfum. Bibi do tej pory nie wie, jakie to były perfumy.

Gdy matka wychodzi z domu, Bibi idzie do jej sypialni. Nie lubi tego pokoju, nie znosi mdłego, słodkawego zapachu tanich kosmetyków, jakich używa jej matka, zapachu kurzu i brudnej pościeli. Otwiera szeroko okno, w szufladce nocnej szafki znajduje klucz i staje przed serwantką, którą matka kupiła kiedyś w Desie. Jej sylwetka majaczy niewyraźnie w szybkach drzwiczek na tle półek zavalonych teczkami i papierzyskami.

Kartonowe teuczki są zakurzone, niektóre tak pożółkłe, jakby miały ze sto lat. Bibi wyjmuje je po kolei i przegląda. Czuje się w pełni usprawiedliwiona. Szuka śladów przeszłości, która nie jest wyłącznie własnością jej matki. To również jej przeszłość.

Rachunki, kwity, pocztówki z życzeniami, listy z Londynu od kobiety o imieniu Mucha, pisane na maszynie z angielską czcionką, z ogonkami i kreseczkami dopisanymi niebieskim długopisem. Dziesiątki listów pełnych opisów przedmiotów, domów i ludzi. Może ta kobieta była z matką w Ravensbrück, myśli Bibi, ale nie ma tyle czasu, aby czytać te listy. A może to nieprawda, może matka to sobie wymyśliła, jak można ukryć swoją datę urodzenia w czasach, gdy od człowieka ważniejszy jest jego PESEL?

Czego właściwie szuka? Dokumentu stwierdzającego, że jej matka była więźniarką Ravensbrück? Jakiego dokumentu? Wypisu, jaki dostają pacjenci opuszczający szpital? A może podziękowania za pracę, dyplomu, drobiazgu z wygrawerowaną nazwą „Ravensbrück”?

Wreszcie widzi tę nazwę na błyszczącej fotograficznej odbitce: na czarnym tle szarawy blankiet z poszarpanymi brzegami, na nim odręczny napis „Ravensbrück”, prawdopodobnie napisano go ołówkiem, może kopiowym, niebieskim, bo takie kiedyś były, ale czarno-biała fotografia nie wchodzi w takie szczegóły. Ogląda drugą fotografię. Już wie, jak wyglądał ten blankiet: po złożeniu stawał się kopertą, na której z jednej strony był adres nadawcy, a z drugiej adresata. List miał być napisany po wewnętrznej stronie. Widać ślad po znaczku, a obok czarną, wyraźną, okrągłą pieczęć ze swastyką. Nadawcą jest Kosowska Irena o numerze 49267 z bloku XIV F.K.L. Ravensbrück, a adresatem Andrzej Wolski, Groß Rosen, Schlesien, Konzentrationslager. List zaczyna się słowami „Lieber Andrzej”, kończy imieniem Irena, a pomiędzy nimi kilkadziesiąt niemieckich słów, wtłoczonych pomiędzy linijki, napisanych charakterystycznymi, okrągłymi literami, które Bibi zna od dzieciństwa i które w liceum nauczyła się podrabiać, aby pisać sobie zwolnienia z lekcji. Na górze, na wyznaczonym miejscu data: 30 viii 1944, poniżej chyba instrukcja wydrukowana małymi grubymi literkami, szwabachą, podpisana Der Lagerkommandant. A więc to prawda, prawda potwierdzona czarną pieczęcią ze swastyką, znakiem, który Bibi tyle razy widziała na murach i ścianach, na fotografiach, w filmach. A teraz jest tutaj, na kopercie listu jej matki do jakiegoś Andrzeja Wolskiego.

Bibi wkłada fotokopie do teczki i zamyka serwantkę. Znalazła to, czego szukała. Podchodzi do okna i patrzy na ulicę. Matka już powinna wracać, ale nie widzi jej wśród przechodniów.

Zapala lampę stojącą pod ścianą i lustruje pokój, czy wszystko jest tak, jak było. Pod serwantką leży plastikowy śmieć. To przezroczysta bransoletka z grubej, miękkiej folii, na której niebieskim flamastrem wypisano datę urodzenia Bibi, imię i nazwisko jej matki, słowo córka i godzinę, dwunasta dwanaście. Bibi wie, co to jest. Właśnie tym kawałkiem plastiku zaobrączkowano ją chwilę po urodzeniu, żeby nie pomylić jej z żadnym innym niemowlakiem ze szpitala na Karowej. To wzruszające, myśli Bibi, że matka to zachowała. I właśnie wtedy widzi drugą bransoletkę, leżącą trochę dalej, na dywanie. Jest identyczna, napisano na niej niemal to samo, różnią się tylko godziną: na tej jest dwunasta trzydzieści pięć.

Nie urodziła się dwa razy. To pewnie pomyłka, na jednej rączce miała pasek z napisem dwunasta dwanaście, a na drugiej dwunasta trzydzieści pięć. Tak zabawne, że warto to zatrzymać na pamiątkę. Dwadzieścia trzy minuty różnicy, może wypisywały to dwie osoby i zegarek jednej z nich śpieszył się. Ale istnieje jeszcze jedna możliwość: że tamtego dnia jej matka urodziła dwie dziewczynki. Że Bibi ma siostrę bliźniaczkę.

Bibi nie wie, kim był jej ojciec. Prawdopodobnie matka go dobrze znała, to nie mógł być anonimowy plemnik z próbówki. Nie w tamtych czasach, nie w tym kraju. Możliwość, że jej matka nie wie, kto jest ojcem Bibi, jest niewielka. Ale oczywiście istnieje. Czasami Bibi wyobraża sobie swoją matkę jako ofiarę zbiorowego gwałtu albo jako uczestniczkę prywatkowej orgii. A może Bibi jest córką swojego dziadka, przedwojennego architekta, który zmarł kilka miesięcy przed jej przyjściem na świat? Takie rzeczy też się zdarzają, i to częściej, niż na ogół się sądzi.

— Ta wiadomość nie jest ci do niczego potrzebna. Nie zmieniliby to twojego życia — tak nieodmiennie odpowiada matka na jej pytania.

Bibi nie potrafi wyobrazić sobie swojego ojca. Gdy o nim myśli, w jej głowie pojawia się pies, ogromny, biały owczarek podhalański. Ale nikomu o tym nie mówi. Do tej pory pamięta śmiech dzieci z podwórka, gdy im wykrzyczała: A mój tata jest bardzo zły! Mój tata jest psem i was pogryzie!

A teraz Bibi zaczyna się zastanawiać nad możliwością istnienia swojej siostry bliźniaczki. Gdyby rzeczywiście istniała, Bibi wyglądałaby jak

ona lub byłaby do niej bardzo podobna. Mogłaby więc o niej myśleć. Patrząc na swoje zdjęcie i myśleć: oto ona, moja siostra. Właśnie tak wygląda. Ale jak ma na imię? I co się z nią stało? Może matka i ojciec podzielili się swoimi córeczkami, jak w książce, którą Bibi czytała w dzieciństwie, *Mania czy Ania*?

Nagłym ruchem otwiera serwantkę i całą jej zawartość wymiata na podłogę. Siada na dywanie i zaczyna przeglądać wszystko od początku, papierek po papierku, zdjęcia, listy, kartki. Wreszcie z paczuski listów od osoby o imieniu Mucha wyławia ten, który nosi datę dwa miesiące późniejszą od dnia jej narodzin. Zaczyna czytać, ale jest w nim tylko drobiazgowy opis jakiejś bluzeczki, którą owa Mucha kupiła u Woolwortha dla jakiejś Doroty, a Dorota nie była za nią dość wdzięczna. I wtedy zapala się górne światło, sześć mocnych żarówek wiszącego u sufitu kryształowego żyrandola.

— Co ty tu robisz, Bibi? Szukasz czegoś? — pyta matka, bo to ona zapaliła światło. Stoi w progu pokoju z torebką przewieszoną przez ramię, z wyrazem oszołomienia na twarzy. Jest trochę pijana, to słyhać w jej głosie. Pewnie wuj Emil zamówił butelkę wina do obiadu i wypił swoim zwyczajem pół kieliszka, a resztę wypiła matka. Bibi podejmuje decyzję. Gdy zapyta, czy miała kiedyś siostrę, matka spojrzy na nią jak na wariatkę i wyjdzie z pokoju. Musi więc przyjąć, że naprawdę miała lub ma siostrę bliźniaczkę. Wstaje z podłogi.

— Dlaczego nigdy o niej nie rozmawiamy?! — krzyczy.

— A co by to zmieniło? I tak nie możesz jej pamiętać — mówi matka i siada na łóżku.

— Skąd wiesz, że nie mogę? A może ją pamiętam? — pyta ostro Bibi.

— Nie miałaś wtedy nawet dwóch lat.

— Dwóch lat? Co wtedy się stało?

— To był wypadek.

— Jaki wypadek?

— Nieszczęśliwy wypadek. Autobus, na Marszałkowskiej, na pasach. Jedna bliźniaczka zginęła.

— Jedna bliźniaczka? Jak miała na imię?

— Może to była Joasia. Czasem myślę, że Joasia. Ale może to była Basia. Nie wiem.

Bibi zrywa się z podłogi i staje nad matką, która siedzi na łóżku, jakby siedziała w tramwaju, wyprostowana, ściskając obiema rękami skórzaną



brązową torebkę.

— Jak to, nie wiesz? Przestań wreszcie opowiadać bzdury — mówi zimno.

Matka odwraca głowę w stronę okna i spogląda w nie z niepokojem, jakby rzeczywiście jechała tramwajem i bała się przegapić przystanek, na którym ma wysiąść. A potem, nie wypuszczając torebki z rąk, sztywno jak kukła przewraca się na łóżko. Układa głowę na poduszce, a nogi, obute w brązowe półbuty, na kocu. Bibi siada obok niej.

— Były strasznie podobne. Zupełnie takie same. Jedna umarła, a druga została. Obie żyły, jak je zawieźli do szpitala, ale wieczorem jedna umarła. Skąd miałam wiedzieć, która. One same nie wiedziały, która jest która. Chyba myślały, że są jedną osobą.

— Przestań wreszcie.

— Mówiły na siebie Asiabasia. To było zabawne. Gdy jedna z nich awanturowała się, żeby jej coś dać, wystarczyło to dać drugiej, a tamta uspokajała się natychmiast.

— A ja? Gdzie wtedy byłam?

— Wiedziałam, że nigdy tego nie rozumiesz. Byłaś jedną z nich.

— Przestań kłamać. Nazywały się Joasia i Basia.

Matka uśmiecha się.

— No właśnie. Dałam jej nowe imię, tej, która została. Beatrycze. Piękne imię, prawda, nie takie zwyczajne jak tamte. Beatrycze. To właśnie jesteś ty, Bibi.

Matka wciąż się uśmiecha, rozciąga usta w dziwnym grymasie, jakby nieudolny chirurg spaprał jej twarz. Co się dzieje? To alkohol? I dlaczego jest taka miła? Puszczą na chwilę torebkę i głaszczą Bibi po rękę. Nigdy tego nie robi.

— A grób? Co jest napisane na grobie? — pyta ostro Bibi.

— Jaki grób?

— Grób mojej siostry, Joasi albo Basi. Co jest tam napisane?

— Nie ma żadnego grobu. Nie lubię grobów.

— Jak to zrobiłaś? Jak ci się udało?

— Emil wszystko umie załatwić. Dobrze mieć prawnika w rodzinie.

— I lekarza też, prawda? To twoja cała rodzina, prawnik i lekarz.

— Jaki z ciebie lekarz. Doktor od opowiadania bajek — mówi z czułością matka.

— Połóż się obok mnie — prosi. — Pośpiemy sobie chwilkę.

Bibi tego nie słyszy. Nie chce tego słyszeć. Położyć się obok tej starej kobiety na jej łóżku pachnącym nieświeżą bielizną i zjełczalym kremem? Nie, to nie wchodzi w grę.

— Wszystkie ślady zatarłaś? — pyta.

Ale matka już śpi. Spomiędzy jej warg wydobywa się przeciągły, basowy jęk, chrapanie. Bibi patrzy na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy. Na łóżku leży stara wiedźma z podpuchniętymi oczami, z rzadkimi, długimi włosami, które wyglądają jak uczernione szuwaksem. Mogłaby tak spać na trawniku i nikt by się nie zdziwił.

Niech śpi, myśli Bibi. Niech sobie śpi.

Przykrywa matkę czerwonym szalem, który leży na oparciu fotela. Potem siada na dywanie i wraca do przerwanej pracy, do przeszukiwania kartonowych teczek. Ale nie znajdzie nic, nawet fotografii dwóch małych dziewczynek pod choinką czy na plaży.

Była Joasią czy Basią? Kto ją pamięta, gdy była częścią tandemu, jedną z dwóch bliźniaczek? Zdemenciały wuj Emil, w którego głowie są już tylko księgi *Pana Tadeusza*? Zostały jedynie plastikowe paseczki ze szpitala. Jeden z nich okalał kiedyś jej rękę, drugi rękę jej siostry. Który należał do niej, który do tamtej? Która z nich zjawiła się na świecie pierwsza?

Bibi wkłada wszystkie szpargały z powrotem do serwantki, upycha je byle jak i zamyka drzwiczki na klucz. Matka śpi bardzo mocno, w pozycji na baczność, kurczowo ściskając torebkę. Noski jej butów sterczą równo do góry. Bibi patrzy na nią i krzywi usta, jakby zaraz miała się rozplakać. Gasi lampy i wychodzi z pokoju.

W kuchni otwiera wino i zapala papierosa. Układa na stole dwa plastikowe paski, szpitalne identyfikatory bliźniaczek. Jeden z nich przymierza do swojego przegubu. Jest zbyt krótki, by objąć jej rękę. Wyjmuje z szuflady skocz i skleja ze sobą paseczki plastiku, robi z nich jedną bransoletkę. Teraz może wsunąć w nią dłoń.

Patrzy w szyby otwartego okna na swoje podwójne odbicie, jedno w jednym, a drugie w drugim skrzydle okna. Myśli o kobiecie, którą oskarżono o zabicie swojego dziecka. Może w przypadku jej siostry też tak było. Może to matka przechodziła wtedy przez tamtą ulicę, może to była jej wina, może była pijana, a może tylko nie radziła sobie z dwiema dziewczynkami i podświadomie wołałaby mieć jedną?

Tamta kobieta była u Bibi tylko trzy razy. Być może zabiła swoje

dziecko. W tamtej historii nic nie było jasne. Odbył się proces, kobieta odsiedziała 5 lat. Może dziewczynka wypadła z okna wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności? Nie tego dotyczyły ich rozmowy, zresztą Bibi wcale nie wiedziała, czy kobieta zna odpowiedź. Była skrzypaczką, grała w orkiestrze. Wszystko odnosiła do swojej córeczki, tęskniła za nią, ale wydawało się, że odczuwa ulgę, że nie żyje, tak jakby jej życie miało być niewypowiedzianą udręką. Słyszysz pani ten deszcz, te setki, miliony kropli, słyszysz pani, jak wałą w szyby i bębnią w jezdnię, dobrze, że ona już nie musi tego słuchać, każdą kroplę słysząc oddzielnie, tak powiedziała kobieta na trzeciej i ostatniej sesji. Nie zjawiała się więcej. Czasami padający deszcz przypomina Bibi tamtą kobietę.

Bibi i Adam jedzą lunch w Arkadii. Bibi patrzy na Adama, ale jej uwagę zaprzatają drzwi, które znajdują się za nim. A gdyby właśnie teraz weszła, myśli. Moja siostra, Joasia lub Basia. Jak byłaby ubrana? Tak jak ja czy zupełnie inaczej? A gdyby miała krótkie, tlenione włosy i ciemne okulary? Może jednak żyje, widziałam ją, ale nie poznałam, może jest gruba, przecież może być gruba, ja też byłabym gruba, gdybym się nie pilnowała. Może widuję ją czasem? Może wychowała się w Ameryce i właśnie przyjechała tu uczyć angielskiego, nawet nie wie, że urodziła się tutaj, ale czuje się tak, jakby tu już kiedyś była... Drzwi poruszają się, Bibi zamiera w oczekiwaniu. Wchodzi szczupła kobieta w dżinsach i kowbojkach, ma króciutkie, utlenione włosy, przyciemnione okulary.

— Co się stało, Bi? Zobaczyłaś dybuka?

Kobieta zdejmuje okulary i rozgląda się, patrzy przez chwilę na Bibi. Ma jasne oczy i jest dużo starsza, niż wydawało się przed chwilą, na pewno ma ponad 50 lat.

— Dlaczego zawsze jemy sushi? — pyta Bibi, żeby cokolwiek powiedzieć.

Jedzą dziś małe maki z kawałkami ogórka.

— Bo nie mamy nic innego do jedzenia — mówi Adam.

— Co ty mówisz?

— Gdyby zabrakło sushi, Warszawa by umarła z głodu. Już raz zabrakło nam sushi, to było podczas Powstania Warszawskiego. Cały świat nam współczuł. Żeby pomścić nasze cierpienie, Amerykanie

zrzucili bombę atomową na Hiroszimę. I od tego czasu już zawsze mamy sushi pod dostatkiem.

Bibi nie śmieje się. Odwróciła głowę i śledzi wzrokiem kobietę w kowbojkach, która właśnie wita się z siwym, wysokim mężczyzną, obejmują się i całują. Kim on jest dla niej? I kim ona jest, skoro nie jest moją siostrą, myśli Bibi. Była nią przez krótką chwilę, nie, zaledwie miała taką możliwość, ale nawet sama możliwość sprawiła, że wydaje się Bibi bliską osobą.

— Przepraszam cię, Adam, coś sobie przypomniałam. Muszę wracać do gabinetu — mówi nagle Bibi.

— Co się stało? — pyta Adam.

— Muszę iść, przepraszam. Zapomniałam. Dzwoniła pacjentka, że ma coś i umówiłam się z nią godzinę wcześniej. Boję się, że już czeka pod drzwiami. Nie gniewaj się — mówi szybko Bibi i wyjmuje z torebki okulary przeciwsłoneczne.

— Poczekaj, odprowadzę cię — mówi Adam, podrywając się z miejsca.

— Nie, nie, zostań, proszę cię — rzuca Bibi i wybiega.

W gabinecie od razu wychodzi na balkon, zapala papierosa i siada na wiklinowym krześle. Siada tak, aby widzieć wnętrze pokoju, a właściwie obraz, na którym dwie dziewczynki z czarnymi warkoczykami wyglądają przez okna niebieskiego autobusu pod niebem pokrytym stalową łuską. Ten obraz, namalowany przez matkę dawno temu, nosi tytuł *Portret podwójny*. Jeszcze wczoraj Bibi zupełnie inaczej rozumiała to słowo, podwójny. To był tylko jej portret, tyle że podwójny. Dziewczynki mają takie same brązowe płaszczyki i takie same brązowe oczy. Jedna się śmieje, a druga patrzy w dół z poważną miną. Może patrzy na coś, co leży na jej kolanach, misia, jabłko, książkę?

— Ale byłam głupia — mówi Bibi do siebie.

I przypomina sobie, jak w dzieciństwie matka kupowała jej dwie pary takich samych dzinsów, dwie pizamy, dwie czerwone ortalionowe kurtki. Na wszelki wypadek, gdyby Bibi podarła lub zgubiła. Ostatnie były dwie identyczne wizytowe torebki, które dostała od matki przed studniówką. Torebki były naprawdę brzydkie, a ich brzydotę potęgował fakt, że były dwie. Nie mam zamiaru iść na studniówkę z tymi koszmarami, zrobię sobie torebkę z gazety, wrzasnęła wtedy Bibi, a matka zaczęła się śmiać. Skończyło się na tym, że matka zrobiła jej torebkę z gazety, z „Trybuny Ludu”, potem ta torebka wylądowała na

jakiejś wystawie, a po kilku latach kupiło ją muzeum sztuki użytkowej w Amsterdamie.

Gdy dzwoni domofon, Bibi wciąż patrzy na obraz. I nie może oderwać od niego wzroku, nawet wtedy, gdy do gabinetu wkracza pacjent, pięćdziesięcioletni wychudzony mężczyzna, anorektyk, mężczyzna kościotrup o szarej twarzy i zapadniętych oczodołach. Gdy pojawił się po raz pierwszy i nie był jeszcze zdecydowany na dłuższą terapię, nawet nie chciał usiąść, chodził po gabinecie jak pies w obcym miejscu i zatrzymał się nagle przed tym właśnie obrazem, na którym dwie takie same dziewczynki jadą autobusem, jakby zaskoczony, że go widzi. Przypatrywał mu się kilka minut, milcząc.

— Ach, ten obraz — powiedział wreszcie. — To ciekawe, bo wie pani, moja firma kupiła cztery obrazy pani matki z bliźniaczkami, wiszą u mnie w gabinecie. Ale ten podoba mi się bardziej niż tamte, to niesamowite niebo jak rybia łuska, mógłbym na nie patrzeć cały dzień, gdyby pani kiedyś chciała pozbyć się tego obrazu, proszę pamiętać o mnie. Dopiero teraz widzę wyraźne podobieństwo, ale przecież przedtem nie znałem pani osobiście, to pani i pani siostrzyczka, bliźniaczka, prawda? Niewiele się pani zmieniła, naprawdę, działają na mnie uspokajająco, te obrazy wiszące w moim gabinecie, nawet inspirująco, tak, inspirująco. Ciekawe, która z dziewczynek jest panią, a która pani siostrą, na każdym z obrazów jedna ma opuszczony wzrok, a ta druga jest nieco potargana i ma krzywo zapięty płaszczyk, co sugeruje, że ta druga jest żywsza i śmielsza, mniej subordynowana. Och, przepraszam, nie powinienem był o to pytać, proszę uznać moje pytanie za niebyłe.

Wtedy Bibi nic nie powiedziała, wtedy nie miała jeszcze siostry.

— Ta potargana to ja, bo z całą pewnością jestem żywsza niż tamta, która w sobie nie ma ani kropli życia — tak mogłaby wtedy odpowiedzieć.

Teraz mężczyzna oddycha głęboko i przesuwając skórzaną fotel tak, by widzieć drzwi. Nigdy nie siadam tyłem do drzwi, powiedział podczas pierwszej wizyty i zawsze siadał tak, aby jednocześnie widzieć drzwi i okno.

A więc siada w fotelu, zakładając patykowatą nogę na nogę, obie

w dzwonowatych nogawkach z zielonego, wytartego aksamitu, i zaczyna opowiadać o kolacji, na której był z kontrahentami z Paryża.

## Babka Tower. Scena 6

*W tej scenie widać tylko pacjenta, bardzo chudego mężczyznę z siwiejącymi włosami do ramion w zielonych dzwonach z wyliniałego aksamitu, obcisłym, wyświechtanym, ręcznie robionym szarym sweterku z wycięciem w serek i sztybletach bitelsówkach, znoszonych i popękanych, ale wyglansowanych na połysk. W second handzie strój taki kosztowałby najwyżej 20 złotych, ale ma w sobie styl, być może dzięki stylizacji fryzury mężczyzny: włosy czyste i w dobrym gatunku, obcięte idealnie równo. Oraz kanciasty, stalowy zegarek Schaffhausena (IWC Da Vinci Vintage Chronograph) na pasku z krokodylej skóry 7550 €.*

*Scena jest tak obrócona, że Bibi siedzi tyłem do publiczności. I tylko pacjent mówi.*

### CHUDY MĘŻCZYŻNA

Śnił mi się obiad. Nie spodziewała się pani tego, prawda, zna pani przecież mój stosunek do jedzenia i do tych, którzy wciąż jedzą, Boże, jak ja nienawidzę tych podpuchniętych, księżycowych, bezwłosych twarzy, rzygać mi się chce, jak patrzę na moich pracowników, młodzi i zatyci, kiedyś młodość musiała się wyszumieć, teraz musi się nażreć, oni nawet rozmawiają o jedzeniu, czytają o jedzeniu, oglądają jedzenie na ekranie, a nawet wymieniają się przepisami, mężczyźni na stanowiskach, czy pani uwierzy? Niech pani popatrzy na moje spodnie, uszyłem je sobie w liceum, o, niech pani spojrzy, nawet nie obrębiłem u góry, tak mi się śpieszyło, bo miałem iść na prywatkę, i ciągle są dobre, a nawet trochę za duże, ale to dobrze, jak opadają, to się robią biodrówki, to bardzo sexy, oczywiście, że nie pójde w nich do firmy, do firmy wkładam garnitur, chociaż czuję się w nim jak w obozowym pasiaku, szyję garnitury w Londynie, tylko tam znalazłem fachowca, który rozumie, o co mi chodzi, mam budzić szacunek, a nie litość. Mam odczucie, że pani mnie rozumie, jest pani elegancką kobietą, no i te nogi, uda bezbłędnie trzymające gramaturę, mogłaby pani chodzić w miniówie, również papierosy, nie mógłbym być szczery z osobą, która nie pali, nie mógłbym czuć się swobodnie w pomieszczeniu pozbawionym choćby nutki papierosowego dymu, palę 2 paczki, na

śniadanie papieros, na lunch dwa, dlatego jestem zawsze głodny, mam to od dzieciństwa, przyzwyczałem się do głodu, głód mnie napędza i powoduje, że chce mi się żyć, najadam się tylko w nocy, przez sen, bo zazwyczaj śni mi się jedzenie, jak wczoraj, ten wystawny, nad miarę obfity obiad, jadłem go z przyjemnością, zachłannie, nie mogłem przestać, siedzieliśmy przy stole, rodzice i brat, brat już był dorosły, nie widziałem go dorosłego, w moim śnie wyglądał jak ja i był tak samo ubrany, mieliśmy obaj błękitne garnitury Zegny, zabawne, nigdy nie miałem garnituru Zegny. Rodzice mieli pomarańczowe więzienne uniformy, byli bardzo młodzi, mieli ogolone głowy, nie wiem, skąd wiedziałem, że są moimi rodzicami, głównym daniem tego obiadu były steki, wielkie jak talerze tibony. Myślałem o tym śnie, jadąc do pani, i analizowałem go, to nie było zbyt trudne, to nie był żaden symboliczny sen, prosta reminiscencja z poprzedniego dnia, z prawdziwego obiadu w restauracji, wczoraj naprawdę miałem na talerzu tibona i musiałem go zjeść, przez kontrahentów z Paryża, to oni chcieli iść do restauracji, w której podają tibony, dla mnie taki kawał mięcha wystarczyłby na cały tydzień, wczoraj przysługiwały mi tylko liście sałaty, ale takie zamówienie mogłoby zostać odczytane jako oskarżenie tych, którzy zabijają i pożerają kochane krówki z reklam Milki, więc zamówiłem kotlet i sałatę, nie zamówiłem tylko frytek i wspomniałem, że hołduję diecie Montignaca, ostatecznie siedziałem przy stole z Francuzami. Wspomnienie o jakiejś diecie, najlepiej dopuszczającej drogie potrawy i niewymagającej wyrzeczeń, może tylko świadczyć o tym, że człowiek poważnie traktuje swoje ciało, a zatem jest odpowiedzialny, mogłem wybrać dietę Ducana, również Francuza, ale Montignac wydał mi się lżejszy i elegantszy, nie tylko przez bardziej wyrafinowaną dietę, ale również przez podobieństwo nazwiska do barona Montesquieu, czyli Monteskiusza, nawiasem mówiąc, sądząc po fizjonomiach obu panów, wegetariańska dieta Monteskiusza była skuteczniejsza od diety Montignaca, poza tym obaj nosili imię Michel i obaj dożyli sześćdziesięciu sześciu lat, to interesujące, prawda? Niezależnie od diety mój problem pozostał: jak zjeść olbrzymi stek, nie jedząc go, nieoczekiwanym sprzymierzeńcem stała się sałata, zielenina, która jest zazwyczaj przysmakiem żywej wołowiny, ode mnie dostała zadanie pożarcia wielkiego wołowego steku. (*śmiech*) Odkrawałem kawałeczki mięsa i wsuwałem je pod mięsiste liście sałaty, a potem rzuciłem na



talerz zmiętą serwetkę, chyba nikt tego nie zauważył, ale na pewno w kuchni odkryto prawdę i trochę się zdenerwowałem, słysząc na koniec standardowe pytanie „czy panu smakowało?”, odpowiedziałem, że stek był wysmażony w sam raz, i roześmiałem się, jakbym powiedział dowcip, ale dużo mnie to kosztowało, ta myśl, że oni wyrzucą mój stek, teraz jedzenie jest religią i wyrzucanie należy do rytuału, bo listy składników i terminy ważności są prawdami objawionymi, jeden dzień po albo zawiera coś, co według świętego oficjum przeszło na stronę zła, jakieś gluteny czy parabeny, i już, hops do kosza, ja nie wyrzucam, nigdy, najwyżej gdy nie mam już wyjścia, zwracam obiad w toalecie, ale to nie jest już obiad. Tym razem skazałem na zmarnowanie stek za 72 złote, to nie dawało mi spokoju, zaogniło moje kainowe piętno, wolałbym, żeby ten tison podano następnemu gościowi, ale go pokroiłem, a w tym lokalu nie mieli w karcie gołąbków ani mielonych, myślałem o tym i myślałem, i coraz gorzej się czułem, koło północy, jak już pozbyłem się Francuzów, wróciłem tam, chciałem spytać, co stało się z tymi resztkami, i ewentualnie poprosić o zapakowanie, ale restauracja była już zamknięta, dlatego przyśnił mi się ten obiad, musiałem zjeść w końcu tamten stek. Ten sen był dalszym ciągiem wczorajszego dnia, happy endem, który powstał w moich szarych komórkach, każdy w tamtym śnie symbolizował wyłącznie samego siebie: mój brat był moim bratem, a rodzice rodzicami, stek był tylko stekiem, nie symbolem seksualnym, obiad był obiadem, którego nigdy wspólnie nie zjedliśmy, błękitne garnitury były możliwością, może nosilibyśmy takie garnitury, na targach we Frankfurcie poznałem francuskie bliźniaczki, mają jakąś firmę modową, one zawsze ubierają się tak samo i jedna lata na paszport drugiej, choć dużo starsze ode mnie, polubiły mnie, pomiędzy osobami, które mają bliźniacze rodzeństwo, często zawiązuje się więź. Często się mówi: przecież się nie rozdwoję, a w wypadku bliźniąt rozdwojenie jest faktem, w tym śnie było to widać jak na dłoni: byliśmy tacy sami, nawet wzór na krawacie ten sam, rodzice wyglądali jak na filmie o więźniach Guantanamo, tylko czarnych kapturów im brakowało, byli dwa razy młodszy ode mnie i brata, mieli mniej więcej tyle lat, ile wtedy, gdy ich zamknęli. Gdyby naprawdę jedli z nami obiady, mój brat by żył, umarł, gdy mieliśmy po 3 lata, mówiłem już pani, ale nie powiedziałem najważniejszego: umarł z głodu, ważył sześć i pół kilo, a powinien ważyć koło piętnastu, takie są normy dla trzylatków, ja ważyłem prawie

dziesięć, też za mało, ale jednak więcej, te liczby mówią same za siebie, znalazłem je w starych gazetach, tamta sprawa była szeroko opisywana. Zabierałem mu jedzenie, tak to musiało być, tego nie da się zmienić, mnie też powinni byli zamknąć, to moje kainowe piętno, wcale nie chcę, żeby zniknęło. Teraz już pani rozumie, widzi pani, jak to wszystko się składa, jestem modelowym pacjentem, mam problemy z odżywianiem, bo przeze mnie mój brat umarł z głodu, to proste jak drut, a określenie celu naszych spotkań to inna sprawa, przychodzę tu tylko dlatego, że tak mi zasugerował lekarz z firmy ubezpieczeniowej. To była pani intuicja, to ciągle wracanie w rozmowach do mojego zmarłego brata, miała pani rację, poszedłem do czytelni i teraz wszystko wiem, moi przybrani rodzice nie powiedzieli mi tego, wystarczyło przeczytać „Express Wieczorny”, nic nadzwyczajnego, takie historie zdarzają się wszędzie, rodzice morzą dziecko głodem i dziecko umiera, niedawno w Wielkiej Brytanii, wcześniej w Australii, ja ocalałem dzięki mojemu bratu, jak umarł, to zainteresowano się i mną. Wielu ocalańców ma to kainowe piętno, nawet jeśli nie zrobili nic złego, tylko dlatego, że zajęli miejsce w łodzi ratunkowej, puli szczęśliwców wyznaczonej przez opatrność, tylko to piętno zostało mi po moim bracie i wie pani, co postanowiłem? Jak już będę miał umrzeć, jeśli będę miał możliwość wyboru, wybiorę śmierć głodową, to taka czysta, ascetyczna śmierć, ekologiczna, można powiedzieć.

### ***Koniec sceny 6***

Matka śpi przy włączonym telewizorze. Leży na narożnej, białej kanapie, na której mogłoby zasiąść wygodnie dziesięć osób. Wygląda jak zniszczona lalka, z pomarszczoną, wyschniętą twarzą i otwartymi ustami.

Ostatnio często sypia w ubraniu, na kanapie lub w fotelu: twierdzi, że tylko wtedy łapie sen, jeśli go zaskoczy. Jeśli przygotowuje się do snu i położy do łóżka, sen pierzcha. Polowanie na sen polega na udawaniu, że nie chce się zasnąć, że ogląda się ciekawy film lub czyta zajmującą książkę w niewygodnej pozycji i zasypia tak szybko, ile trwa strzał. Zamiast strzelać do zająca, strzela się do snu. Tylko cel jest inny: zając ma zostać zabity, a sen ma zabić myśliwego. Na jakiś czas, na godzinę lub dwie.

Któregoś dnia, gdy Bibi i jej matka idą razem do Żółtych Tarasów kupić matce nową parkę, widzą mężczyznę śpiącego na trawniku. Pewnie jest pijany, myśli Bibi, wyjmuje telefon i wybiera numer Straży Miejskiej.

— Zostawmy go. On śpi — mówi matka i uśmiecha się z czułością, jakby mężczyzna leżący na trawniku był niemowlęciem, które właśnie zasnęło w swoim białym łóżeczku.

Bibi rozumie ją: matka, cierpiąca na bezsenność, sen kogoś innego traktuje jak zjawisko bezcenne i cudowne. I Bibi patrzy przez chwilę na tego mężczyznę oczami swojej matki. Już nie myśli o nim jak o pijaku, który zwałił się bezwładnie tam, gdzie stał. Przygląda mu się dokładnie i widzi emerytowanego urzędnika z małego miasta, z Otwocka albo Tomaszowa, który przyjechał do Warszawy. Ma gabardynowy, podniszczony płaszcz, wyczyszczone brązowe półbuty, może kupione przed wielu laty w NRD i teczkę ze skaju, trzyma ją mocno, leżąc na niej. Leży na prawym boku, lewą nogę ma zgiętą, prawą dłoń wsunął pod głowę. A może nie jest pijany? Może, oszołomiony wielkim miastem, poczuł nagłą senność i musiał się położyć?

A więc matka śni. We śnie wydaje jej się, że zamiast powiek ma trzepocące motyle i nie może wyzwolić się spod ich trzepotu. Bibi jednak widzi tylko, jak matka, pogrążona w głębokim śnie, mruga szybko i cicho, jakby jej powieki były skrzydłami motyli.

Telewizor jest wielki jak okno, które majaczy szkłem w głębi pokoju. Bibi widzi w nim prezydenta, który niedawno zginął, człowieka leżącego w kamiennej krypcie. W prawym górnym rogu widać napis „na żywo”.

Ale nie, to nie on, to ten drugi, bliźniak, ten, który został.

Jak to jest, myśli Bibi, być zawsze z kimś, od poczęcia, od tego momentu, który jest jak wielki wybuch, stworzenie świata. Zawsze byli razem i musieli wszystko dzielić — matkę, jej piersi z czerwonymi sutkami, ubrania, zabawki, pieszczoty rodziców i spojrzenia obcych ludzi. Faza edypalna: nawet ją zapewne musieli przeżywać razem: ojca jest łatwo pominąć w swoim hipotetycznym związku z matką, ojciec jest stary i już bezużyteczny. Ale jest jeszcze ten drugi, a właściwie nie, nie drugi, ale jeden z dwóch, taki sam jak ten, którego chłopiec widzi w lustrze. I pięciolatek nie mówi: mamó, jak rozwiedziesz się z tatą, to ja się z tobą ożenię, to zdarza się dość często i za każdym razem jest uroczce. Mówi: ożenimy się z tobą, mamó.

Jak to jest, myśli Bibi, jak to było? Czy czyjaś bezustanna obecność i fakt, że niczego nie można mieć na własność, nie tylko matki, od której w pewnym okresie tak trudno się odróżnić, ale też nosa, włosów, oczu, nie powoduje poczucia zamknięcia, klaustrofobii, chęci, aby choć na chwilę być jedynakiem, osobą jedyną i niepowtarzalną? I tak, jak czasami nienawidzi się siebie, to uczucie można przenieść na brata. Czy tak być mogło? Czy choć przez jeden moment chłopiec mógł pragnąć, aby jego brat nie istniał?

Bibi, która od niedawna rozważa nieobecność swojej siostry bliźniaczki, teraz rozważa życie braci bliźniaków. Patrzy w telewizor i widzi człowieka, z którego oczu wyziera poczucie winy: za jakąś dawną myśl, za cień zazdrości, za to, że nie było go w tamtym samolocie i nie udaremnił lądowania we mgle, za to, że on żyje, a tamten zginął.

A ja, myśli Bibi, dlaczego ja żyję, a nie ona? A ile razy jej matka, patrząc na Bibi, tęskni do tamtej, która wtedy zginęła? Jak to się stało, wtedy, na Nowym Świecie, gdy jej siostrę zabił autobus? A może to była wina Bibi? Może to właśnie ona wybiegła na ulicę, wrywając rączkę z ręki niani i pociągając za sobą siostrę?

Tak jest zawsze, myśli Bibi. Zawsze coś jest pod spodem, dokopujemy się do tego, ale to jeszcze nie koniec. Pod tym, co wydaje się dnem, jest jeszcze dno następne, a poniżej jeszcze jedno, jak w kopalni, kolejne krzyżujące się ze sobą chodniki. Jak u dentysty o imieniu Przemysław, do którego chodzi Bibi. To malutka dziurka, zrobimy to raz-dwa, mówi

Przemysław, a potem draży i draży, aż kończy się to zazwyczaj na leczeniu kanałowym i to tylko dlatego, że dalej już nie można. Lepiej za głęboko nie drażyć, myśli Bibi i śmieje się, bo to przecież jej praca, odgrzebywanie, zdejmowanie warstwy za warstwą, archeologia osobista, obóz rozbity w jakimkolwiek miejscu, zwykłym i nudnym jak szkolna klasa lub dziecięcy pokój, żmudne kopanie, omiatanie z czasu, zdmuchiwanie pyłu, żeby znaleźć wyszczerbione naczynia, trochę kości, figurkę dziewczynki. Bibi pamięta taki obóz archeologów — rozbito go po drugiej stronie rzeki, nad którą spędzała wakacje, kiedyś, gdy była dzieckiem. To była pustynia, na której rosły tylko jałowce, rzekę można było przepłynąć wpław i potem chodzić na bosaka po piasku i niskich, kłujących porostach. Patrzyła z podziwem na archeologów, śliczną młodą kobietę i jej brodatych kolegów, spalonych słońcem, w spłowiałych szortach. Przeprawiali się tu łódką i spędzali całe dnie na wydobywaniu z ziemi kawałków glinianych naczyń. Dokopali się w końcu do cmentarza ofiar epidemii cholery, czyli jak mówili ludzie we wsi, cmentarza choleryków. Nic ciekawego, usłyszała pewnego dnia w rozmowie dorosłych, trochę trupów i skorup, nic więcej.



## W księgarni

**ON:** Popatrz. Świetne zdjęcie.

**ONA:** Widzę. Chłopak i dziewczyna, patrzą na krajobraz. Nic więcej.

**ON:** Spójrz. Pusto i płasko. Zostało tylko kilka domków- -pudełek. Podpisane jest Hiroszima 1946. Ułynął już rok. Pewnie te domki-pudełka zbudowali potem. Ten po lewej ma jakiś napis. Kazu powiedziała, że tam jest napisane „Hotelik Ukon”. Ukon to nazwisko. Chłopak i dziewczyna stoją na tarasie jakiejś zniszczonej konstrukcji, patrzą w dół przez wyrwę w metalowej siatce. Wyglądają jak na wycieczce, popatrzą i zaraz pojedą do hotelu albo restauracji.

**ONA:** Masz rację. Chłopak w białej koszuli, ciemnych spodniach z tylną kieszenią zapiętą na guzik, ma gładkie, czarne włosy, opiera się o mur, w lewej dłoni trzyma kapelusz. Nie widać jego twarzy. Dziewczyna odwróciła głowę i patrzy na fotografa. Ręce oparła na czarnej płaskiej torbie, dziś pewnie byłby w niej laptop. Ubrana w letnią, kwiecistą sukienkę za kolana, z bufiastymi rękawkami, ma cienkie pończochy albo nie ma ich wcale, na stopach chodaki. A przed nimi to, co zostało z miasta. Pustynia. Zamiast domów pozostałości po domach. Kominy sterczące z ziemi. Niepozamiatana połać krajobrazu. Tylko góry na horyzoncie nietknięte. Po wybuchu carbombi nie byłoby ich, na pewno.

**ON:** Przypomniało mi się inne zdjęcie. Też z '46. Tutaj, w Warszawie. Dziewczynka stojąca na dachu, oparta o komin, patrzy na spłaszczony krajobraz jak ci Japończycy. Ma spódnice na szelkach i za dużą flanelową koszulę w kratę. A na bosych stopach zniszczone męskie półbuty, wielkie jak kajaki. Poczekaj, to było na fejsbuku, zaraz... Widzisz?

**ONA:** O, ma dwa różne buty, od różnych par. Ile ona może mieć lat? Osiem, dziesięć? Urodziła się jeszcze przed wojną, wtedy, gdy było tu jeszcze miasto. A teraz pustkowie. Górki i dołki, wykroty. Jak to możliwe, że stały tutaj kamienice? A może był tu las, który wykarczowano? Na horyzoncie widać kościół i skrzyżowanie ulic, nie, już nie ulic, tylko dróg przecinających ugór. Ciekawe, kto zrobił to zdjęcie.

**ON:** To akurat wiadomo. Reginald Kenny, Amerykanin.

**ONA:** Może tamto w Hiroszynie też zrobił Kenny?

**ON:** *Myślisz, że jeździł po zburzonych miastach i strzelał zdjęcia, jak ktoś patrzy na gruzy?*

**ONA:** *Nic nie rozumiesz. Jak patrzysz na kogoś, kto patrzy, widzisz więcej. Nie tylko przez obiektyw kamery, ale oczami tych ludzi. Tych Japończyków, tej dziewczynki. Fotograf wyjeżdża, a oni zostają. Więc myślę też o nich, co z nimi się stało, co robili potem.*



**Hiroszima**

## Babka Tower. Scena 7

*Bibi: brązowa dżersejowa sukienka z golfem American Apparel 64 €, brązowe kozaki Pollini 406 €, wiszące kolczyki z zielonym agatem i czarnym onyksem W. Kruk 399 zł.*

*Janina: brązowa męska marynarka z second handu 22 zł, biały podkoszulek z supermarketu 19,99 zł, dżinsy Levi's 249 zł, brązowe sztyblety Bagatt 589 zł, stary, srebrny pierścień ORNO z brązowym bursztynem, po babci.*

### JANINA

W sobotę pokłóciłam się z mężem. Powiedziałam, że muszę iść do babci, bo śniła mi się Hiroszima. A dzieci były chore, syn miał wysoką gorączkę. Zawsze ja jestem z dziećmi. Ale już mi się nie chce. Powiedział, że jaka ze mnie matka, że chcę wyjść, gdy dziecko ma gorączkę. Że on nie wie, co ma robić. Powiedziałam, że zawsze może spytać na fejsie, co się robi z chorym dzieckiem. Na pewno ktoś mu poradzi. I następnym razem już będzie wiedział. Chciał iść do kina ze swoją dziewczyną.

### BIBI

Mąż powiedział pani, że chce iść do kina ze swoją dziewczyną?

### JANINA

Nie. Ale w toalecie zostawił „Co jest grane” otwarte na programie kin. Tylko udaje takiego mobilnego, ale jak chce iść do kina, to szuka w gazecie. I ubrał się jak hipsterek. I ta mina niewiniątka, i to niby zainteresowanie. Dziecko naprawdę chore, z gorączki widzi słonia w pokoju, a ten proponuje, że poczyta mu, i bierze z półki Brunona Jasińskiego. Jeszcze by większej gorączki dostało. I mimochodem pakuje do kieszeni portfel i kluczyki, żeby potem nie tracić czasu na szukanie, gdy zapytam, a co, musisz wyjść. Więc jestem szybsza i mówię, że muszę iść do babci. A ten mówi, że babcia czekała tyle lat, to jeszcze może poczekać.

BIBI

O jakiej babci pani mówi?

JANINA

O babci Toli, mamie mojej mamy.

BIBI

Ona umarła pięć lat temu, dobrze pamiętam?

JANINA

No właśnie. Nie byłam u niej od pogrzebu. W końcu poszłam, a mąż został. On nigdy nie lubił babci. Mówił, że to wariatka. On nie lubi nikogo z mojej rodziny. Siostry też nie lubi, chociaż jest taka ładna. Może ojca trochę lubi. I dziadka Daniela, męża babci Toli, by lubił.

BIBI

Dlaczego pani tak sądzi?

JANINA

Nie wiem, tak tylko myślę. Dziadek był profesorem od budowy statków. Był też kapitanem, żeglarzem, pływał po całym świecie. A dziadkowie męża sprzedawali gwoździe na Bazarze Różyckiego.

BIBI

A dlaczego mąż uważał babcię za wariatkę?

JANINA

Bo chodziła codziennie do kościoła. I ciągle pościła. Zawsze znalazła sobie jakiś powód, żeby pościć. Jak mąż miał egzamin na MBA, też ogłosiła post. Powiedziała, że nie będzie nic jadła przez tydzień, to na pewno zda.

BIBI

I co? Zdał?

## JANINA

Zdał. Przecież przez dwa lata nic innego nie robił, tylko się uczył. Dzieci były strasznie małe, zaczął te studia, jak byłam w ciąży z drugim. Gdyby nie babcia, nie wiem, jak bym sobie dała radę. Mąż mówił, że przez te jej posty przypisuje sobie wszystkie zasługi. I że to szantaż. Ale babcia wiedziała, co robi. Żyła prawie dziewięćdziesiąt lat i zawsze była zdrowa. Posty są zdrowe.

## BIBI

Kochała pani swoją babcię?

## JANINA

Kłóciłam się z nią. Ale to ona nauczyła mnie gotować. Nigdy nie spotkałam takiej kucharki jak ona. Nigdy nie próbowała podczas gotowania, a najchętniej nawet nie jadła tego, co ugotowała. Może uda mi się kiedyś zrobić dobrą lakse, ale jej kartoflanki, takiej, jak ona robiła, chyba nigdy nie zrobię. A ona najczęściej jadła tylko bułkę z masłem, tylko to. Często opowiadała mi taki kawał: Idzie dziadek przez wieś i mówi: dobra bułka z masłem, dobra bułka z masłem! A jadłeś, dziadku? Nie, ale ludzie mówili. Pamiętam ją najlepiej ze wszystkich. Ale najbardziej kochałam dziadka Daniela, chociaż nie zdążyłam go poznać. Umarł, jak byłam w brzuchu mamy. Tylko brat go znał. Na pogrzeb wziął ze sobą łopatkę, był mały i nikt nie zwrócił na to uwagi. Jak zakopywali trumnę, to podbiegł i też zaczął zakopywać tą swoją łopatką. Mama chciała go zabrać, ale babcia nie pozwoliła. Powiedziała, że jest taki zwyczaj, że chłopiec musi zakopywać swoich.

## BIBI

Więc najbardziej kochała pani dziadka Daniela. Dlaczego?

## JANINA

Gdyby dziadek żył, uwielbiałby mnie. Zawsze to wiedziałam, nawet jak byłam zupełnie mała, a on patrzył na mnie ze zdjęcia. Brat ciągle opowiadał nam o dziadku, a potem bawiliśmy się w jego przygody. Jak płynął dookoła świata albo jak spadła na niego bomba atomowa. Udawaliśmy, że dziadek wcale nie umarł, tylko mieszka na bezludnej

wyspie jak Robinson Crusoe i że dostajemy od niego list, który wrzucił do morza. Do tej pory mam ten list w butelce. Dziadek pisze, że niedługo wróci i ma nadzieję, że Tola, czyli babcia, przeżyła wojnę.

BIBI

A kto napisał ten list?

JANINA

Przecież mówiłam. Dziadek. Brat wziął go z pudełka, gdzie babcia trzymała listy. Zwinął go w trąbkę i włożył do butelki po wódce.

BIBI

Rozumiem. Wróćmy jeszcze do tego snu, o którym pani mówiła na początku. Więc śniła się pani Hiroszima. Proszę opowiedzieć mi ten sen.

JANINA

Nic tam się nie działo. Po prostu byłam w Hiroszynie. Mąż też tam był, ale nie ze mną. Były też dzieci i pies. Również jacyś znajomi, krewni, o niektórych wiedziałam, że już nie żyją. Najlepiej pamiętam babcie. Była ubrana w kimono. Siedzieliśmy w parku albo w ogrodzie, pod kwitnącymi drzewami, nie było widać niczego więcej, ale wiedziałam, że to Hiroszima. Było tam też mnóstwo nieznanym mi ludzi, w większości Japończycy, całymi rodzinami siedzieli na kocach, ich buty stały porządnie poustawiane na trawie. Mąż siedział obok kobiety ubranej jak gejsza. Było naprawdę pięknie, drzewa obsypane różowymi kwiatkami, zielone pagórki, jasnoniebieskie niebo z białymi chmurkami, a wszystko ukazane jak w błysku flesza, w strasznie jaskrawym świetle. Przytuliłam dzieci do siebie, zasłaniając im oczy, bo to światło naprawdę było zbyt mocne. Ale sama patrzyłam. Drzewa i kwiaty widać było tak ostro, że wyglądały jak płaskie dekoracje pomalowane fluorescencyjnymi farbami.

BIBI

Co pani myśli o tym śnie?

JANINA

Nic. Poczułam tylko, że muszę iść na cmentarz. Oni leżą w tym samym grobie, babcia i dziadek. A dziadek był w Hiroszynie.

BIBI

I dlatego bawiliście się, że na dziadka spadła bomba atomowa, tak?

JANINA

To była gra. Mieliśmy plan Warszawy dla dzieci, taki rozkładany, z narysowanymi domami. I mieliśmy pionki od chińczyka. Ustawialiśmy pionki na ulicach, a potem brat leciał bombowcem i na ten plan spuszczał z góry bombę. To trwało czasem dość długo i było nudne, krążył nad mapą i warczał jak samolot, aż w końcu rzucał bombę, czyli kostkę. Zamykał oczy, żeby nie widzieć, gdzie spada. Czasem w ogóle nie trafiał. Tam, gdzie kostka się potoczyła, było epicentrum. Epicentrum było najważniejsze. Tam nikt nie mógł przeżyć. A bomba mogła mieć siłę od jeden do sześciu, tyle, ile wyszło na kostce. Brat coś obliczał i rysował ołówkiem kółka dookoła epicentrum, a potem mówił, kto przeżył, kto był tylko poparzony, a komu nic się nie stało. Kto znalazł się najdalej, wygrywał. Ja miałam żółte pionki, to byłam ja, mój mąż i dzieci. Siostra miała niebieskie, ona nie miała męża, tylko trzy córki. A brat miał zielone pionki i wszystkie pionki były nim. Dziadek był białą wieżą, z szachów. Ja zawsze ustawiałam moje pionki koło Wisły, żeby wskoczyć do wody. Brat mówił, że to nic nie da, bo woda jest radioaktywna. Ale ja i tak wolałam wodę. A jak siostra ustawiała swoje córki, to każdą w innej dzielnicy, żeby zawsze któraś przeżyła.

BIBI

A kiedy pani dziadek był w Hiroszynie?

JANINA

Przecież mówiłam. Właśnie wtedy, w czterdziestym piątym. Szóstego sierpnia, jak spadła bomba.

BIBI

Skąd pani o tym wie? Od babci?

## JANINA

Nie. Babcia nigdy o tym nie mówiła. Ale czasem coś jej się wypsnęło. Na przykład „oj, bo trafisz z pieca do ognia, jak twój dziadek”. Jak w szkole rzuciłam jednego chłopaka, bo mnie pobił, i zakochałam się w drugim, to też mi tak powiedziała. I miała rację, bo ten drugi też mnie chciał pobić.



## BIBI

Co to znaczy, że pani dziadek trafił z pieca do ognia?

## JANINA

Bo dziadek w czasie wojny uciekł z Polski do Japonii i tam trafił do Hiroszimy, akurat jak spadła bomba. A jakby został tutaj, to skończyłby w krematorium. Z takim wyglądem pierwszy by trafił do pieca.

BIBI

Pani dziadek był Żydem?

JANINA

Nie wiem, może i był. Babcia mówiła, że był piękny jak Cygan, a latem, jak był opalony, wszyscy go brali za Mulata. Jak szedł ulicą, wszyscy się oglądali. Miał prawie dwa metry i był świetnie zbudowany.

BIBI

Pani też jest wysoka.

JANINA

Tylko ja i on jesteśmy tacy. Wszyscy inni, mama, siostra i brat są jak babcia Tola.

BIBI

I nigdy pani nie była pani ciekawa, czy pani dziadek był Żydem?

JANINA

A co to ma za znaczenie?

BIBI

Nie jest pani ciekawa, skąd się pani wzięła?

JANINA

Ja? Stąd. Wszyscy moi dziadkowie urodzili się w Warszawie.

BIBI

A nie myślała pani, że rodzina ukrywa, że dziadek Daniel był Żydem?

JANINA

Ukrywali, ale bombę atomową.

BIBI



Ale dlaczego? Jaki był tego powód?

JANINA

Brat mówi, że mama nie miała żadnego wypadku, że ona urodziła się bez ręki. Dlatego, że dziadek był w Hiroszynie. Napromieniowało go. A co by ludzie na to powiedzieli? Pewnie by gadali, że wszyscy jesteśmy jacyś felerni. Dzieciaki by się nie chciały z nami bawić, na pewno. Gdyby nie brat, tobym nic nie wiedziała. Ojciec do tej pory mówi, że brat wymyślił sobie tę bombę atomową.

BIBI

A pani brat skąd wiedział?

JANINA

Od dziadka Daniela. Dziadek mu wszystko opowiedział. Może chciał komuś to powiedzieć i powiedział bratu, bo myślał, że on i tak nie zrozumie. Był małym dzieckiem. Miał cztery lata, jak dziadek umarł, ale zapamiętał wszystko. Kiedyś myślałam, że to sobie wymyślił, żeby nam zaimponować, ale niedawno, chyba rok temu, okazało się, że to prawda. Bo brat znalazł w sieci wspomnienie jakiejś kobiety. Była wtedy dziewczynką, w Hiroszynie, jak rzucili bombę. Pamiętała, że jakiś czarny olbrzym wziął ją na ręce i zaniósł do szpitala. I że trwało to bardzo długo, a on przez całą drogę nie powiedział ani słowa. Potem myślała, że był duchem. Ale to był mój dziadek Daniel, wiem o tym.

BIBI

Skąd pani wie?

JANINA

Bo jak byliśmy dziećmi, brat opowiadał, jak dziadek niósł ranną dziewczynkę do szpitala, a ona cały czas do niego mówiła, ciągle go o coś pytała. A dziadek nic nie rozumiał. I milczał, bo nie chciał jej przestraszyć, że mówi w obcym języku.

BIBI

Myśli pani, że to prawda?

JANINA

Wcale nie myślę. Ja to widzę. Jak dziadek Daniel niesie dziewczynkę przez płonące i zrujnowane miasto. Zresztą na cmentarzu upewniłam się, że to prawda.

BIBI

Na cmentarzu się pani upewniła?

JANINA

Na grobie, na płycie, jest napisane „hibakusha”. Naprawdę. Daniel Hibakusha Dąbrowski. Jak to zobaczyłam, to już wiedziałam. Jakbym to sama usłyszała od dziadka.

BIBI

Co pani miałyby usłyszeć?

JANINA

No, że był hibakusha.

BIBI

Hibakusha? Co to znaczy?

JANINA

A, przepraszam. Dosłownie: osoba uszkodzona przez bombę atomową. W Hiroszynie i Nagasaki. Ci, co przeżyli wybuch bomby atomowej. Ja też kiedyś nie wiedziałam, ale jak brat znalazł wspomnienie tej dziewczynki, co ją dziadek zaniósł do szpitala, to zaczęłam chodzić po sieci i dowiedziałam się różnych rzeczy.

BIBI

Przedtem pani nie widziała tego napisu?

JANINA

Nie. A może widziałam, tylko myślałam, że to jakiś pseudonim, ksywa, której dziadek używał. Nie wiedziałam przecież, co to znaczy. Mąż powiedział, że to na pewno brat wymienił płytę nagrobną, bo ma hysia na punkcie Hiroszimy, że byłby do tego zdolny.

BIBI

A pani, jak pani myśli?

JANINA

Na pewno byłby do tego zdolny. Ale nie po to, żeby mnie wkręcić, tylko dlatego, że to prawda. Jestem pewna. Bo znalazłam jeszcze jeden dowód. Dlatego przyśniła mi się babcia. Naprawdę chciała mi coś powiedzieć.

BIBI

Jaki dowód?

JANINA

Jak wracałam z cmentarza, to kupiłam „Politykę”. W kiosku w metrze. W pociągu nie było wolnych miejsc, stałam i przeglądałam tę „Politykę”. I nagle jak przewróciłam stronę, to zrobiło mi się ciemno przed oczami i myślałam, że się przewrócę. Bo zobaczyłam tego świętego, co wisiał nad łóżkiem babci. Jak byłam mała, to modliłam się do niego razem z babcią, babcia mówiła, że to on uratował dziadka. Na obrazku wyglądał jak prawdziwy święty, miał żółtą aureolę i ręce takie jak święci, trzymał jakiś papier. Myślałam, że to ktoś taki jak święty Antoni, który żył bardzo dawno i teraz pomaga, jak coś zginie. Jednak ten święty babci był inny, bo miał marynarkę i krawat, a nie jakąś obwisłą szatę. No i zobaczyłam go w „Polityce”, siedział za biurkiem i patrzył w obiektyw, na biurku leżała książka i on właśnie przewracał kartkę. Wyglądało to tak, jakby czytał książkę, i wtedy ktoś wszedł i powiedział coś do niego, on podniósł oczy, a tamten pstryknął zdjęcie. Poznałabym go wszędzie, miał takie wąskie oczy, kościstą twarz i przylizane włosy, pamiętałam go świetnie. W „Polityce” był artykuł o nim, nazywał się Chiune Sugihara, był Japończykiem, dyplomata. W '40 roku był japońskim konsulem w Kownie i jak weszli Niemcy, to przychodzili do

niego Żydzi, a on o nic nie pytał, tylko wypisywał im japońskie wizy. Podobno wystawił wtedy 6000 wiz, wyobraża sobie pani, każdy, co miał wizę, mógł uciec przed Niemcami do Japonii i jeszcze zabrać ze sobą rodzinę. Jego zwierzchnicy nic nie wiedzieli, zresztą potem za to zapłacił, wyrzucili go z pracy. W tym artykule była taka scena jak w kinie, jak on i jego żona już siedzą w pociągu, bo muszą wyjechać, wypisują te wizy i wyrzucają przez okno, nawet jak pociąg ruszył, to wyrzucali te wizy podpisane in blanco, zwykłe kartki papieru, one leciały za pociągiem i spadały, a ludzie biegli po torach i zbierali te kartki. Mój dziadek Daniel na pewno też miał taką kartkę, wyjechał do Japonii i trafił do Hiroszimy. Wszystko się zgadza, prawda? I spadła na niego bomba atomowa, tam, w Hiroszynie. Tak to musiało być.

BIBI

Więc jednak pani dziadek był Żydem.

JANINA

A pani ciągle o Żydach. Był albo nie był. Może był Cyganem? No i co z tego? Był w Hiroszynie i uratował dziewczynkę.

BIBI

Często pani myśli o Hiroszynie? O bombie atomowej?

JANINA

Często? Zawsze.

BIBI

Zawsze?

JANINA

Zawsze rano, jak jest słońce. Wychodzę na balkon i myślę, że to zaraz się wydarzy. Najpierw zobaczę błysk.

BIBI

Boi się pani?

JANINA

To tylko myśl. Zaraz mija. Pies szczeknie i już.

BIBI

Rozmawia pani z kimś o tym?

JANINA

Z kim mam rozmawiać? Chyba tylko z psem. Kiedyś mówiłam mężowi, ale on nie brał tego poważnie. Dzieciom nie będę mówić. Co, mam opowiadać koleżankom przy kawie?

BIBI

A wyobraża sobie pani, co będzie dalej, jak pani ujrzy ten błysk?

JANINA

Po co? Wiem, co będzie.

BIBI

A co będzie?

JANINA

To zależy od tego, jaką moc będzie miała i jak daleko jest epicentrum. Wiadomo.

BIBI

I czego boi się pani najbardziej?

JANINA

Boję się o dzieci. To chyba oczywiste. Zawsze wtedy myślę, że powinnam mieć w domu truciznę. Chociaż jakieś proszki nasenne. Ale takich proszków trzeba wziąć dużo, prawda? Dzieci nie lubią połykać pastylek. Lepszy byłby syrop.

BIBI

Otrułaby pani swoje dzieci?

JANINA

Jakby miała wybuchnąć bomba atomowa, to tak. Teraz te bomby są o wiele mocniejsze. Ale z drugiej strony to lepiej, że nie mam trucizny w domu. Bo to mógłby być fałszywy alarm.

BIBI

Powiedziała pani, że te myśli nachodzą panią tylko w słoneczny dzień. W pani śnie też było bardzo jasno. Proszę się zastanowić. Z czym pani się kojarzy taki ostry słoneczny blask?

JANINA

Z niczym. Słońce takie jest. W jaskrawym świetle straszne rzeczy są jeszcze straszniejsze.

BIBI

Proszę sobie przypomnieć. Na przykład, gdy wybuchła elektrownia w Czarnobylu. Była wtedy piękna pogoda, tak mi się wydaje.

JANINA

Pamiętam. Wybuchło w sobotę, a ja byłam na zielonej szkole, nad Bugiem. Było tak świetnie. Mieszkaliśmy w domkach kempingowych. Trzy dni, piątek, sobota, niedziela. Pływaliśmy na kajakach, cały czas na słońcu, w kostiumach, wróciliśmy opaleni jak nigdy. A w poniedziałek okazało się, że wybuchł Czarnobyl. I wszystko nagle się zmieniło. Nagle okazało się, że ta wiosna, to słońce, że to wszystko było nasączone trucizną. Tam było jeszcze bliżej Czarnobyla niż w Warszawie. Byłam pewna, że wszyscy umrzemy, ja, moi koledzy z klasy i wychowawca. Miałam na plecach bąble od słońca i babcia powiedziała, że cała skóra ze mnie spadnie, jak tamtym ludziom w Hiroszimie. Dali nam płyn Lugola w szkole, wiedziałam, że to i tak bez sensu. Jak wychodziłam na ulicę, to co na kogo spójrzałam, widziałam go bez skóry, swoje ręce też tak widziałam, samo mięso i kości. Ale nic nikomu się nie stało, tylko dwie koleżanki przez ten czas umarły, na raka, ale to niekoniecznie dlatego.

*Koniec sceny 7*



Jest zima i nie ma drzew, tylko maźnięcia pędzelkiem umoczoną w tuszu, platanina brunatnych kresek. Wigilijny poranek i nagle jaskrawe słońce, jak na Wielkanoc. W gabinecie Bibi na okrągłym stoliku nakrycie do wigilijnej kolacji: biały obrus, opłatek na niebieskim talerzyku, gałązki jedliny przyozdobione miniaturowymi bombkami, świece i kilka tradycyjnych dań: śledź, karp, kutia. Na środku pokoju choinka ze złotymi, świecącymi kulami, a pod nią duża, płaska paczka w purpurowej folii. Ale wciąż pora śniadania.

Bibi w czerwonej sukni czeka na Adama. Mimo wczesnej pory jest umalowana, w uszach ma czarne kryształy. Siedzi wyprostowana w fotelu, w powodzi słonecznego światła, na tle okna, jak jedna z tych samotnych kobiet Edwarda Hoppera.

W końcu jest, zdyszany i zarumieniony, w czerwonym dresie, bo wybiegł z domu pod pozorem joggingu. Ma też pikowaną kamizelkę i wielkie, białe najki, oczywiście nie biegł za długo, przyjechał tu taksówką i już w drzwiach wyciąga ajfona, żeby sprawdzić godzinę.

— Muszę coś zrobić z choinką, bo jest za wysoka. Nawet nie mogę postawić jej na podłodze, bo pies zaraz na nią nasika. Całe szczęście, że jamniki są niskie — mówi.

Patrzy zdziwiony, jakby dopiero teraz zauważył ten cały świąteczny sztafaż, choinkę, opłatek, odświętną suknię Bibi i kryształy w jej uszach.

— Cholera, mam tylko chwilę — mówi przepraszającym tonem. — I nie mam dla ciebie prezentu. Nie wiedziałem co.

— Kupowanie prezentów jest skomplikowane — mówi Bibi i milknie, żeby nie powiedzieć za dużo. Adam mógłby jej kupić cokolwiek, na co ma ochotę, ale ta sytuacja nie jest symetryczna. Za Adamem stoi jego żona i kupując mu prezent, Bibi zawsze myśli o tej nieznanym kobiecie. Najbardziej zwyczajna rzecz, koszula. Kto ją potem będzie wrzucał do pralki, wieształ, może nawet prasował? Może właśnie ona, jeśli nie mają gosposi. Co pomyśli, trzymając w ręku kawałek płótna z elegancką metką? Spyta Adama, co to za koszula, a ten skłamał, że kupił ją sobie sam, choć zawsze do tej pory razem załatwiali takie zakupy? A perfumy? To byłoby wyraźne przesłanie: on jest mój, oznaczam go swoim zapachem. Co Bibi może kupić, aby był to prezent dla Adama i tylko dla Adama? Płyte? A jeśli to ulubiona muzyka jego żony? Będą słuchali tej płyty razem? Więc co? Książkę, którą przeczyta żona, bo Adam nie ma czasu na czytanie? Powinna była kupić butelkę wina i nie myśleć, kto



będzie je pił. Ale Bibi zrobiła coś innego: owinęła w folię obraz swojej matki, który kiedyś dostała na własność. Ma tytuł *Samobójczyni*. Nieduży, połowa plakatu. Kobieta w czerwonym kostiumie, widziana z głębi wąskiego pokoju, stoi na balkonie i patrzy na miasto. To Warszawa, na tle ciemnych chmur widać Pałac Kultury i rosnące wokół niego wieżowce. Balkon, na którym stoi kobieta, jest prawdopodobnie na wysokim piętrze wieżowca, który w rzeczywistości nie istnieje, a według wszelkich prawideł perspektywy musiałby stać na wschód od tego, który stoi teraz tuż za Rotundą, a którego na obrazie nie ma. A widz, czyli osoba stojąca w głębi pokoju i patrząca w balkonowe okno, oprócz oparcia różowawej wersalki i stojącego na parapecie z lastriko wintydzowego beżowego telefonu z okrągłą tarczą i wytartymi numerami, oprócz stojącej na tle miasta kobiety w czerwonym kostiumie, widzi po prawej stronie Rotundę i to ona jest centralną postacią tego obrazu. Ale wygląda na nim zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Jest wysokim i smukłym walcem, niemal tak wysokim jak Pałac. Walec na podstawie Rotundy, to narysowano już w jakiejś pracowni architektonicznej, ale matka poszła dalej: walec ten wsunęła w ażurową, obracającą się rurę, której zadaniem jest zasłaniać i odsłaniać okna wieżowca. Właśnie zapada zmierzch, okna Rotundy przeświecają poprzez koronkową elewację. Matka powiedziała w jakimś wywiadzie, że tytuł *Samobójczyni* odnosi się do Rotundy, i porównała ją do grubej, niskiej kobiety z bombą pod spódnicą. Bibi pamięta straszliwy wybuch w Rotundzie, gdy była mała. Zginęło wtedy kilkadziesiąt osób, a Rotunda została prawie całkowicie zniszczona. Potem odbudowano ją, taką samą, jak była.

— Nie spodziewałem się — mówi Adam, wpatrując się w obraz. — Widziałem go kiedyś na jakiejś wystawie — dodaje.

Rozgląda się po gabinecie, jakby szukał dla niego miejsca na ścianie.

— Wiem, po ile chodzi twoja matka. Chyba przesadziłaś — mówi.

— A o mojej siostrze wiesz? — zadaje pytanie Bibi.

— Wiem. Wszyscy wiedzą — mówi Adam.

— Co wiesz?

— Daj spokój, Bi. Tylko to, co wiedzą wszyscy.

— A co wiedzą wszyscy?

— Przecież zaginęła.

— Jak zaginęła? Powiedz mi.

— O co ci chodzi? Po co mam to mówić?

— Muszę to wiedzieć! Powiedz wreszcie, co wiedzą wszyscy! — krzyczy Bibi.

— Jak chcesz. Może to tylko plotki. Niania poszła z bliźniaczkami do Ogrodu Saskiego. To była właśnie Wigilia, było już ciemno, wzięła je na sanki. Jedną dziewczynkę znaleźli w parku, siedziała na sankach, a druga zniknęła razem z nianią. A twoja matka nie знаła nawet imienia tej niani, nic. Mówiła do niej „nianiu”.

— To ja siedziałam na tych sankach, tak? Wiedziałeś o tym, jak mnie poznałeś?

— Przestań! Po co ta rozmowa?

— Wiedziałeś?! — krzyczy znowu Bibi.

— Pewnie, że wiedziałem. Całe miasto wie, a ja miałem nie wiedzieć? Co to, przesłuchanie?

Bibi podchodzi do okna i patrzy w dół, na zatłoczony placyk przed Galerią, która dziś jest czynna do trzynastej, na wysoką choinkę z czerwonymi kokardami. Adam podchodzi, obejmuje ją i przytula policzek do jej policzka.

— Przepraszam, Beatrycze, przepraszam. Zobaczymy się pojutrze wieczorem, dobrze? Muszę bieć, przepraszam, ta cholerna Wigilia i jeszcze z tą choinką...

Bibi słyszy kłaskanie najków, a potem ciche trzaśnięcie drzwi. Dopiero wtedy odwraca się i patrzy na pusty, zalany światłem pokój. Wszystko jest, jak było, choinka, nakryty stolik. Tylko na podłodze pognieciona purpurowa folia, w którą zapakowała obraz.

Siada przy stoliku i sięga po opłatek. Uwielbia tę nijaką delikatność, rozpływającą się w ustach kruchość, nic. W jej domu nie było Wigilii, nigdy nie podzieliła się z matką opłatkiem. Choinka narysowana węglem na ścianie i pieniądze pod poduszką, długo myślała, że właśnie tak obchodzi się święta.

Jak to było naprawdę, jak zginęła jej siostra? Może to miejska legenda, ta dziewczynka, która zniknęła razem z nianią w wigilijną noc w Ogrodzie Saskim? Może tamta zaginiona dziewczynka, jej siostra, mówi mamie do kobiety, która była jej nianią. Może jest szczęśliwa? Bibi wyobraża sobie tamtą kobietę, nianię, która opiekuje się bliźniaczkami i tak je kocha, że bierze sobie jedną na zawsze i od tamtej pory jest jej matką. W pewnym sensie tamta kobieta jest też jej matką, myśli Bibi,

bo skoro byłyśmy zupełnie takie same, to równie dobrze mogłaby ukraść mnie i z pewnością czułaby do mnie to samo co do mojej siostry. A może to nie przypadek? Może jednak tylko jej siostra zasłużyła na taką miłość, może jednak istniało coś, co różniło tamte dwie dziewczynki, tamta kobieta miała mnóstwo czasu, aby przypatrywać się, obserwować i odróżniać, nie tak jak prawdziwa matka, zajęta pracą i przyjaciółmi. Bibi podchodzi do obrazu, na którym dwie dziewczynki jadą autobusem, wiedząc już, że jedna z nich jest gorsza i że jest to ona, Bibi, i bawi się w starą grę „znajdź dziesięć szczegółów, którymi różnią się...”.



## W hotelu

**ONA:** Skąd miałam wiedzieć, że to miasto zostało stworzone dla miłości? Skąd miałam wiedzieć, że będziesz pasował do mojego ciała jak rękawiczka?

**ON:** Nie nabiorę się. To cytat. To Hiroszima, moja miłość, prawda?

**ONA:** Zgadłeś. Ale ta rękawiczka przypomina mi jeszcze coś innego. Jak szli, uciekali od ognia, a skóra zsuwała im się z dłoni jak za duże wieczorowe rękawiczki. Tak powiedział Tsutomu Yamaguchi. Widział to dwa razy, w Hiroszynie i w Nagasaki. A gdy chciał opowiedzieć to wszystkim, jego córka poprosiła go, by nic nie mówił, by jej nie marnował życia, bo właśnie zamierza wyjść za mąż.

**ON:** W Hiroszynie, moja miłość grała Emmanuelle Riva. Piękna, bardzo mi się podobała. Ale nie wiem, o czym był tamten film.

**ONA:** Nie wiesz? O miłości, o wszystkich miłościach. O wszystkich miastach, na które spadły bomby atomowe, i o wszystkich miastach, na które w przyszłości spadną bomby atomowe. To zacznie się znowu. Będzie 10 000 stopni. 10 000 słońc, powiedzą ludzie. Spłonie asfalt. Wybuchnie chaos. Miasto uniesie się w górę i spopielone spadnie na ziemię. Pamiętasz?

**ON:** Pamiętam. Co zdarzyło się dwa razy, zdarzy się i trzeci.

**ONA:** Jeśli przeżyłeś miłość, to tak, jakbyś przeżył wszystkie miłości. Jeśli nie było cię wtedy w Hiroszynie, to tak, jakby nie było cię tam nigdy.

**ON:** Nic nie widziałaś w Hiroszynie. Nic. Tak jej powiedział tamten Japończyk.

**ONA:** Widziałam wszystko. Widziałam szpital, jestem pewna. Jest szpital w Hiroszynie. Jak mogłam go nie widzieć?

**ON:** Nie widziałaś szpitala w Hiroszynie. Nic nie widziałaś.

**ONA:** A widziałeś ten nowy film z Emmanuelle Riva? *Amour*. 2012. Budżet 7,29 mln euro.

**ON:** Widziałem. To o samej miłości, bez Hiroszimy.



Emmanuelle Béart i Eiji Okada w filmie w reż. Alaina Resnais'go *Hiroshima, moja miłość*, 1959

Nigdy nie wychodzisz w sobotę. Mogłabyś gdzieś wyjść. Ja nigdy nie siedziałam w domu w sobotę — mówi matka.

Wygląda okropnie, ubrana w czerwony wełniany płaszcz, którego od lat używa zamiast szlafroka. Wokół niej ścielą się sterty pomazanych kartek. W pracowni jest straszny bałagan, na podłodze leży rozmemłany śpiwór, ubrania, poduszki, stoją szklanki i talerzyki.

— Pamiętam — mówi Bibi. — Czekałam na ciebie w przedpokoju. Zupełnie sama, przecież nie miałam już siostry. Siedziałam na stołeczku pod drzwiami. Czasem przychodziłaś dopiero rano. Czasem przychodziłaś w nocy z jakimiś ludźmi. Wrzeszczeliście i smażyliście sobie jajecznicę.

— Mogło się tak zdarzyć ze dwa razy. Ale zawsze była z tobą niania.

— Strasznie chrapała. Nie mogłam spać. I bałam się, że coś ci się stanie. Przyszłaś raz zakrwawiona, krew ciekła ci po twarzy.

— No tak, raz chcieli mnie zgwałcić, na Bednarskiej. Ale uciekłam. Miałam szczęście, że byli pijani.

— Nie wiedziałam, że chcieli cię zgwałcić. Powiedziałaś, że wypadłaś z tramwaju.

— Może i tak było, a zgwałcić mnie chcieli kiedy indziej. Pamiętam, jak czekałaś. Wchodzę z ludźmi, a tu zapłakane dziecko w nocnej koszulce. Okropność. Myśleli, że jestem wyrodną matką. A ta głupia niańka spała jak zabita.

— Miałaś błyszczące botki na szpilkach. Srebrne albo złote. O, i pamiętam czerwony płaszcz! Z kapturem, prawda? Wyglądałaś jak czarodziejka.

Matka śmieje się, wstaje i podchodzi do okna, które w tej chwili jest ciemnym lustrem.

— Przecież mam go na sobie. Piękny, prawda? Sama go uszyłam, materiał przywieźli mi z Londynu. Pół Warszawy mi zazdrościło. A raz w kiblu w Spatifie takie dwie chciały go zedrzeć ze mnie.

— Mamo, on ma ponad trzydzieści lat. Już nie jest piękny.

— Co ty możesz wiedzieć. A ty masz dziesięć nowych płaszczy

i siedzisz w domu.

Matka nasuwa na głowę kaptur i odwraca się nagłym ruchem w stronę Bibi, a jej przypomina się stary film z Donaldem Sutherlandem i zakapturzoną karlicą w czerwonym płaszczu.

— Mamo, wyrzuć ten płaszcz, proszę cię. Kupię ci szlafrok. Też będzie czerwony i będzie miał kaptur. Widziałam taki w Benettonie.

— O, nie! Po moim trupie! W szlafroku to mogę tylko umrzeć — mówi matka wrogo. — Idź już stąd, Bibi. Po co tu przysłaś? Przecież widzisz, że pracuję. Nie mam czasu. Rozumiesz to chyba, prawda?

Bibi czuje się jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy matka, stojąc przed sztalugami, z umazaną farbami twarzą, krzyżąc, wyganiała ją z pracowni. Wychodziła, a potem wracała i po cichutku rozkładała się z kredkami na podłodze, na wielkiej płachcie papieru, aby rysować plan któregoś ze swoich miast. I przypomina sobie, jak pewnego razu matka, która nie od razu zdała sobie sprawę z jej obecności, spojrzała na nią nieobecny wzrokiem i powiedziała: Czy ja nigdy nie mogę być sama? I pamięta swoją odpowiedź: Nigdy nie będziesz sama. Będziemy razem aż do śmierci.

Matka siada z powrotem przy swoim stole, bierze ołówek i zaczyna rysować, szybko, jak w transie. Grafitowym cieniem pokrywa biały papier. Bibi podchodzi i podnosi jedną z kartek zaścielających stół. Nieporadnie naszkicowane sylwetki, bazgroły, szare cienie. I napis w rogu, ukośnie, jedno słowo. Hiroszima.

— Odłóż to. Pracuję — słyszy metaliczny głos matki.

Bibi upuszcza kartkę na stół i wychodzi z pracowni. To słowo, Hiroszima, opuszcza pracownię razem z nią, unosi się nad jej głową jak balon na sznurku. Dlaczego to miasto ją prześladowa? Dlaczego nagle wszyscy odmieniają je na rozmaite sposoby? Czy nie ma innych miast? Nawet takich, które spotkała tragedia? Mogłaby być Guernica. Albo Pompeje, zasypane popiołami Wezuwiusza. Naprawdę wołałaby Pompeje, zastygłe na zawsze pod wulkanicznym popiołem, z powietrznymi bąblami po ludziach zalanych wrzącą lawą, sterylnymi formami czekającymi na napętnienie ich białym gipsem.

Już dawno przestano ją zapraszać na imprezy, bo nie przychodziła, pracując i czekając na wiadomość od Adama, że wyrwał się z domu



i mogą iść do niej, do gabinetu, oglądać filmy w komputerze albo kochać się na podłodze.

Przestała wychodzić również z innego powodu: nie chciała spotkać Adama z żoną. Warszawa to małe miasto, wypełnione niewielką liczbą ludzi i jeśli dwoje ludzi ma podobny wiek i status, to nie ma szans, aby się nie spotkali. Przecież poznała Adama na czyichś urodzinach, w jakiejś knajpie. W przestrzeni publicznej pozwalali sobie tylko na wspólne lancze, bo przecież zawsze mogli się spotkać przypadkiem albo omawiać jakiś interes. Oprócz tamtej nieszczęsnej podróży na Krete byli tylko raz poza Warszawą, pojechali wieczorem samochodem nad Bałtyk, dotarli nad ranem na jakąś plażę i po dwóch godzinach wsiedli znów do samochodu, aby wrócić do Warszawy. Bibi miała wtedy nadzieję, że popełni szaleństwo i zostaną tam dłużej, może na zawsze, ale nawet nie powiedziała tego Adamowi, który jechał całą drogę w zgodzie z przepisami, aby radar nie zrobił im fotografii. Nie mogę sobie na to pozwolić, powiedział wtedy tonem, jakby mówił o kupnie zbyt drogiego mieszkania. Kiedyś, na samym początku ich romansu, rzeczywiście spotkała go z żoną. Było to na wernisażu w Muzeum Narodowym, na wystawie polskiego designu z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, owej zamierzchłej przeszłości, którą się nigdy nie interesowała, ale były tam tkaniny projektowane przez jej matkę. Spotkasz tych wszystkich, którzy do nas przychodzili, powiedziała matka, a Bibi wcale się to nie uśmiechało, zobaczyć jeszcze raz tych, którzy przychodzili nocą do ich domu z butelkami alkoholu, palili papierosy i prowadzili głośne rozmowy. Ale poszła. Nigdy nie widziała tylu ludzi w muzeum, było jak na ogromnym starym dworcu kolejowym chwilę przed wojną lub zaraz po, gdy wszyscy gdzieś wyjeżdżają albo właśnie przyjechali. I hektolitry wina, wielkie tace pełne czerwonych i białych lampek przesuwające się nad głowami publiczności. Matka, trzymając w rękę kolejny kieliszek, wpadała co chwilę w ramiona jakiegoś starego dziwadła, a ona, Bibi, stała na piętrze przy balustradzie i obserwowała tłum wlewający się na schody. Zobaczyła Adama na samym dole, przy wejściu, trzymał rękę na ramieniu wysokiej kobiety z czarnymi włosami obciętymi tuż przy skórze. Miała okulary w prostokątnych, czarnych oprawkach i czarną motocyklową kurteczkę. To była jego żona, Bibi wyczuła ją na odległość, jakby nagle zmieniła się w wilczycę lub tygrysicę i przez sawannę dotarł do niej wrogi zapach. Adam odwrócił głowę i na chwilę ich spojrzenia

spotkały się, przelotnie i bez żadnej intencji, jakby byli sobie obcy. W tym samym momencie matka wzięła ją za rękę i chciała pociągnąć w stronę niskiej kobiety w wielkim kapeluszu. Bibi wyrwała rękę, odsunęła się, przecisnąwszy się pod ścianą, zeszła na dół i po prostu wyszła stamtąd, nie patrząc na nikogo, aby nie zobaczyć znów Adama.

Na Nowym Świecie weszła do Amatorskiej, zamówiła kieliszek wina i stanęła przy malutkim pulpicie w otwartej kabinie, gdzie można palić. To dziwne miejsce, szklana ubikacja na środku sali, robisz coś nieprzyzwoitego, bierzesz do ust bielutki, cienki fallusik i wysysasz z niego słodki dym, a wszyscy na to patrzą. Dołączył do niej stary mężczyzna w dwóch płaszczach, może był kloszardem, a może był po prostu stary. Pił brandy w wyszczerbionej koniakówce. Nie, nie śmierdział. Wziął sobie papierosa z paczki, którą Bibi położyła na pulpicie. Bibi wyjęła z kieszeni zapalniczkę i podała mu ogień. Płaszcz czarny i płaszcz biały, wyglądałoby to nawet elegancko, gdyby nie wielka żółta plama na tym wierzchnim, białym.

— Mój chłopak ma żonę — powiedziała Bibi, a mężczyzna pokiwał głową.

— Oni zawsze mają żony — powiedział. — Najpiękniejsi mają żony. Zawsze tak było. Na szczęście nie są wierni tym swoim żonom.

Uśmiechnął się i oblizał wargi. Nie miał ani jednego zęba. Bibi doleciał kwaśny zapach z jego ust. Przez chwilę byli jak siostra i brat, tacy sami, samotni myśliwi z ciemnych bram miasta.

Czasami Bibi zachodzi do Amatorskiej, staje w szklanej kabinie z kieliszkiem wina i papierosem. Ale już nigdy nie spotkała tamtego mężczyzny. Może nie był z Warszawy? Może umarł? Może rodzina zamknęła go w domu starców?

Teraz otwiera ścienną szafę i przejeżdża dłonią po wieszakach, po swoich płaszczach. Powinnam wybrać dwa, myśli. Jeden dla mnie, drugi dla mojej siostry.

Więc wybiera dwa. Najpierw wkłada wieczorowy, jedwabny, w różnych odcieniach czerwieni, a na wierzch granatowy, wełniany, zwykły zimowy płaszcz.

Wychodzi, bo chyba lepiej zapalić papierosa w Amatorskiej niż przy otwartym oknie w kuchni. Właśnie dzisiejszego wieczoru miała po raz

pierwszy iść z Adamem do kina, usiąść w sali pełnej ludzi, może nawet kupić kubek coli i wcisnąć w pokrywkę dwie plastikowe rurki. To był pomysł Adama. Ale nawet nie wybrali filmu. Dam ci znać, czy będziemy mogli się spotkać, rzucił i rozłączył się. Ale nie zadzwonił i już minęła pora, gdy można wybrać się do kina.

Chociaż zima, jest niemal wiosennie i pada deszcz. W kałużach na Nowym Świecie odbijają się latarnie i wygląda to bardzo ładnie, ta jedna z kilku ocalałych, a może odbudowanych tak samo jak kiedyś śródmiejskich ulic stara się sprawiać wrażenie, że jesteśmy gdzie indziej, że w tym mieście nie ma prostopadłościennych pudeł-bloków ani prostackich wieżowców, nie ma blaszanych bud ani wielkich skrzyżowań, po których hula wiatr. Ale tę ładność zakłóca niepokój, jakby miało się coś wydarzyć lub już wydarzyło. Bibi wchodzi do Amatorskiej i siada przy stoliku przy oknie. W szklanej budce dla palaczy stoi dwoje, pewnie jeszcze nie zdali matury, patrzą na siebie i palą jednego skręta, podając go sobie po jednym sztachu do ust, z namaszczeniem, jakby to była marihuana. Gdy skręt się kończy, dziewczyna wyjmuje zmiętą torebkę z tytoniem i robi następnego. Bibi patrzy przez okno. Prawie nie jeżdżą samochody, tylko policyjne furgonetki, jedna za drugą, suną powoli środkiem ulicy, przeglądając się w mokrym asfalcie. Mężczyzna w średnim wieku idzie z wielką chorągwią, opierając drzewce na ramieniu. Chodnikiem przebiega kilkunastu chłopaków, coś wykrzykując. Znów cicho. Potem wycie karetki. Do kawiarni wchodzi stary mężczyzna w dwóch płaszczach, białym i czarnym, kupuje sobie przy barze kieliszek brandy i staje jako trzeci przy pulpicie z popielniczką. Mówi kilka słów, dziewczyna skręca mu papierosa. Tak, to on, ten sam facet, którego kiedyś tutaj spotkała Bibi. Wypala papierosa i siada naprzeciwko niej, opada na krzesło, jakby już nie miał siły stać.

— Sama pani tu siedzi? A gdzie pani chłopak? — pyta.

— Nie wiem. On ma żonę. Przecież panu mówiłam — mówi Bibi.

— Mówiła mi pani? Nie pamiętam. Czy my się znamy?

— Nie. Ale rozmawialiśmy już tutaj. Kiedyś.

— Nie pamiętam. I co? Ciągle pani sama tu przychodzi, tak? Niech go pani zostawi. Po co pani chłopak z żoną? Szkoda pani czasu. Nawet

jedna minuta jest ważna.

Mężczyzna kaszle głucho, nie może przestać, krztusi się i Bibi czuje na twarzy kropelki jego śliny. Wstrząsa się, wstaje bez słowa i wychodzi z kawiarni. Siąpi deszcz. Bibi przechodzi przez ulicę i skręca w Foksal, tu jest więcej ludzi, stoją grupkami na chodniku, palą, rozmawiają, śmieją się. Bibi zapala papierosa i staje przy drzwiach jakiejś knajpy. Rozpina swoje oba płaszcze i wygląda teraz, jakby wyszła z baru tylko na chwilę, na papierosa, sama, bo w towarzystwie, z którym przyszła, nikt nie pali. Wchodzi jakaś większa i hałaśliwa grupa, więc Bibi robi kilka kroków w prawo. Za wielką szybą, w jasnym wnętrzu restauracji, przy okrągłym stole siedzi Adam, Bibi widzi dokładnie jego profil, prosty nos, ucho, podbródek. Przy stole siedzi sześć osób, piją piwo, Adam też ma przed sobą kufel. Trzech mężczyzn i trzy kobiety, ta ciemnowłosa, ostrzyżona na jeża, siedząca obok niego, to na pewno żona. Siedzi tyłem, długi, trójkątny dekolt czarnego swetra pokazuje plecy pomiędzy łopatkami i błękitnawe perły opasujące kark. Chyba mówią, bo gestykują. Bibi czuje się jak w kinie: to wielkie jak ekran okno i puenta, wieńcząca ostatnie dwie godziny. I to uczucie, że już widziała tę scenę, może w innym filmie. No tak, to wspomnienie jej pacjentki, Janiny — gruba dwunastolatka stojąca w deszczu na Nowym Świecie i patrząca przez szybę kawiarni na swojego ojca, obejmującego nieznaną dziewczynę. Bibi czuje łzy pod powiekami, jak to w kinie, gdy kończy się film. Aktor, który gra Adama, to Clooney. Wiedziała, że są podobni, ale że aż tak? Nawet jedna minuta jest ważna, powiedział tamten stary facet w Amatorskiej. To właśnie jest ta minuta, te sześćdziesiąt sekund. W pięćdziesiątej ósmej sekundzie Adam pochyla się w stronę krótkowłosej kobiety i chyba ją całuje, chyba w usta, tego nie widać. W sześćdziesiątej Bibi rzuca niedopałek na chodnik i gasi go podeszwą pantofla. Wyciąga telefon i pisze esemesa. Teraz mężczyzna za szybą, George Clooney grający Adama, wyciąga swój telefon i przez chwilę wpatruje się w niego. Coś mówi, śmieje się. Potem zwraca twarz w stronę okna, w stronę Bibi. Widzi ją? Nie wiadomo. Jego twarz jest maską.

Bibi patrzy na niego i odchodzi, a deszcz zacina coraz mocniej.

Ta kobieta nie jest pacjentką. Ma przyjść, aby zobaczyć widok z balkonu,

z Babka Tower. Jedna z koleżanek matki. Pisarka. Pisze dla dzieci, ale nie jest to pewne. Ten widok jest jej potrzebny do książki, nad którą pracuje. Matka zawsze mówi o niej Ruda, więc Bibi nie zna jej nazwiska. Na pewno kiedyś ją poznała, ale nie pamięta jej.

Niedzielne popołudnie. Bibi układa kwiaty, które kupiła w kwiaciarni na dole. Czuje się jak bohaterka powieści. Ale nie jak pani Dalloway, ta powieść nie została jeszcze napisana przez tę kobietę, która ma tu przyjść. A może już została napisana? Może Bibi odgrywa tylko rolę, mówi to, co musi powiedzieć, tak jak musiała wczorajszego wieczoru napisać tego esemesa do Adama. Do tej pory nie wierzy, że to zrobiła. A może nic się nie zmieniło? Może Adam zadzwoni jutro rano, spotkają się na lunchu, zjedzą sushi, napiją się herbaty i umówią na wieczór, tutaj, w gabinecie, w tym pięknym salonie na szesnastym piętrze, wśród kwiatów, które właśnie układa.

Tamta przychodzi spóźniona ponad pół godziny, niska, stara kobieta w okularach, z włosami tak jaskrawymi, aż kłują w oczy. Od razu zwraca się do Bibi po imieniu, podając rękę na powitanie, nie wymienia swojego nazwiska, jakby znały się od dawna. Ma skejtowskie połatanne dżinsy, glany i kurtkę, której nie zdejmuje, rozpina ją tylko i zsuwa z ramion. Bibi inaczej ją sobie wyobrażała, myślała, że będzie wysoką dystygowaną damą, kimś pomiędzy Agatą Christie a Wisławą Szymborską. Kobieta przynosi zmrożoną butelkę musującego wina. To bułgarski ciociosan, ale ona nazywa je szampanem. Bibi ustawia kieliszki na stoliku, a kobieta mówi, że świetnie otwiera szampana. Bierze butelkę i wychodzi na balkon, zostawiając otwarte drzwi, zimny wiatr wdziera się do środka. Gdy korek strzela wysoko i leci w dół, na ulicę, kobieta wybucha śmiechem. Potem z kieliszkiem w ręku obchodzi gabinet, przyglądając się wszystkiemu jak porucznik Columbo. Całe szczęście, że nie przegląda papierów leżących na biurku, ale wygląda, jakby miała na to ochotę. W końcu staje przed obrazem, na którym dwie dziewczynki jadą autobusem. Stoi tak kilka minut i patrzy.

— Uwielbiam te portrety podwójne Renki. A ten lubię najbardziej. Te samoloty. Pamiętam je — mówi wreszcie.

— Samoloty? Gdzie? — pyta Bibi.

— Na niebie. Nie widzisz ich, prawda? Ale naprawdę to tak wyglądało. Niebo jak pokryte rybią łuską. Samolot obok samolotu, amerykańskie bombowce. Śmiałyśmy się głośno i machałyśmy do nich, do chłopaków

w samolotach.

— Gdzie to było? Kiedy?

— Jak to gdzie? W Berlinie, jak wracaliśmy z Ravensbrück. Niemcy uciekali do piwnic, wołali, żebyśmy też uciekały. Ale my stałyśmy i śmiałyśmy się.

— Była pani w Ravensbrück? Z moją matką?

— Byłyśmy razem.

— Moja matka nie chce mi o tym opowiedzieć.

— Tak żeśmy się umówiły. Że nic nie powiemy naszym dzieciom.

— Dlaczego? — pyta Bibi.

Ale kobieta nie odpowiada, jakby nie usłyszała tego pytania. Dolewa sobie wina i staje tak, że widzi obraz z pewnego oddalenia, a Bibi na tle obrazu.

— Napisałam bajkę dla dzieci, o Holokauście. Też są tam bliźniaczki, jedna jest Żydówką, a druga nie. Ale myślę o czymś innym. Wyobraź sobie cały autobus takich samych dziewczynek. Za jakiś czas jakieś Monsanto wyhoduje GMO ludzi, 180 IQ i żadnego raka. Będą mieli w ofercie kilka odmian, chłopiec, dziewczynka, biały, czarny, brunet, blondyn. Będą mogli się spotkać w samolocie, na innym kontynencie, ludzie różniący się tylko datą urodzenia. A jak chińska para urodzi sobie takie samo dziecko co polska i w tym samym czasie? Kim dla siebie będą te dzieci? Niektóre pojęcia trzeba będzie przedefiniować.

— Myśli pani, że tak będzie? — pyta Bibi.

— A skąd ja to mogę wiedzieć? — odpowiada pytaniem kobieta.

Potem stoją na balkonie, w porywistym wietrze, Bibi w krótkim futerku i szalu na głowie, kobieta wciąż w rozpiętej kurtce, z odkrytą szyją. Piją wino i patrzą na miasto. Bibi nie wie, o czym z nią rozmawiać, ale kobieta wydaje się tego nie zauważać. Wyjęła z kieszeni maleńką kamerę, płaską jak telefon komórkowy, i filmuje, przybliżając do oczu ekranik wielkości połowy pudełka zapalek. Bibi wydaje się, że ona również znalazła się na moment w polu widzenia kamery.

— Ale widok. Jak z satelity. Szkoda, że nie mam lepszej kamery. Dobre miejsce na samobójstwo. Tylko myśl i już. Nie wiem, czy chciałabym tu mieszkać — mówi kobieta.

— Ja tu nie mieszkam — mówi Bibi. — Jak pani chce, możemy pojechać na dwudzieste ósme piętro. Może uda się wyjść na dach. Chyba mamy tam punkt widokowy. Nie byłam tam nigdy, ale podobno klucz do

drzwi do budynku pasuje.

Jadą więc windą w górę. Na ostatnim piętrze stają przed drzwiami pomalowanymi na biało. Bibi naciska na klamkę, a ta od razu ustępuje. Wychodzą wprost na malutki placik otoczony niewysoką siatką, położony na skraju dachu najeżonego antenami i wywietrznikami. Wiatr tu jest o wiele silniejszy, szarpie brutalnie włosy i ubranie. Ale to nie wiatr, to widok zapiera dech w piersiach.

Słońce, czerwone, spłaszczone kółko, jest coraz niżej, spada na cmentarz. Za chwilę go nie będzie.





## W samochodzie

**ONA:** Tsutomu Yamaguchi, który przeżył dwa razy wybuch bomby atomowej, w końcu zaczął mówić. Zaczął pisać wiersze. Był już stary i niziutki. Przemawiał w niewielkiej sali kinowej w budynku ONZ. Dostał te swoje 9 minut. Sala była prawie pusta. Na końcu powiedział: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

**ON:** Mały muszkieter, co? A przedtem pracował w Mitsubishi. Ale nie myśl sobie, że robili tam samochody osobowe. Chyba wiesz. Okręty wojenne, samoloty bojowe, pociski.

**ONA:** Nie bądź złośliwy. Tsutomu Yamaguchi jako jedyny oficjalnie został podwójnym hibakusha, czyli tym, na którego dwa razy spadła bomba atomowa. Domagał się tego tytułu i otrzymał go, jedyny z ponad 160 podwójnych hibakusha. W Hiroszynie czuł się po zniszczonym moście kolejowym ponad zatoką. Poczł straszliwy smród. Spojrzał w dół i zobaczył unoszące się na wodzie trupy, dziesiątki trupów. Potem, podczas odpływu, trupy odpłynęły z morskimi falami, a potem znów przyplnęły. W końcu dotarł na stację kolejową i uciekł z tego miasta, pojechał do domu, do Nagasaki. Nie wychodź z domu, jak ty wyglądasz z tą poparzoną twarzą, jesteś prawie ślepy, mówiła żona, ale on poszedł do pracy, do firmy o nazwie Mitsubishi, żeby opowiedzieć o wybuchu bomby w Hiroszynie. Stał koło okna i opowiadał, ale szef zarzucił mu, że zmyśla, że mu się wydawało. Wtedy ujrzał mały spadochron wolno opadający na ziemię, zwiastun bomby, jak w Hiroszynie. Wiedział, co to znaczy. Pstryk, bum.

**ON:** No i uwierzyli mu. Miał satysfakcję.

**ONA:** Potem wylano go z Mitsubishi, stracił tamtą robotę. Pracował jako tłumacz dla amerykańskich okupantów. Swoje dziewięćminutowe przemówienie w ONZ do tych kilkunastu, a może dwudziestu lub trzydziestu osób wygłosił po angielsku, po amerykańsku. Był poetą. Pisał wiersze o bombie atomowej. „Spaleni żywem ludzie / namaścili ziemię / niewysychającym smarem”. Taki wiersz nazywa się haiku.

**ON:** Zapomniałaś, że Yamaguchi podczas wojny pracował w stoczni Mitsubishi w Nagasaki, do Hiroszimy pojechał służbowo, miał odwiedzić

tamtejszą stocznię. Podobno rysował dla Mitsubishi plany tankowców. W 1940 stocznia Mitsubishi w Nagasaki zwodowała superpancernik „Musashi”. Miał długość 263 metrów, mniej więcej tyle, ile stąd do przystanku autobusowego. Budowano go pod osłoną kotar z konopnych lin. „Musashi” i jego bliźniaczy brat „Yamato” były największymi pancernikami na świecie i do tej pory zajmują pierwsze miejsca.

**ONA:** Pod koniec wojny Tsutomu Yamaguchi zastanawia się nad tym, co będzie, gdy Japonia poniesie klęskę. Myśli o zabiciu swojej żony i malutkiego synka, otruciu ich pastylkami nasennymi.

**ON:** A co chce zrobić potem, gdy jego żona i synek zasną na zawsze? Może rach-ciach, harakiri, jak ci ludzie pod Pałacem Cesarskim w dniu podpisania kapitulacji?

**ONA:** Nie wiadomo, bo potem rezygnuje z tego pomysłu. Ale nie wiem dokładnie kiedy.

**ON:** Pewnie 6 sierpnia w Hiroszimie. Jak wybuchła bomba atomowa.

**Fukushima**

## Babka Tower. Scena 8

*Bibi: szary garnitur Kooples 197 €, granatowy top Zara 89 zł, czarne lakierki na obcasach Hego's 349 zł, złoty naszyjnik Minty Dot 460 zł.*

*Janina: czarna płaszczoza sukienka z krótkimi rękawami, podróbka Burberry 159 zł, czarne transparentne rajstopy 19 zł, czarne trzewiki dr Martens 429 zł, wielki różowy zegarek Hello Kitty 59 zł, duże kolorowe kolczyki z miękkiego plastiku, Karina Królak 120 zł.*



Na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie, 2017

JANINA

Wczoraj zabiłam mojego psa.

BIBI

Jak to się stało?

JANINA

Samo się nie stało. Wzięłam go w torbę i pojechałam do lecznicy, żeby go uspić. Przedtem powiedziałam mu, gdzie jedziemy i co tam ma być. A on nic. Może myślał, że żartuję. Albo chciał już umrzeć.

BIBI

Co panią do tego skłoniło? Dlaczego właśnie wczoraj?

JANINA

Powinłam to zrobić już wcześniej. Bo go bolało. Wie pani, jakie są psy. One nic nie powiedzą, jak boli. Tylko bieleją im oczy, przyciskają uszy do głowy, oddychają szybciej i chowają się pod łóżko albo do szafy. A w dodatku przez to tsunami wybuchła elektrownia atomowa w Fukushima.

BIBI

Z jakiego powodu Fukushima miała wpływ na pani decyzję?

JANINA

Nie mogłabym go zostawić samego w tej sytuacji.

BIBI

Zostawić? Co to znaczy? Czy pani gdzieś wyjeżdża?

JANINA

Słucham? Dlaczego mam wyjeżdżać?

BIBI

Chyba powiedziała pani, że nie mogłaby zostawić psa samego.

JANINA

Bo nie wiadomo, co będzie. Taka jedna elektrownia, jak jej nie naprawią, może zepsuć cały świat. A ten pies ma tylko mnie. I już nikogo. Mąż już kilka razy mówił, że powinnam go uspić.

BIBI

Dlaczego tak mówił?

JANINA

Bo to ja go przyniosłam. Wyszłam na zakupy i wróciłam z psem. Leżał pod śmietnikiem, to co miałam zrobić? Włożyłam go do koszyka, zawsze chodzę do sklepu z koszykiem na kółkach, i przywiozłam do domu. Dzieci bardzo się ucieszyły, ale mąż powiedział, że ten pies to tylko moja sprawa. Miał rację, przywiozłam go i nikogo nie pytałam. A teraz kończyło się jego życie i to ja musiałam się tym zająć.

BIBI

Ale proszę jeszcze raz spróbować mi powiedzieć, co to ma wspólnego z Fukushima.

JANINA

Nie rozumie pani? Wszystko się zmieniło. To epicentrum już zawsze będzie się żarzyć i promieniować na cały świat. Nie wierzę, żeby je zgasili. To nie świeczka. To taka Hiroszima w kwantach. Będzie nas zabijała po troszeczku, cały czas. Muszę zakończyć wszystkie sprawy. Sprawę z psem też. Kiedyś przyniosłam go, a teraz odniosłam, chyba to zrozumiałe.

BIBI

Wciąż nie bardzo rozumiem. Ale proszę mówić dalej.

JANINA

Trudno. Kiedyś pani zrozumie. Musiałam go zabić. Nie dość tego, to jeszcze się martwię o tego kogoś z jutuba.

BIBI

O kogo się pani martwi?

JANINA

Nie wiem, kto to jest. Wiem tylko, że lubi fajerwerki. Wsadzał kawałki

z fajerwerkami do jutuba. I takie świetlne budowle z Japonii. Ludzie idą tunelami ze światła, potem widać pałace albo kwiaty, też ze światła. No i kliknęłam, nie wiem po co. Subskrybuj. I potem często tam wchodziłam. On jest z Japonii, chociaż raz puścił film z Makau, prawdziwe ulice, a jak ze światła. On nazywa się Sitare22. Chociaż może to być ona. Nie jest jakiś specjalnie znany, niektóre filmy mają koło 30 odsłon. Ale przyzwyczaiałam się do niego, jak tylko coś włoży, to jutub przysyła mi to na mejla. I jak usłyszałam o trzęsieniu ziemi, to od razu pomyślałam o nim. A potem to tsunami. Tam nie jest napisane, gdzie mieszka, zresztą to nieważne, mógł pojechać do kogoś w odwiedziny, prawda? Jak zobaczyłam w telewizji to zniszczone miasteczko, od razu pomyślałam o nim. To zupełnie inaczej, jak ma się tam kogoś znajomego. Nawet jak mu się nic nie stało, to mogli zginąć jego bliscy. Wchodzę na jego kanał, a on nic. Mógłby umieścić jakiś znak, że żyje i ma się dobrze, byle co, kota albo tramwaj, ostatecznie wie, że ludzie go oglądają i mogą się o niego martwić. Ale on nic, nie odzywa się. Przy okazji oglądam mnóstwo filmów z trzęsienia, takich zwykłych, kilkuminutowych, robionych komórkami, siedzę po nocach przy komputerze i oglądam. Jak te chwiejące się wieżowce z Tokio. Zbliżają się do siebie i oddalają, pochylają się coraz bardziej. Przypomniał mi się wieżowiec na placu Wilsona, jak kiwał się na wietrze. Albo ci ludzie, którzy stoją na jakimś wysokim domu i obserwują zbliżającą się falę tsunami. Za chwilę ta fala ma zniszczyć ich miasto, a oni tylko patrzą, czasem ktoś coś powie, ktoś pokaże coś ręką. Dziewczynka wtuliła się w spódnice swojej babci, żeby tego nie widzieć. A ci z telewizji biorą te filmiki i robią z nich te swoje wideoklipy na początek wiadomości, tną, skleją i podkładają muzykę jak do końca świata. Jak pooglądałam jutuba, to wiem. Ale z normalnym dźwiękiem to jest jeszcze straszniejsze, jak jest cicho, słyszeć tylko jakieś trzaski i coś upadnie albo ktoś coś mówi, jak ten chłopak, co uciekał ze swojego mieszkania, które się całe trzęsło, i położył się za samochodem na ulicy. I jeszcze filmował po drodze. Coś mówił, ale po japońsku. Może chciał wierzyć, że to nieprawda, że to tylko film. A ci ludzie, których zagarnęła ta wielka woda z domami i samochodami, może niektórzy też filmowali do końca, bo nic nie mieli oprócz komórek i zamiast krzyczeć ze strachu, woleli filmować, ja to rozumiem, też bym tak wołała. Jakby byli na stałe podłączeni do sieci, toby było wszystko widać, oglądalibyśmy to

w czasie rzeczywistym i nagle ciach, koniec. A teraz ta elektrownia. Ktoś filmował to z daleka, z wysokiego bloku, widać było dachy, druty, za nimi pola, a potem zabudowania, trzy czy cztery kominy i coś się pali, dym leci, nic więcej. A ktoś jechał samochodem i filmował to z drogi, czasem coś zasłaniało, a potem znowu było widać. A inny z morza, też słabo było widać, najpierw wybuch, a potem dym przy jednym kominie. Niby nic takiego, żaden wielki błysk i grzyb atomowy. Ale co dalej? I te psy. Ludzi ewakuowano, ale psy zostały. Piękne, w obrożach, duże i małe. I od razu stworzyły watahę, stado, a przecież przedtem mieszkaly z jakimś człowiekiem albo rodziną. Może wiedzą, że tamto życie już się nie liczy, że muszą liczyć tylko na siebie i wróciły dawne czasy, gdy polowały w watahach. Mój już nie nadawał się do żadnej watahy, nawet nie mógł już chodzić, zrobił dwa kroki i przewracał się na bok. Więc co miałam zrobić? Pojechałam do lecznicy, ale nie było tego doktora co zawsze, tylko jakaś bardzo młoda dziewczyna, pomyślałam, że to lepiej, pies zawsze wolał dziewczyny i będzie mu miło, jak wyprawi go na tamten świat jakaś ładna i miła dziewczyna. Ona chciała go mi zabrać i spytała, czy poczekam i potem go wezmę, czy ma go oddać do utylizacji. Ale ja powiedziałam, że chcę z nim być. Zdziwiła się, ale poszła na to. No więc położyłam go na tej ladzie, ale była zimna, więc podłożyłam mu koc z jego torby i objęłam go, żeby pomyślał, że idę tam razem z nim, wiem, to oszustwo, ale jak już jest się na miejscu, to już na pewno inne rzeczy mają znaczenie. Spytała, ile waży, i dała mu zastrzyk, teraz musimy trochę poczekać, powiedziała, więc pożegnałam się z nim, upłynęły te minuty, a on nic, tak samo jak przedtem rozglądał się i chciał, żebyśmy poszli do domu. Chyba za mała dawka, powiedziała i dała mu drugi zastrzyk, i znowu czekamy, a tam w poczekalni zrobiła się kolejka i co chwila ktoś zaglądał, co tak długo. Ale nic się nie działo, pies ciągle patrzył na mnie i nie chciał umrzeć. Po trzecim zastrzyku myślałam, czy nie zrezygnować, ale on zaczął się robić trochę taki bezwładny i pomyślałam, że zabieranie go w takim stanie półżycia do domu nie ma sensu. Więc powiedziałam jej, żeby dała tej trucizny tyle ile na dużego psa i w końcu zadziało, sprawdziła to stetoskopem. Zawinęłam go w koc i wyszliśmy, a jakiś dzieciak, który tam czekał z rodzicami i kotem, powiedział, że bym mu pokazała tego zwierzaka. Więc pokazałam mu i powiedziałam, że nie żyje, a jego matka powiedziała, żeby się nie martwił, że piesek na pewno śpi. Ale dzieciak



nie martwił się, bardzo był zainteresowany, co z nim zrobię.

BIBI

I co pani dalej zrobiła?

JANINA

Jak to co? Pochowałam. Owinęłam w poszewkę od poduszki, potem wsadziłam do pudełka. Wyglądał jak w trumnie, dzieciom się bardzo podobało. Chciały wyprawić mu pogrzeb, krzyż na grobie i te rzeczy, ale zrobiłam to dopiero następnego dnia, jak poszły do szkoły, poprosiłam brata, żeby przyjechał z łopata, bo męża nie było, zresztą na pewno by się na to nie zgodził.

BIBI

Dlaczego pani tak myśli?

JANINA

Bo pochowaliśmy go w kwaterze babci i dziadka, na ewangelickim. On bardzo lubił babcię, gotowała mu takie zupy, że wszyscy mu podjadali. W samym rogu, pod ogrodzeniem, udawaliśmy, że sadzimy krzak. Takiego małego psa to wszędzie można upchnąć. Chociaż po śmierci zrobił się dużo cięższy. W każdym razie mam to z głowy.

BIBI

Płakała pani na cmentarzu?

JANINA

Dlaczego pani tak myśli? No, płakałam.

BIBI

A na pogrzebie babci pani płakała?

JANINA

Nie, po co? Nie było powodu. Babcia była już stara. Jak umarła, poszłam ją zidentyfikować do szpitala. Kazali to zrobić, chociaż musieli wiedzieć,

że to ona, przecież przyjęli ją do szpitala. Poznałam ją tylko po kimonie. Ona używała tego kimona zamiast szlafroka. Mam je do dziś, wisi na ścianie na kiju od szczotki. Wszystkim się bardzo podoba taka ozdoba mieszkania, nikomu nie mówię, że w tym kimonie umarła moja babcia. Ale to już nie była babcia, wyglądała zupełnie inaczej.

BIBI

A na pogrzebie matki? Matka nie była stara, prawda?

JANINA

Nie było potrzeby.

BIBI

Nie było potrzeby? Zawsze robi pani uniki, gdy pytam o śmierć matki. Pani matka została skremowana, jak pamiętam.

JANINA

Tak. To żaden unik. Nie było żadnego pogrzebu. Urna jest u brata, w walizce na pawlaczu.

BIBI

Myślałam, że to w Polsce jest niedozwolone.

JANINA

Ale ona umarła w Holandii. Pojechaliśmy tam i przywieźliśmy ją w urnie, brat i ja. W walizce w bagażniku, nikt nie pytał. Potem się okazało, że przywieźliśmy ją nielegalnie. Brat zgubił te papiery, co nam dali. Więc byłyby kłopoty z pogrzebem. No i jest tak, jakby ciągle żyła, tylko mieszkała za granicą z tym swoim kochankiem. Zresztą było to nam na rękę, bo nie chcieliśmy mówić babci. I nie dowiedziała się, że mama umarła.

BIBI

Pani matka miała kochanka? Myślałam, że to pani ojciec zdradzał pani matkę.

JANINA

W końcu okazało się, że ona od zawsze spotykała się ze swoim kolegą z klasy. I wyjechała z nim. Przestała się odzywać. Dopiero jak umarła, on dał znać. Ale co mnie to obchodzi, już byłam dorosła. Miałam dzieci.

BIBI

To dlatego nie chciała pani mówić o swojej matce?

JANINA

Zaraz dlatego. Wyjechała i już. Byłam wtedy w ciąży. Babcia mi pomagała przy dzieciach. Matka by mi nie pomogła, zawsze za nią wszystko robili inni. Nie miała ręki, mówiłam pani.

BIBI

A jaka ona była? Jak pani ją pamięta?

JANINA

Była piękna. Brat mówi, że nigdy nie spotkał tak pięknej dziewczyny.

BIBI

Co pani czuła, jak wyjechała?

JANINA

Nic nie czułam. Wyjechała, to wyjechała. Nie ma o czym gadać.

BIBI

Może jednak powinniśmy o niej porozmawiać.

JANINA

Już porozmawialiśmy.

BIBI

No dobrze, może uda nam się porozmawiać następnym razem. Ale pamiętam, mówiła pani kiedyś o bombie atomowej. Że najbardziej boi

się pani o dzieci.

JANINA

Że bym je chciała otruć, gdyby wybuchła bomba, o to pani chodzi? I myśli pani, że zabiłam psa, a teraz przyszła kolej na dzieci?

BIBI

Tego nie powiedziałam.

JANINA

No więc nie wybuchła bomba, a ja nie jestem wariatką. Nawet gdyby wybuchła, tobym ich nie zabiła. Tak tylko sobie myślałam. Ale teraz to nawet tak nie myślę.

BIBI

Dlaczego? A co się zmieniło?

JANINA

Nie myślę i już. Dzieci też mogą pomóc. Tam, w Japonii, uczniowie dostarczają żywność poszkodowanym. Chodzą przez te rumowiska i noszą worki z jedzeniem. Widziałam. Wszędzie błoto, tylko ścieżki ułożyli z desek.

*Janina patrzy na swój różowy zegarek wysadzany różowymi kamieniami.*

JANINA

Teraz jest tam czwarta rano.

BIBI

Gdzie jest czwarta rano?

JANINA

No, w Japonii. Na tym zegarku mam czas japoński. Spojrzę i wiem. To zegarek córki.

BIBI

Pamięta pani, na początku terapii opowiadała pani o trzęsieniu ziemi na Haiti. Dziwiła się pani, że nie umiała współczuć tamtym ludziom z Haiti. Teraz jest inaczej. Ta tragedia w Japonii niemal dotyka panią osobiście. Jak pan sądzi, dlaczego tak się dzieje?

JANINA

Co się dzieje?

BIBI

Współczuje pani Japończykom.

JANINA

Współczuję? Nie wiem. Oglądam filmy na jutubie. Dziś nad ranem znalazłam jeden taki i obejrzałam go chyba pięć razy. Najpierw kamera pokazuje coś z daleka, wał z mgły, wygląda jak biały szkwał, widziałam go na Śniardwach, jak byłam mała. Ten, co trzyma kamerę, stoi dość wysoko, słyhać głośne rozmowy, z początku się wydaje, że to odgłosy jakiegoś przyjęcia. Dopiero potem staje się jasne, że ci ludzie stoją na górze nad miastem, a ten mgielny wał, który jest coraz bliżej, to fala tsunami. Film niskiej jakości, jak go powiększyć, robi się jeszcze bardziej niewyraźny. Ten wał jest coraz bliżej i dopiero po jakimś czasie widać, co to jest. Toczący się walec z wody, domów i samochodów, wodna lawina zbierająca po drodze wszystko, co spotka. Słyhać krzyki, szurania, kroki, szelesty, obraz przewraca się, widać ruch, gałęzie, buty, trawa, ktoś ucieka, a kamera razem z nim. Jest już wyżej, przystanął i znowu oko kamery patrzy na tę wysoką falę niosącą domy i rzeczy, kawałki rzeczy, samochody, dechy i deseczki, setki deseczek, listewek. A z boku, jakby kątem oka, widać ludzi biegnących pod górę: na przedzie biegnie facet w czarnym garniturze i z czymś czarnym, najpierw myślałam, że to pies, ale to była duża teczka, za nim ubrana na biało kobieta ciągnie za sobą coś dużego i białego. Wózek z dzieckiem? Ze staruszką? Z jakimiś rzeczami? Kobieta ciągnie go, a facet z teczką biegnie przodem i zatrzymuje się na chwilę, patrzy w dół, chyba coś krzyczy i ucieka jeszcze szybciej, a ona biegnie za nim. A kamera przesuwa się w prawo i pokazuje już tylko płynące domy, taki dom

wygląda jak mały statek, a poddasze jak mostek kapitański. Do tej pory nie wiem, czy ta kobieta zdążyła. Ciekawe, co ciągnęła. Czy wózek z dzieckiem? Chyba nie, bo wtedy ten facet z teczką chyba by jej pomógł, rzuciłby teczkę i wziął dzieciaka na ręce. A może nie. Może to był jej mąż i uważał, że opieka nad dzieckiem to jej sprawa. A on w teczce miał komputer i to była jego sprawa. Ja jestem silniejsza od męża i lepiej biegam, ale z wózkiem chyba bym go nie dogoniła. A moje dzieci już są szybsze ode mnie, chociaż tylko na krótkich dystansach. Uciekłyby przed tą wodą, na pewno by zdążyły. A pani?

*Janina przez chwilę lustruje Bibi, dokładnie, od stóp do głów.*



Na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie, 2017

### JANINA

W tych szpilkach nie miałyby pani szans, musiałyby pani biec na bosaka. Ale nie wiem, tam mogłyby być szkła albo jakieś ostre kolce. Jak ktoś

jest przyzwyczajony do chodzenia na bosaka, to co innego. Biega pani?

BIBI

Nie mówimy o mnie. A pani? Biega pani?

JANINA

Codziennie. Kiedyś biegaliśmy razem, mąż i ja, jak nie było dzieci. Potem próbowaliśmy z wózkiem, ale dziecko płakało i ludzie nas pouczali, więc przestaliśmy. I już więcej nie biegaliśmy razem. Chociaż teraz moglibyśmy, dzieci są już duże. Ale mąż woli sam. Wybiega z domu, jakby uciekał. Mówi, że idzie biegać, i leci do tej swojej dziewczyny.

BIBI

Skąd to pani wie?

JANINA

Bo woła taksówkę. Widzę przez okno, jak telefonuje. Taksówka przyjeżdża pod kościół, to akurat dziesięć minut biegiem.

BIBI

Skąd pani to wie?

JANINA

Wiem. Sprawdziłam. Raz zadzwoniłam do naszych taksówek z pretensją, że nie przyjechali, a ona połączyła się z kierowcą i okazało się, że czeka już pod kościołem. Potem dzwoniłam jeszcze kilka razy, żeby się upewnić. Zawsze czeka pod kościołem. Tak jest wygodnie. Odpowiednio blisko i odpowiednio daleko. I każdy taksówkarz trafi.

BIBI

A skąd pani wie, że mąż jeździ do dziewczyny? Może ma inne sprawy?

JANINA

Wiem. Widzę to. Zachowuje się tak, jakby chciał to powiedzieć całemu

światu. I czasem wraca dopiero nad ranem. Więc co mam myśleć? Że trenuje do maratonu? On przecież na trzecim piętrze dostaje zadyszki.

BIBI

Rozmawiała pani o tym z mężem?

JANINA

A po co? Nawet nie usłyszy pytania. On nie chce o tym mówić. Może i dobrze. Jakby zaczął mówić, to musielibyśmy się rozstać. Nie byłoby wyjścia.

BIBI

A pani nie chce rozstania, tak?

JANINA

Na pewno nie tak. Nie na takich warunkach.

BIBI

A na jakich warunkach?

JANINA

Innych. Moich. Dopiero wtedy, jak będę gotowa.

BIBI

Do czego pani będzie gotowa?

JANINA

Do odejścia.

BIBI

Myślała pani o odejściu?

JANINA

Często o tym myślę.



BIBI

Ma pani jakiś plan?

JANINA

Plan mam od dawna. Wiem, jak to będzie.

BIBI

Chciałaby pani o tym porozmawiać?

JANINA

Porozmawiamy. Na pewno. Nic nie zrobię bez pani.

BIBI

A dzieci? Czy myślała pani, co z dziećmi? Z kim będą dzieci?

*Janina śmieje się głośno.*

JANINA

Jak to z kim? Z nim. Przecież jest ich ojcem. I z jego dziewczyną. Na pewno o tym marzy.

*Janina odwraca głowę i patrzy w okno, jasny prostokąt oprawiony w białe ramy.*

BIBI

A pani? Czy mogłaby pani żyć sama, bez dzieci?

*Wydaje się, że Janina nie słyszy tego pytania. Odpowiada dopiero po kilku chwilach, może upłynęło pół minuty, może cała.*

JANINA

Mój plan nie obejmuje dzieci. Przepraszam, muszę iść do toalety.

*Uśmiecha się i wstaje. Idzie do toalety. Siedzi tam dziesięć minut,*

*dokładnie tyle, ile pozostało do końca sesji. Gdy wraca, ma już w ręku pieniądze, tyle, ile wynosi honorarium Bibi.*

BIBI

Czy pani wizyta w toalecie była spowodowana tym, że nie chciała pani już uczestniczyć w sesji?

JANINA

Nie wiem. Może tak. Poczułam się zmęczona. Musiałam zrobić kupę. Wszystko razem.

*Wręcza Bibi pieniądze i wychodzi. Nawet nie mówi do widzenia.*

***Koniec sceny 8***



## Na spacerze

**ONA:** *No to posłuchaj historii, która się nigdy nie wydarzyła. Jest w niej chłopiec, okręt wojenny, stoik z niebieskimi pastylkami i dwie bomby atomowe. Tata chłopca buduje przeogromny okręt wojenny. Nie, nie buduje go, jest tylko trybikiem wielkiej maszyny, która buduje ten okręt. Robi meble do kapitańskiej mesy? Maluje burty? Okręt nosi imię niezwyciężonego samuraja, który rozłupywał czaszki swoich przeciwników jak jajka na miękko. Chłopiec zakrada się do stoczni, aby patrzeć na okręt. Któregoś dnia albo którejś nocy ktoś, może właściciel stoczni, może kucharz, wprowadza go na okręt i chłopiec może przejść po jego pokładzie, od dziobu do rufy. Liczy kroki. 511 kroków! Okręt ma koło ćwierć kilometra, a kroki chłopca są krótsze niż kroki dorosłego. W końcu okręt zostaje zwodowany i odpływa. Jest wojna. Chłopiec tęskni. Roi mu się powrót zwycięskiego okrętu, który pokonał wszystkich przeciwników. Ale staje się inaczej. Przychodzi wiadomość, że okręt zatonął, raniony przez samoloty nieprzyjaciela. Wtedy ojciec pokazuje mu stoik z niebieskimi pastylkami. Jeżeli Japonia przegra wojnę, chłopiec i jego mama będą musieli zjeść te pastylki i umrzeć, tak będzie dla nich najlepiej, mówi ojciec. Ojciec też umrze, potem. Chłopiec patrzy codziennie na stoik stojący na komodzie i wyobraża sobie, że będzie musiał zjeść połowę pastylek. Robi mu się niedobrze na samą myśl o tym. Ojciec wyjeżdża do innego miasta i po kilku miesiącach wraca. Ma poparzoną rękę i nadpalone włosy. Chłopiec zauważa, że stoik z pastylkami znika z komody. Co się stało? Ojciec mówi, że schował pastylki głęboko i że już nie każe chłopcu ich połykać, nigdy. Nawet gdyby Japonia poddała się wrogom? Nigdy to nigdy, nawet gdyby Japonia przegrała. Ojciec opowiada, że na to miasto, w którym był, spadła straszliwa bomba, że zabiła w jednej chwili tysiące ludzi, że było tak jasno, jakby znalazł się na słońcu, na gwiazdzie, która nazywa się Słońce. Chłopiec też chciałby zobaczyć tę bombę, to światło, które sprawiło, że jego ojciec nie chce już umierać i nie chce, żeby umarł jego syn. No i widzi to światło, bo 9 sierpnia bomba atomowa spada na Nagasaki. Tu historia się kończy, właśnie na tym wielosłonecznym błysku. Pika, flash, pstryk. Błysk. Chłopiec widzi od-błysk na ścianie, na szczęście,*

bo gdyby zobaczył sam błysk, zginąłby, gdyby akurat spacerował w czarnym ubraniu, spaliłoby go, a gdyby miał ubranie w paski, jego skóra mieniłaby się paskami spalenizny. Tu kończy się ta wymyślona historia, ale życie trwa nadal i kilkadziesiąt lat później chłopiec jest mężczyzną, który umiera na raka. Czy ma żal do ojca, że schował niebieskie pastylki i kazał mu żyć? I o czym myślał, gdy umierał, gdy zobaczył wreszcie to prawdziwe światło, które zobaczymy wszyscy? O wielkim okręcie, długim na 511 kroków? Czy znów zobaczył ten okręt, pancernik „Musashi”? Czy to na nim odpłynął? Czy szedł po nim, licząc kroki i patrząc przed siebie, w morze, w niebo, za horyzont?

**ON:** Fajna historia. 4 minuty i 36 sekund. Tyle czasu opowiadałaś. Przeszliśmy przez ten czas 511 kroków. Liczyłem. Po piasku idzie się wolniej.

## Rozstanie

Od tamtej nocy, gdy Bibi, stojąc w deszczu na ulicy, wysłała esemesa do Adama, siedzącego za ogromną szybą przy restauracyjnym stoliku, wszystko się zmieniło. Następnego dnia przyszła wiosna, wybuchła z niespotykaną siłą. Padające po nocach deszcze i słońce wędrujące po niebie dzień w dzień sprawiły, że trawa, liście i kwiaty wcześniej niż zwykle opanowały miasto. Również pomiędzy Bibi i Adamem wszystko było inne: pełne napięcia i erotyzmu, a także podniecającej świadomości końca, który może nastąpić w każdej chwili. Jakby uprawiali seks w bombardowanym mieście. Miało to swój smak, ale jednocześnie męczyło i Bibi czekała na zerwanie jak na wyrok. Bo tamto zdanie, wstukane w telefon, w istocie było zerwaniem, ale Adam zachowywał się tak, jakby go nie przeczytał. Albo przeczytał i nie przyjął do wiadomości. Albo natychmiast zapomniał. A Bibi w żadnej rozmowie nie nawiązała do niego. I nie wysłała go po raz drugi, domagając się odpowiedzi. Ale ono wciąż istniało i czasem pojawiało się pomiędzy nimi jak cień zwierza o nieokreślonym kształcie.

Aż przychodzi właśnie ta noc i leżą na podłodze wśród zmiętych prześcieradeł i poduch w czarno-białe pasy, ona na nim, opasując go nogami, rękami, tłumiąc jego oddech swoim jękiem. Księżyc okrągły i budzący niepokój z tą swoją pokrytą złotymi liszczami twarzą. Tej nocy wszystko jest, jak powinno być: długie, powolne pieszczoty — podróż przez kolejne kręgi przyjemności aż do miejsca odległego o świetlne lata od owej chwili, gdy weszli do tego pokoju, podczas gdy dla sąsiadów zza ściany to tylko godzina. Wsadź mi palec w tyłek, mówi ona i jego ręka wędruje po jej pośladku, powoli, powoli, powoli, gąsienica po gorącym piasku. A może wcale tego nie powiedziała? Może zrozumiał ją bez słów? Może w tym miejscu słowa nie są potrzebne? A co będzie potem? Tu nigdy nie będzie potem i nigdy nie było przedtem. Jest. Jest. Jest. Usta, wagina, odbył. Wszystkie otwory wypełnione szczelnie, zasklepione, zalane jego ciałem. A na oczach powieki, jej własne. Uszy i nos, one są otwarte. Zapach czystości i brudu, proszku do prania i potu. Dźwięki: jakaś muzyka i telewizor zza ściany, głośny jak nigdy lektor,

ścieżka dźwiękowa filmu, krzyki i wystrzały. Winda i szum ulicy. To pozostanie, bo najlepiej pamięta się didaskalia.

I jeszcze tej samej nocy na balkonie, w płaszczach, bo noc chłodna, wino i papierosy. Księżyc wciąż ten sam, z tą samą pozłotką na twarzy.

Rozmawiają przyciszonymi głosami, jakby ktoś ich podsłuchiwał.

— Czego ty ode mnie chcesz, Beatrycze?

— Nic nie chcę.

— To po co pieprzysz się ze mną? Lubisz to, prawda?

— Co ty, Adam. Lubię być z tobą najbardziej na świecie. To prawda.

— Napisałaś, że jestem skurwiel. Wysłałaś esemesa. Strasznie byłaś dziś napalona. Jakbyś nie miała faceta od dwóch lat.

— Napisałam. Przepraszam. Przecież wiesz, że tak nie myślę.

— Wiem, że tak nie myślisz. Myślisz tylko, że jestem gnojek. Ten twój gabinecik wytapetowany obrazami mamusi. Moja matka pracowała w zbrojeniówce, robiła pociski na Amerykanów. Lepiej ty idź na terapię i pogadaj o niej, o swojej matce. Największa puszczałska PRL-u, do tej pory opowiadają na mieście. Spytaj ją o swojego tatusia, na pewno nie pamięta jego twarzy. Może zapamiętała członek, bardzo lubiła członków KC, to będzie dla ciebie jakaś wskazówka.

— Przestań, Adam. Proszę.

— Proszę. Proszę. Ależ proszę bardzo, pani hrabino. A napisałaś wal się. Wal się, skurwielu. Może mnie jeszcze zapytasz, co wtedy poczułem. Ten terapeuta z serialu pięć razy na odcinek pyta, co wtedy poczułeś. To nie do mnie, koleś, ja nic nie czuję.

— Nie czujesz nic, Adam? Zupełnie nic?

— Jasne, że czuję. Ciepło albo zimno. Zimno na tym balkonie.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Wal się. Zepsułaś mi wszystko. Miałem kiedyś żonę. Wal się, Beatrycze.

W tej chwili wizg i trzask, i rumor, jakby z wysoka spadło coś ogromnego i ciężkiego. Wstają i patrzą w dół, a na tramwajowych torach dwa samochody. Jeden stoi z pogniecioną maską, a drugi sunie powoli, obraca się i też staje. Cisza.

Adam wyjmuje telefon z kieszeni płaszcza.

— Zobacz. Tamten dzwoni — mówi Bibi.

Na dole, obok przystanku, mężczyzna w kapeluszu trzyma rękę przy uchu.

Adam mówi do słuchawki o wypadku, a potem do Bibi:

— Nie wiadomo, gdzie dzwonił.

— Może pomogę — dodaje i idzie do drzwi.

— Ja też — mówi Bibi i idzie za nim.

Ale on idzie szybko i nie ogląda się. Ona szuka kluczy i naciska guziki alarmu. To trwa dwie minuty. Gdy podchodzi do wind, jego już nie ma. A może zbiegł po schodach? Bibi czeka na windę, a gdy wychodzi na ulicę, są już karetki: policja i pogotowie, również gapie pomimo późnej pory. Adama nie ma. Może wrócił na górę, może windy się minęły? Ale ona nie wraca. Stoi i patrzy jak inni. Ktoś zginął i leży na ulicy pod całunem z folii, kogoś zabiera karetka, ktoś wysiadł z samochodu, usiadł na trawniku i rozmawia z policjantką, która przykucnęła obok. Zasłania ręką oczy, jakby go razilo światło. Jechał sto sześćdziesiąt, mówi jakiś chłopak. Wszędzie szkło. Bibi schyla się i podnosi kawałek czegoś, co mogło należeć do jednego z tych samochodów, coś z czarnego plastiku. Machinalnie chowa to do kieszeni.

Nie chce wracać do budynku i schodzić na dół, do garażu. Nie tej nocy.





Pod Pałacem Prezydenckim, Warszawa, lipiec 2010

40 minut przez ciemne miasto. Idzie, stukając obcasami o chodnik, i jest na Krakowskim. Gdy przechodzi obok Przekąsek Zakąsek, słyszy swoje imię. To Konrad, był ulubionym studentem matki. Kiedyś Bibi zakochała się w nim, na krótko, może na tydzień, zanim zorientowała się, że jest gejem. Ale nie miała żalu. Polubili się. Konrad mieszkał ze swoim

dawnym wychowawcą z liceum, łysym i nudnym historykiem, na którego uczniowie mówili Dziunia. Nie widziała go chyba dwa lata, a teraz Konrad stoi w otwartych drzwiach Przekąsek i pali. Jak zawsze jest piękny, ma twarz jak anioł i czerwony szalik w szkocką kratę.

— Tęskniłem za tobą — mówi i całuje Bibi w oba policzki, a potem w oczy. Bibi śmieje się. Już zapomniała czułości Konrada.

W środku jest prawie pusto. Kupują sobie wódkę, od razu sześć szklaneczek i stają przy oknie z widokiem na Pałac Prezydencki. Ustawiają szklaneczki w rzędzie, na skos blatu. Rozmawiają, patrząc na grupkę zmęczonych ludzi z biednym transparentem, okupujących kawałek chodnika pod zaporami broniącymi dostępu do Pałacu Prezydenckiego. Kobieta z długimi, siwymi włosami trzyma w ręku krzyż z cienkich listewek.

— Oni zawsze tu stoją? — pyta Bibi.

— To pomnik katastrofy smoleńskiej. Co ja gadam. Oni tak nie myślą. Ten pomnik nazywa się Zamach Smoleński — mówi Konrad. — Będzie tu stał zawsze. Prawdziwy performans.

Ale nie jest wesoły. Mówi, że Dziunia go rzucił.

— Zerwałam dziś z chłopakiem. Albo on zerwał ze mną — mówi Bibi.

Konrad podnosi do ust szklaneczkę.

— Z Adamem? — pyta.

— Skąd wiesz?

— Słyszałem. Znam Julię. Robiła kiedyś kostiumy do mojej scenografii.

— Jaką Julię?

— Jak to jaką? Żonę Adama. Lubilem z nią pracować. Szkoda, że nie pracuje już w zawodzie.

— Nie?

— Nie wiesz? Jest trenerką karate.

— Nie wiedziałam.

— Julia jest świetna. Adam to ważniak. Dobrze, że się z nim rozstałaś.

— A ty i Dziunia? Też dobrze, że cię rzucił?

— W sumie tak. Ile lat można mieszkać z wychowawcą? Traktował mnie jak smarkacza.

Konrad podnosi szklaneczkę.

— Witaj wśród żywych, Bibi. Zapadłaś się pod ziemię. Nigdzie nie chodzisz. Irena martwi się o ciebie.

— Moja matka? Rozmawiasz z nią?

— Przecież robimy wystawę. Jak mam z nią nie rozmawiać?

Bibi wlewa w siebie drugą wódkę i dopiero teraz czuje w brzuchu ciepło. Więc jednak to prawda, myśli, ona naprawdę przygotowuje wystawę.

— Nie wiedziałam, Konrad. Mówiła, ale jej nie uwierzyłam. Że będzie miała wystawę w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Myślałam, że odjeżdża. Przecież tego muzeum jeszcze nie ma.

— To ty odjechałaś, Bibi. Dzwoniłem, ale nigdy nie miałaś czasu. Mówiłaś, że masz dużo pracy.

— To prawda. Mam. Ale jaka wystawa? Wszędzie tylko te kartki z bazgrołami. To ma być ta wystawa?

Konrad patrzy na nią z uśmiechem.

— Zobaczysz. Niespodzianka. Irena porusza się po kole. Zatoczyła krąg i zaczyna od początku bez bagażu profesjonalizmu, pozbyła się go jak niepotrzebnej rzeczy.

— Przestań, Konrad. Nie zaczynaj. Powiedz, o co chodzi, i już.

— Uwielbiam cię, Bibi. Szkoda, że nie jesteś facetem.

— Szkoda, że nie jestem pedałem. Chciałabym.

— Aha, zapomniałem. Miałem zadzwonić do ciebie. Irena prosiła.

— Żebyś do mnie zadzwonił? O co jej chodzi?

— Miałem zapytać, czy możemy wziąć twoje rysunki do wystawy. Plany miast. Jak byłaś mała.

— Po co? Ona nie mogła zapytać?

— Też ją pytałem. Powiedziała, że lepiej, jak ja z tobą pogadam. Możemy?

— Bierzcie. Po co mi one.

— Będą podpisane, Bibi. Wylądujesz w muzeum.

— Lepiej nie podpisujcie. Jeszcze jakiś pacjent nie będzie wiedział, co myśleć. Podpisz Asia albo Basia. Albo nie, Asiabasia. I wiek. Lat siedem albo coś. Daty tam są, możesz sam policzyć. Wystarczy. Nie wiem, po co ona to chce.

Bibi wlewa w siebie trzecią wódkę.

— Powtórzymy?

— Ale z zakąską. Nie chcę opowiadać Irenie, jak rzygałaś na Krakowskim. Gzik?

— Nie mam już ochoty na seks. Robiłam to już dziś z Adamem. Ostatni raz.

— Wariatka. Zobacz, tam jest napisane, nad barem.

— O, widzę. Mogą być nóżki — mówi Bibi, a Konrad schodzi ze stołka i podchodzi do baru. Wraca z dwoma talerzykami, a potem idzie jeszcze raz i przynosi cztery wódki.

— Wiesz, że rosyjscy poeci mówili na nóżki „umywalnia”?

— Zabawne. Dlaczego? — pyta Bibi.

— Widocznie mieli w Moskwie umywalnie z marmuru. No, zobacz. Jak kawałek marmuru.

— Nie zmieniaj tematu, Konrad. Powiedz mi o wystawie. O co tu chodzi? Będzie wystawiała te kartki z bazgrołami? Jak? Oprawicie je w złote ramy?

— Chciałem, żeby rysowała na ajpadzie. Byłoby prościej. Jak Hockney. A ona nie chciała. Uparła się. Może i lepiej. Zobaczysz. Performans. Nie wiem, czy to wypali, ale jak robi to takie nazwisko, to ma zupełnie inną wagę. Trochę się boję. To jest jak pożegnanie. Wraca do początku. Bo na początku malowała tylko grzyby atomowe. Wiedziałaś?

— Nie. Skąd. Nie widziałam takich obrazów. Gdzie one są?

— Gdzieś tam są. Nikt o nich nie wie. Powiedziała, że leżały przez lata w piwnicy, a potem przyjechał jakiś Japończyk i kupił je hurtem. Nawet nie zrobiła zdjęć. Potrzebowała kasy. Powiedziała, że musiała mieć na niańkę.

— Nie przejmuj się tak, Konrad. To tylko praca.

— Chciałbym zobaczyć te obrazy. Może bym zrozumiał.

— Nic byś nie zrozumiał. Wiesz, że ona była w Ravensbrück?

— Nie. Nie wiedziałem. Była dzieckiem?

— Konrad, ona zawsze kłamie.

— To nie kłamstwo, to kreacja. Jest wielką artystką.

— A ja? Kim ja jestem? Ja nawet nie wiedziałam, że miałam siostrę. Ona to przede mną ukryła.

— Coś ty. Jak mogłaś nie wiedzieć. Wszyscy wiedzą, chyba nie chciałaś. Przecież mówiła. A ten wywiad w „Wysokich Obcasach”?

— Jaki wywiad?

— Nie pamiętasz? Wywiad o bezsenności. Irena była na okładce. To zdjęcie w Ogrodzie Saskim, leży na ławce i śpi. Ubrana w zieloną parkę, w kapturze. Jesień, wszędzie żółte liście, na niej też. Powiedziała, że byłyście dwie. A w środku dali ten obraz z niebem pokrytym łuską, jak jedziecie autobusem.

— Cholera, Konrad, nie widziałam tego. Nie powiedziała mi.

— Bibi, „Gazeta Wyborcza” w sobotę ma ze sto tysięcy nakładu. Albo dwieście, nie wiem. Nie chciałaś wiedzieć, Bibi. Gdzie ty żyjesz?

— Nie wiem — mówi Bibi cicho, prawie szeptem. — Nie wiem, czy żyję.

Wychyla ostatnią szklaneczkę. Za oknem niebo różowieje jak zorza.

— Oni ciągle tam stoją. A jak chce im się siusiu?

Ludzie stojący pod Pałacem Prezydenckim coś śpiewają, trzymając w rękach kartki. A może tylko czytają na głos?

— Nie martw się. Mają pampersy — mówi Konrad. — Przyjdź na wystawę. Na finisaż, wcześniej nie warto. Zobaczysz.

— Finisaż? Zamknięcie wystawy?

— Będzie iwent, zobaczysz. I mnóstwo szampana. Prawdziwego, nie jakieś tam musujące.

— Muzeum kupuje francuskiego szampana?

— Nie wiem kto. Podobno jacyś Japończycy. Irena załatwiła. Zobacz, jakie niebo. Zaraz będzie rano.

— Ale muszą być zmęczeni. Ta siwa cały czas trzyma krzyż. Tak stać całą noc na ulicy. Japończycy? Dlaczego Japończycy mają kupować szampana?

— Hiroszima. To ich sprawa.

— Hiroszima?

— Hiroszima. Sny. Tak się nazywa wystawa.

— Hiroszima Sny? A obóz w Ravensbrück jej się nie przyśnił? To przeniesienie.

— Przeniosła Ravensbrück do Hiroszimy? Brawo, Bibi. Irena wie, co robi, mówię ci. Hiroszima to brand. Nawet Nagasaki tak nie brzmi, chociaż tam też rzucili bombę. Jak Penderecki napisał dziewięć minut muzyki i potem nazwał to *Tren ofiarom Hiroszimy*, to do tej pory to jest hit. A *Hiroszima, moja miłość*? Każdy wie, co to Hiroszima.

Gdy będzie już prawie jasno, Bibi i Konrad pomaszerają Krakowskim z przytupem i zaśpiewem: Hu, hu, ha, hu, hu, ha, Hiroszima zła! Hu, hu, ha, hu, hu, ha, Hiroszima zła! Oprócz tych kilku osób pod Pałacem Prezydenckim nikogo więcej na ulicy nie będzie, więc nie wzbudzą

sensacji. A gdy Bibi znajdzie się już w mieszkaniu, niespodziewany impuls każe jej wejść do pracowni matki. Stęchły zapach, straszliwy bałagan i matka śpiąca na podłodze, zakutana w śpiwór. Zielonkawe światło, sączące się przez zasunięte story. Wszędzie kartki i kartki, i kartki, jak opadłe liście.



## W pociągu

**ONA:** Wiesz, byłam w kinie. Taki cykl o miłości. Tamtego dnia puścili dwa filmy, razem trzy i pół godziny, z zapasem coli i popcornu można wytrzymać. Najpierw Hiroszima, moja miłość Alaina Resnais'go, a potem Miłość Michaela Hanekego, ciąg dalszy tamtej romantycznej historii, już bez Hiroszimy. Bohaterka, grana przez Emmanuelle Rive, w Miłości jest starsza o 53 lata.

**ON:** Myślałem niedawno o bohaterce tych filmów. „Anna za młodu miała dziwną skłonność do faszystów, najpierw Niemiec, a potem Japończyk. A jednak za mąż wyszła za Francuza. Ale cóż, udusił ją poduszką. Ostatecznie dostała to, na co zasłużyła”. Tak mogłaby powiedzieć jej okropna matka, gdyby jeszcze żyła.

**ONA:** Gdy patrzyłam na współczesną, starą Annę, czasem widziałam w niej tamtą kobietę sprzed pięćdziesięciu lat. Rzadko dawało się uchwycić taki moment, ale wtedy to naprawdę była ona. Po śmierci jej twarz wyglądała już zupełnie inaczej. W tym nowym filmie nie wspominała o dawnym życiu, tym z pierwszego filmu, nie mówiła o niemieckim kochanku, o miłości w Hiroszynie. Nie było żadnych śladów tamtych wydarzeń na starych fotografiach, które oglądała przy obiedzie. Dziwne. Dlaczego? Ukryła to? Wyparła?

**ON:** Myślę, że po prostu zapomniała. Jej świat został okrojony do salonu-sypialni-kuchni i tajemniczego pokoiku, do którego zanoszą się niepotrzebne rzeczy. Nie docierały tam głosy z zewnątrz, nie było telewizora, radia, gazet, nie było słychać sąsiadów, nawet telefon można było wyłączyć.

**ONA:** W tym filmie miłość została oskrobana ze świata. Była już tylko samą miłością, niebieską esencją w szklanej probówce. Nie trzeba było nic mówić, nic udawać, wszystko było jasne jak tysiąc słońc. Ta miłość karmiła się sama sobą, zjadała siebie po kawałku, lecz nie był to egipski wąż, zjadający się i odradzający jednocześnie, nie, był to odrażający autokanibalizm, proces mało estetyczny, wiadomo było, że zapasy się kończą i zbliża się koniec.

**ON:** Jednak granice nie zostały przekroczone, mocz i krew nie zalały ekranu. Miłości wystarczyło do końca filmu, bo reżyser w odpowiednim czasie



kazał bohaterowi przycisnąć poduszkę do twarzy Anny.

ONA: Ciekawe, czy to ta sama poduszka, na której Anna całowała swojego japońskiego kochanka?

ON: Wyglądała tak samo.

ONA: A pod koniec było już coraz przyjemniej, nie sądzisz? Gdy pojawiły się kwiaty i przyleciała gołębica.

ON: Gołębica? Skąd wiesz? Może to był gołąb?

ONA: Czy to ma jakieś znaczenie?

ON: A samo zakończenie było pełne słodyczy. Bohater udał się do tajemniczego pokoiku, który do tej pory nie był pokazywany, położył się na wąskim łóżku i umarł.

ONA: No nie, nie umarł, tylko opuścił mieszkanie razem z Anną i ich miłością. Dopiero w tej symbolicznej scenie ujrzałam wielkość ich miłości, a zarazem zwykłość, banalność. A ono, czyli mieszkanie, które było nie tylko sceną, ale również aktorem, zostało samo.

ON: A my? Przecież zostaliśmy w tym mieszkaniu. Odziedziczyliśmy je, córka bohaterów również je odziedziczyła, ale jeśli chodzi o miłość, to nie dostała jej w spadku, nawet kawałka, no, może udało jej się znaleźć wśród szpargałów jakiś ogryzek.

ONA: My też nie zasłużyliśmy na taką miłość, wyszliśmy z kina i od razu zapomnieliśmy.

ON: Śmierć w obliczu miłości. Miłość w obliczu śmierci. Co byś woląa? Umieranie w zamkniętym mieszkaniu wypełnionym dwutlenkiem miłości czy miłość w Hiroszynie, zgłodzonym mieście? Przypomnij sobie, jak tam było. Dwa gładkie, gibkie ciała pokryte kroplami miłosnego potu wobec dziesiątków innych ciał, zwęglonych, obranych ze skóry, wtopionych w mury.

ONA: Jasne, że to drugie, tam, w Hiroszynie. Nie będę udawać.

ON: Tam, w Hiroszima, moja miłość, właściwie nic się nie dzieje, trochę rozmów, trochę retrospekcji, głównie spacerują, lunatykują po zabitym mieście. Kochanek i kochanka. Antywojenna manifestacja to jedyne sceny, gdy może się wydarzyć coś nieprzewidzianego.

ONA: To było tylko tło. Nic, kawałki białego płótna zamiast drzwi, ciemno i pusto, a ona chodzi po ulicach, oszalała kobieta błądząca w ruinach.

ON: Nie ma nawet czego streszczać. To był romans, służbowa podróż i małżeńska zdrada, chwila zapomnienia, banał. Ale reżyser nadał tym chwilom antyczny wymiar, ustawił scenę w cieniu przeszłości, w cieniu

*góry śmierci. Aż w końcu pada z jej ust to słynne zdanie: Ty jesteś moją Hiroszimą. To dość odkrywczе, nie sądzisz? Równie odkrywczе jak sposób filmowania, nazwany nową falą. Ale jednak nie weszło do języka miłości i nie poszliśmy dalej. A mogłabyś być moją Srebrenicą.*

**ONA:** *Ty moim Auschwitz.*

**ON:** *A ty moją Rwandą, gdybyś była czarna.*

**ONA:** *A może zrobilibyśmy remake, tutaj, w Polsce? Pomyśl. Japonka w Oświęcimiu, niedługo po wojnie, poznaje polskiego Żyda, który przeżył, w przeciwieństwie do swojej rodziny. Miłość wielka i nagła, pokój w hotelu, hotel powinien być w Krakowie, to niedaleko i bardziej malownicze ulice do nocnych spacerów. Może być prawie tak samo, miłość jest niemożliwa, Japonka nie może tu zostać, a tym bardziej jej kochanek wyjechać z nią, co jest dużo bardziej zrozumiałe niż w tamtym filmie, bo przecież panuje tu noc komunizmu.*

**ON:** *Świetnie. Dialogi można łatwo przystosować.*

**ONA:** *Byłam w Auschwitz.*

**ON:** *Nigdzie nie byłaś.*

**ONA:** *Byłam w obozie.*

**ON:** *Nie byłaś w obozie.*

**ONA:** *Widziałam baraki.*

**ON:** *Nie widziałaś baraków.*

**ONA:** *Widziałam łaźnię.*

**ON:** *Nie widziałaś łaźni.*

**ONA:** *Widziałam sterty butów.*

**ON:** *Nic nie widziałaś.*

**ONA:** *Widziałam krematorium.*

**ON:** *Nic nie widziałaś. I tak dalej, do znudzenia, i nagie ciała w pościeli, które równie dobrze mogłyby być ciałami w łaźni, w której zamiast wody puszczano gaz, wszystko zależy od światła i zbliżenia kamery. Aż na końcu ona: Ty jesteś moim Auschwitz.*

**ONA:** *Widzowie będą płakali.*

**ON:** *Oczywiście nad kochankami, którzy rano będą musieli rozstać się na zawsze.*

**ONA:** *A co z tamtymi, którzy poszli z dymem?*

**ON:** *Tamtych już nie ma.*

**ONA:** *A tytuł? Jak myślisz? Auschwitz, moja miłość?*

**ON:** *Nie brzmi to najlepiej.*

**ONA:** *Trudno. Jak remake, to remake.*

„Hiroshima No Pika”

## **Babka Tower. Scena 9**

*Suzuki: znoszony granatowy garnitur Boss 2200 zł, biała koszula Tommy Hilfiger 299 zł, krawat bolo z krzemieniem pasiastym GeoGut 110 zł, enerdowskie półbuty sprzed 40 lat firmy Kord. Zdjął je przy drzwiach, nie schylając się, został w samych skarpetkach, czarnych i cienkich.*

*Bibi: koszulowa bluzka w kratę Muji 280 zł, szara spódnica szyta na miarę, pomarańczowe szpilki Pollini 440 €, złoty mosiężny pierścionek z kryształami Swarovskiego ORSKA 350 zł.*

## Odłona 1

Suzuki

Mówiłem już pani. Zwariowałem.

BIBI

Co dokładnie pan ma na myśli?

SUZUKI

To, co powiedziałem. Jednego dnia byłem normalnym człowiekiem, a następnego już byłem wariatem. To stało się trzy miesiące temu, w niedzielę, podczas obiadu.

BIBI

Co się wtedy stało?

SUZUKI

Mówiłem już pani. Zwariowałem. Moje wnuki też myślą, że zwariowałem, niedawno usłyszałem, jak to mówią. Już mnie nie szanują. A przecież byłem ich shihanem.

BIBI

Co znaczy shihan?

SUZUKI

Jestem nauczycielem karate. Dla mnie nie jest ważne, jaki noszę pas. Ale dla moich wnuków to ważne. Byli ze mnie dumni i szanowali mnie. Shihan to znaczy mistrz. Już nie jestem shihanem, jestem wariatem.

BIBI

Proszę, niech pan mi opowie po kolei, co stało się tamtej niedzieli. Proszę zacząć od rana.

SUZUKI

Wszystko było normalnie aż do obiadu. W niedzielę nie prowadzę zajęć.

Moi synowie też nie. W niedzielę cały dom jest tylko dla nas, nawet sale, w których prowadzimy treningi. Moje wnuki w niedzielę od samego rana lubią się bawić na dużej sali, robią tam wyścigi modeli samochodów. Mój kuzyn im przysyła z Japonii. Ja też mam kilka takich samochodów i czasami ścigamy się razem. Rozkładamy tor i jedziemy. Tamtej niedzieli miałem nowy samochód, Nissana, który wygrał Grand Prix Japonii w '68. Piękny. Nie powiedziałem moim wnukom, że naprawdę miał silnik Chevroleta, zawsze mówię im, że japońskie samochody są najlepsze. Wygrałem, chociaż jechałem nim pierwszy raz. Nie zawsze wygrywam, częściej pozwalam wygrać im, ale tamtego dnia strasznie chciałem wygrać. I potem byłem tak szczęśliwy, jakbym wygrał prawdziwe Grand Prix. A podczas obiadu zwariowałem. To była moja wina.

*Mężczyzna wybucha płaczem. Szłocha, ukrywając twarz w dłoniach. Wstaje, odwraca się w stronę okna i wyciera oczy chusteczką. Potem siada znowu.*

SUZUKI

Przepraszam. Nie jestem już sobą.

BIBI

Dlaczego mówi pan, że to była pana wina?

SUZUKI

Za bardzo się cieszyłem. Cieszyłem się, że wygrałem z małymi dziećmi.

BIBI

Proszę cofnąć się do tamtego dnia. Co było potem, jak skończył pan bawić się z wnukami?

SUZUKI

Mieliśmy lekcję japońskiego. Aż do drugiej, do samego obiadu. Uczę moje wnuki japońskiego. Synowie nie znają japońskiego. Jak byli mali, nie mówiłem do nich po japońsku.

BIBI

Świetnie pan mówi po polsku. Gdy rozmawialiśmy przez telefon, nie zorientowałam się, że jest pan cudzoziemcem.

SUZUKI

Bo jestem Polakiem. Mieszkam tu prawie 50 lat. Ale ciągle jestem też Japończykiem. Teraz chcę, żeby moje wnuki mówiły po japońsku. Najmłodsza, Pola, mówi tak, jakby urodziła się w Japonii. I wygląda jak japońskie dziecko. Chłopcy są inni, mają jasne włosy. Jak patrzę na Polę, to myślę o sobie, wtedy.

BIBI

Wtedy? To znaczy kiedy?

SUZUKI

W czterdziestym piątym. Jak miałem 5 lat. Teraz ona ma 5 lat. Ludzie mnie brali za dziewczynkę. Kiedy nie było ojca, moja matka ubierała mnie jak dziewczynkę. Gdyby Poli się coś stało, umarłbym.

BIBI

To pana ukochana wnuczka?

SUZUKI

Nie. Bardziej kocham Tomka i Felka. To bliźniacy, wyglądają jak anioły. I są bardzo grzeczni. Jak Pola się urodziła, powiedziałem mojemu młodszemu synowi, że w moim sercu nie ma już miejsca na następne wnuki. A jak rosła, była coraz bardziej podobna do mnie. Jakby robiła mi na złość. Jest uparta i umie postawić na swoim. Ale na lekcjach jest skupiona i poważna. Już zaczęła malować pierwsze znaki.

BIBI

Na czym polegała ta lekcja?

SUZUKI

Czytałem im książkę. Jak skończyłem, młodsza synowa zawołała nas na



obiad. Tamtego dnia na drugie była kaczką. Mój starszy syn ją zrobił. Ale nie zjadłem jej, bo zwariowałem.

BIBI

Co dokładnie się stało?

SUZUKI

Zjadłem zupę, wstałem i wyszedłem z domu bez słowa. Poszedłem na spacer, jak każdego dnia. Tylko w niedzielę nie chodzę na spacer, jeżeli, to z wnukami. Ale wyszedłem, wszyscy patrzyli zdziwieni, starsza synowa nawet zawołała: Tato, co się stało, ale ja udawałem, że nie słyszę, i wyszedłem. Obok furtki trzeba przejść kawałek po żwirze. Wtedy zauważyłem, że jestem w samych skarpetkach. Zawróciłem, ale nie do domu. Pod schodami stały krótkie kalosze, w których chodzę po ogrodzie. Założyłem je i poszedłem na spacer, moją zwykłą trasą, dokładnie wymierzona, 6 kilometrów i 350 metrów, zazwyczaj zajmuje mi to około 55 minut.

*Mężczyzna wstaje i podchodzi do okna balkonowego, patrzy przez nie dłuższą chwilę, z kieszeni wyjmując chustkę w kratkę i przeciera nią czoło.*

BIBI

Dobrze pan się czuje?

SUZUKI

Dobrze.

BIBI

Możemy kontynuować?

SUZUKI

Tak.

*Mężczyzna stoi jeszcze przez chwilę bez ruchu, po czym wraca na fotel.*

SUZUKI

Z pani okna widać cmentarz. Mój spacer zawsze prowadzi przez cmentarz w Grabowie. Wchodzę jedną bramą, a wychodzę drugą. Tamtego dnia też tak szedłem. Z początku szedłem normalnie, ale gdy już skręciłem i szedłem z powrotem, zatrzymałem się przy jakimś grobie i wziąłem mały, wypalony znicz. One wyglądają jak kolorowe szklaneczki. Włożyłem go do kieszeni bluzy. Poszedłem kawałek i wziąłem następny. Potem jeszcze jeden, aż kieszenie wyciągnęły bluzę. Razem sześć, trzy żółte i trzy czerwone. A potem zabrałem taki ogromny jak piłka futbolowa, niosłem go i przytulałem do siebie. Był cały żółty.

BIBI

Co pan wtedy czuł?

SUZUKI

Nic nie czułem.

BIBI

A co było potem?

SUZUKI

Nic. Wróciłem. Ustawiłem te znicze w ogrodzie, pod oknem mojego pokoju. Wszedłem do domu. Wszyscy siedzieli przy stole i byli zdenerwowani. Uspokoilem ich, że nic się nie stało. Wypiliśmy herbatę. Wszystko było jak zawsze, graliśmy w skrabie, ale naprawdę było zupełnie inaczej. Pamiętam, że ułożyłem słowo *pikadon*.

BIBI

Co to jest *pikadon*?

SUZUKI

Tego nie można przetłumaczyć. Po japońsku to są dwa słowa: huk i błysk, wtedy gdy wybucha bomba atomowa. Tamtego dnia zostałem wariatem, mówiłem pani.

BIBI

Dlatego, że pan wstał od obiadu, wyszedł na spacer i przyniósł kilka wypalonych zniczy?

SUZUKI

Przynosiłem je jeszcze wiele razy.

BIBI

I co pan z nimi robił?

SUZUKI

Mówiłem. Ustawiałem je w ogrodzie.

BIBI

Ile ma pan tych zniczy?

SUZUKI

326.

BIBI

Do czego są panu potrzebne? Zapala je pan?

SUZUKI

Nie. Przecież są wypalone. Rano, jak wstanę z futonu, wyglądam przez okno i patrzę na nie.

BIBI

Co pan wtedy czuje?

SUZUKI

Nic. Liczę je. Dziś było 326. Czasem patrzę w nocy przez okno i myślę, jak by to było, gdyby się paliły. To pomaga mi zasnąć.

BIBI

Myśli pan o tych, którzy umarli?

SUZUKI

Moja żona umarła 10 lat temu. Myślę o niej zawsze. Już się do tego przyzwyczaiłem. Co miesiąc jadę do niej na cmentarz, to jest daleko, na Wólce.

BIBI

A inni? Matka? Brat? Mówił pan, że zginęli podczas wojny.

SUZUKI

Byłem mały. Mój brat był jeszcze mniejszy. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Nie myślałem o nich całe życie. Sądzi pani, że jestem wariatem?

BIBI

Nie, nie wydaje mi się. Ale proszę się zastanowić, czy tamtego dnia stało się coś dziwnego? Może pomyślał pan o czymś, o czym nie myślał pan do tej pory, zobaczył pan coś niezwykłego? Może spotkała pana jakaś przykrość, coś nieprzyjemnego?

SUZUKI

Tak. Spotkało mnie coś straszego. Ja wiem, dlaczego zwariowałem.

BIBI

Wie pan? Dlaczego pan mi tego nie powiedział?

SUZUKI

Nie zapytała pani. Nie sądziłem, że to ważne.

BIBI

Więc co pana spotkało tamtego dnia?

SUZUKI

Musiałem przeczytać moim wnukom japońską książkę, *Hiroshima No Pika*. Mój młodszy syn przywiózł im ją z Japonii. Nie mogłem powiedzieć, że się boję.

BIBI

Co to znaczy *Hiroshima No Pika*?

SUZUKI

To samo co Hiroszima, tylko wtedy, jak wybuchła bomba atomowa.

BIBI

To książka dla dzieci?

SUZUKI

Tak. Bardzo krótka i ma obrazki.

BIBI

Czego się pan bał?

SUZUKI

Bałem się, że nie dam rady przeczytać tej książki.

BIBI

Dlaczego miałby pan nie dać rady?

SUZUKI

Powiedziałem. To książka o tamtym dniu, wtedy jak spadła bomba.

*Mężczyzna wstaje i zaczyna mówić bardzo głośno, prawie krzyczy:*

SUZUKI

Nie mogłem o tym czytać! Jak można pisać o tym książki dla dzieci?! To ona jest wariatką! Szkoda, że jej wtedy tam nie było. To ona powinna tam być. Jakby była, toby nie chciała o tym pisać.

*Japończyk nagle opanowuje się i siada w fotelu.*

SUZUKI

Ale przeczytałem im do końca. I byłem spokojny. Tylko Pola słuchała. W tej książce była dziewczynka, która potem już nie urosła, nawet jak była dorosła, była ciągle mała. Pola zapytała mnie, czy ona też nie urośnie. Chłopcy nie uważali, bili się. Rozumiem ich.

BIBI

O kim pan powiedział, że jest wariatką?

SUZUKI

O tej kobiecie, co napisała i narysowała tę książkę. Nazywa się Toshi Maruki.

BIBI

A pan? Był pan wtedy w Hiroszynie?

SUZUKI

Skąd pani to wie? Byłem. Miałem 5 lat. Jestem hibakusha. Ale nie byłem taki głupi, żeby to komuś opowiadać. Zapomniałem na zawsze.

BIBI

Nikommu pan o tym nie opowiadał? Nawet żonie?

SUZUKI

Kochałem moją żonę.

BIBI

I sądzi pan, że to z powodu tej książki przynosił pan z cmentarza znicze?

SUZUKI

Wiem. To przez tę książkę zwariowałem i stałem się cmentarną hieną.

BIBI

Cmentarną hieną?

SUZUKI

Tak powiedział mój starszy syn. Miesiąc temu moje wnuki nazwały mnie wariatem. Nie wiedziały, że stoję za drzewem. Śmiali się ze mnie, patrząc na to moje pole zniczy. Pola pukała się w czoło. Zapytałem starszego syna, co o tym sądzi, a on powiedział, że jego ojciec jest cmentarną hieną. Bardzo był zmartwiony. A starsza synowa dała mi pani telefon. Powiedziała, że pani mi pomoże. Od miesiąca ani razu nie poszedłem na cmentarz. Ale nie przestałem być wariatem.

BIBI

Dlaczego pan tak sądzi?

SUZUKI

Bo czuję się jak wariat. Moje myśli nie należą już do mnie.

BIBI

Co to znaczy?

SUZUKI

Że myślę o tym, o czym nie chcę myśleć.

BIBI

A o czym pan myśli?

SUZUKI

O tym, co było, jak spadła bomba.

BIBI

Dlaczego nie chce pan o tym myśleć?

SUZUKI

Bo to była moja wina. Chciałem tego.

BIBI

To, że Amerykanie zrzucili na Hiroszimę bombę atomową? Sądzi pan, że to była pana wina?

SUZUKI

Gdyby mnie nie było, bomba też by spadła. Wiem o tym. Ale ja byłem i chciałem tego. Nie szkodzi, że miałem 5 lat. Wszyscy, co tego chcieli, są winni.

BIBI

Może pan opowiedzieć dokładnie, dlaczego czuje się pan winny.

SUZUKI

Nie. Nigdy nikomu tego nie opowiem.

BIBI

A czego pan się po mnie spodziewa?

SUZUKI

Że pani mnie wyleczy. Że nie będę wariatem.

BIBI

Nie wydaje mi się, aby pana problemem była choroba. Nie sądzę, aby był pan wariatem, jak pan to mówi. Myślę, że jest pan zdrowy.

SUZUKI

To jest bardzo zła wiadomość. Chorego można wyleczyć, a zdrowemu nie pomoże żadne lekarstwo.

BIBI

Terapia nie jest tym samym co przyjmowanie lekarstw. To pan sam musi zmierzyć się ze swoimi problemami. Ja tylko mogę panu towarzyszyć na



tej trudnej drodze. Chciałabym, żeby to było jasne.

SUZUKI

To samo mówię moim uczniom. Że nie mogę ich niczego nauczyć. To oni są swoimi nauczycielami. Ja jestem nikim. Ale jestem z nimi, idziemy razem, wyprzedzam ich o krok, ale czasem zostaję w tyle. Dobrze, zgadzam się. Nie jestem tchórzem, nawet wtedy, jak się boję.

*Pan Suzuki wstaje, składa dłonie i kłania się. Podchodzi do okna. Bibi nie reaguje. Suzuki odzywa się dopiero po dłuższej chwili, wciąż patrząc przez okno.*

SUZUKI

Ten cmentarz jest dużo większy niż cmentarz w Grabowie. Wystarczy na dziś. Zobaczymy się za tydzień. Dziękuję.

*Odwraca się w stronę Bibi i uśmiecha się. Znowu się kłania, tym razem niżej. Bibi wstaje i robi ruch, jakby też miała się ukłonić, ale nie robi tego, pochyla tylko głowę. Japończyk ubiera się w milczeniu, wzuwa buty, nie rozwiązując ich, używając łyżki do butów, którą wyjął z kieszeni. Dopiero przy drzwiach mówi do widzenia.*

## Odłona 2

*Scena obrócona, balkon na pierwszym planie. Bibi w swoim gabinecie. Okno szeroko otwarte, Bibi chodzi i pali. Wychodzi na balkon i wraca. Zaciąga się przed wyjściem na balkon, tam wydmuchuje dym, zostawia papierosa na popielniczce stojącej na parapecie od strony balkonu, wchodzi do pokoju, robi rundę i od nowa. Wreszcie bierze komórkę i dzwoni. Stoi na balkonie, przodem do publiczności, pali. Mówi jak wyuczoną kwestię.*

BIBI

Adam. Odsłuchaj, proszę. Nie chcę, żeby to tak się skończyło. Napisałam tamtego esemesa. Że jesteś skurwiel. Żebyś się walił. Mieliśmy iść do kina, a ty poszedłeś z żoną do restauracji. Widziałam was przez okno, na Foksal. To tam napisałam esemesa, jak patrzyłam na was. Ale tak nie myślę. Nie wiem, dlaczego tak napisałam. Szewc bez butów chodzi. Kocham cię. Chciałam, żebyś się rozwiódł i był tylko ze mną. Do końca świata. *Ever and ever*. Jak w tamtym filmie, *Hunger*, oglądaliśmy go u mnie, pamiętasz?

*Bibi nagle podnosi głowę.*

BIBI

Cholera, wyłączyło się. Za długo. Mogłam powiedzieć inaczej, nie tak. Cholera. Nic już nie poradzę.

*Podchodzi do barierki, przechyla się i patrzy w dół. Rzuca palący się niedopalek. Odwraca się i idzie do gabinetu. Zamyka za sobą drzwi balkonowe.*

**Koniec sceny 9**

Bibi stoi w przedpokoju i szuka kluczy. Nagle w drzwiach pracowni materializuje się matka. Ma na sobie aksamitny czarny płaszcz i białe adidasy.

— Dziś mam trudny dzień. Wernisaż — mówi.

— Co? Wernisaż? To dziś? O której? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Mówiłam. O ósmej wieczorem. Ale nie musisz przychodzić. Wolę, żebyś przyszła w piątek, na finisaż.

— Mamo, przecież przyjdę.

— Dziś dadzą tylko marne wino. Szampan będzie na finisażu.

— No i co z tego?

— To przyjdź wcześniej. Posiedzisz ze mną. Nie wiem, jak to mi wyjdzie, to rysowanie przy ludziach.

— Mamo, odwołam pacjentów i przyjdę najwcześniej, jak będę mogła.

— Zobaczysz swoje miasta. To świetne rysunki, wiesz. Chciałam, żebyś poszła na Akademię. Byłabyś ode mnie lepsza.

— Przestań, mamo! Przepraszam, że nie pamiętałam. Ostatnie dni miałam tyle roboty. Papierki, nie gniewaj się.

— Ja też miałam tyle roboty. Papierki i papierki. Już nie mam siły — mówi matka i nagle przytula Bibi.

— Tylko ciebie mam — mówi.

— Ja też mam tylko ciebie — mówi cicho Bibi, wyswobadza się z objęć matki i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Zbiegając po schodach, czuje na policzkach łzy. Dlaczego matka to powiedziała? Dlaczego ją tak tuliła?

Oczywiście to matka zapomniała powiedzieć jej o swoim wernisażu, Bibi jest tego pewna. Matka jest stara i jak każdy stary człowiek może mieć kłopoty z pamięcią. A jeśli tak nie było? Ta myśl każe Bibi zatrzymać się na chwilę. Jeśli to ona, Bibi, na śmierć zapomniała o wystawie swojej matki? A gdyby nawet tak nie było, przecież sama powinna zapytać. I nagle przypomina sobie, jak matka nie wróciła z jakiegoś pleneru na jej pierwszą komunię, a Bibi, ubrana przez gosposię w białą sukienkę, czekała, stojąc na klatce schodowej, i patrzyła w to samo okno, w które patrzy teraz. Ale wtedy nie było tyle samochodów i niedzielna ulica była pusta i cicha, Bibi pamięta to do dziś. Stała przy tym oknie pół dnia i nie przystąpiła do komunii. Może dobrze się stało, po co ci ta komunia, powiedziała matka, gdy w końcu się zjawiała.

Po przyjsciu do gabinetu Bibi siada przy telefonie i kolejno odwołuje wizyty, zaczynając od godziny osiemnastej i cofając się w czasie.

Nie odwołuje tylko pierwszych trzech wizyt, to pacjentka z jedenastej przysłała esemesa, że ma gorączkę i nie może przyjść. Bibi ma trochę czasu, więc postanawia zapłacić rachunki. Wchodzi na swoje konto, a potem na konto matki, z którego zawsze płaci za mieszkanie i za jej telefon. Ostatnia płatność to przelew na 28 tysięcy 382 złote. Bibi robi się zimno. Co to może być? Tylko kradzież, bo największe wydatki matki nigdy nie przekraczają kilkuset złotych. Nie chce denerwować matki, więc dzwoni do pani Anety, która opiekuje się kontem. Bibi ma upoważnienie do konta matki i ma prawo wiedzieć. Pani mama była u nas i osobiście poprosiła mnie o zrobienie przelewu. Wszystko jest w porządku. Też przyjdę na finisaż, z mężem, obiecałam pani mamie. Więcej pani Aneta nie mówi, a Bibi nie naciska. Dzwoni do Konrada. Sto butelek szampana i dwudziestu kelnerów, mówi Konrad. Płacą Japończycy. Japończycy, jacy Japończycy? Bibi dzwoni do matki i krzyczy, że chyba zwariowała.

— Tyle pieniędzy na szampana dla obcych ludzi? Szaleństwo!

— To moi goście. I to moje pieniądze — mówi matka cicho. — Jestem zajęta. Pracuję. Nie mogę rozmawiać.

I już, koniec rozmowy.

To zwykły blok mieszkalny sprzed wielu lat, tylko ten pionowy, brzydki neon MUZEUM. I zwykły hol, jakie kiedyś miały bloki, niski, z ogromnymi oknami wychodzącymi na tyły dawnego domu meblowego. Bibi wchodzi. Lada z napojami, strażnik w mundurze rozparty na ławce, kilka archaicznych stolików i metalowych foteli wyplatanych plastikową rurką, książki na stojakach. Ktoś pije kawę, ktoś przegląda książki. Plakat: grzyb atomowy w kolorach tęczy, napis „HIROSHIMA. SNY” stylizowany na japońskie litery. Sala wystawowa na prawo, za pajęczą kratą. Długa i pusta, tylko na jej końcu, pod ścianą, coś się dzieje. Bibi czuje zapach papierosowego dymu. Jak tu nisko. Nad salą, pod sufitem, wiszą kartki papieru. Jedna obok drugiej, setki, tysiące kartek, może jeszcze więcej. Stanowią podwieszany sufit, nierówny, falujący, szeleszczący. Pod oknem, na trójkątnej drabinie, stoi chłopak z jasnymi włosami do pasa i trzymając w ręku plik kartek, mocuje je po kolei do

zwisających nitek. Po lewej stronie, na ścianie, migocą wielkie monitory. W samym końcu sali, na podeście, przy stoliku, figura Japonki w obłokach papierosowego dymu. Stara kobieta w szaro-złotym kimonie, owinięta ozdobnym pasem, z pomarszczoną twarzą pod warstwą białego pudru, z ukośnymi kreskami zamiast brwi, uczesana w charakterystyczny kok przebity dwoma patykami. Matka? Pochylona nad kartką, skupiona, w dłoni trzyma ołówek. Dymiący papieros leży na popielniczce.

— To ty, mammo?

— O, jesteś. Pracuję.

— Sama się tak przebrałaś?

— Nie żartuj. Ubrali mnie w garderobie Dramatycznego.

— Po co się tak przebrałaś? To jakiś teatr?

— Można to tak nazwać.

— Wyglądasz jak manekin na jakiejś wystawie.

Matka śmieje się. Zaciąga się papierosem.

— Nie poznałaś mnie. Widzisz.

— Mogę zapalić?

— Skąd. Przecież to muzeum.

— A ty palisz.

— To performans.

— Mammo. Tu nie ma nikogo.

— A ty?

W tej chwili podchodzi długowłosego chłopak, który stał na drabinie.

— Renka, co dalej? — pyta.

Renka, jak on do niej mówi, ten smarkacz, myśli Bibi.

Podchodzi do najbliższego monitora. Monitor LED 65. Z boku malutki blat i myszka. Na ekranie powiększony, jak wyrysowany grubym ołówkiem, plan. Ulice podpisane dużymi krzywymi literami. Ulice: Asfalta, Urhana, Acana, plac Pumby, park Kotów. Aleja Lassie. Rzeka Masza. Sklep Typas. Kawiarnia Hana. Kino Nikita, cyrk Aleksander. Domy, pałace, kina, szkoły, przedszkola. Podpis: Asiabasia, lat 6, plan Miasta Psów. Ach tak, pamięta. Pomnik Bobika od Franciszkanów. Muzeum Kości. Dziewczynka leżała na podłodze, na wielkim arkuszu szarego papieru. Rysowała, podczas gdy jej matka malowała portret mężczyzny w wojskowym mundurze, stojącego na tle biało-czerwonej chorągwi. Mężczyzna z portretu był też tam obecny, stał nieruchomo pod ścianą, na którym matka zawiesiła chorągiew. Trzymał pistolet.

Celował w okno, ale dziewczynka bała się, że zastrzeli jej matkę; to dlatego nie pozwala się wypędzić z pracowni. Cały czas pilnowała swojej matki, rysując w zapamiętaniu plan Miasta Psów. Tak bardzo chciała mieć psa, ale nigdy o niego nie poprosiła: wiedziała, jaka będzie odpowiedź. Ulice i place nosiły imiona psów, które znała, o których słyszała i o których czytała. No i jeszcze był tam Park Kotów — to był prezent dla psów. Bibi przypomina to sobie jak film, który oglądała kiedyś, a dziewczynka jest dla niej postacią z tamtego filmu, nie czuje z nią żadnej więzi. Przykrywa ręką myszkę i przesuwają po blacie — na planie zamiast kursora porusza się czarny samolocik. Gdy cień samolotu przesłania Pałac Dogów, Bibi naciska lekko myszkę i bomba wybuchła, wiedziała, co się stanie, zanim to się stało. W miejscu wybuchu widać czerwone kółko, które puchnie, pęcznieje, rozszerza się, głęboka czerwień w środku, różowe po brzegach, wypala domy i ulice, po chwili czernieje, popieleje. Nie ma już połowy miasta, w środku zieje czarna wyrwa, dookoła domy rozmywają się, ulice krzywią, monitor miga i sieje czarnym pyłem.

Na następnym monitorze jest Barbie Town, potem Nowy Jork, potem Hiroszima. I tu też Hiroszima? Skąd? Dziewczynka, która narysowała plan Hiroszimy, miała 12 lat. Nad każdym z tych miast wisi samolot i czeka. Ale Bibi wychodzi z sali. W bufecie kupuje sobie butelkę club mate i wychodzi z muzeum. Chce jej się płakać. Miasto Psów, miasto jej dzieciństwa, legło w gruzach. To matka zbombardowała jej miasto i zrzuciła winę na nią.

Na Emilii Plater, w świetle ulicy, stoi prosta, cieniutka wieża, pasek ze szkła i stali. Płaski, jakby pozbawiono go trzeciego wymiaru. Skąd się wziął tutaj? Spadł z góry i wbił się w ziemię jak ostrze noża? Ach, tak, przypomina sobie Bibi, widziała zdjęcie w gazecie, zresztą napis u podstawy nie pozostawia wątpliwości. Cosmopolitan, z początku nazywany Twarda Tower, czterdzieści cztery piętra. To takie polskoromantyczne, czterdzieści i cztery. Bibi staje i zadziera głowę. Gdyby zamieszkała tak wysoko, już nic by jej nie mogło dotknąć, wszystko mogłoby zostawić tutaj, na dole.

Finisaż.

Tym razem w muzeum rżęsiście światła i cała Warszawa kłębi się w tej

niskiej, długiej hali. Bibi nie wchodzi do środka, spaceruje wzdłuż pasażu. Przez ogromne szyby widać lepiej, niż gdyby było się w środku, zresztą tu, na zewnątrz, też jest mnóstwo ludzi. Pałą, siedzą na ławkach, piją piwo z puszek, rozmawiają. Ten pasaż jest częścią muzeum, jest widownią, z której widać scenę. Jeszcze nie zapadł zmrok, ale niebo zasłonięte ciemnymi chmurami nie emituje światła, dlatego wewnątrz jest tak jasne, a zewnątrz, chodnik pomiędzy domami w niewielkiej części przykryty dachem, tak ciemne. Bibi widzi swoją matkę, starą Japonkę, siedzącą przy stole na podwyższeniu, scenie, postumencie zbudowanym z desek jak prehistoryczny parkiet do tańca. Japonka pali papierosa, trzyma go w lewej dłoni, a w prawej żółty drewniany ołówek, rysuje lub pisze, szybkimi ruchami, potem odkłada kartkę i bierze następną. Ludzie kłębią się pomiędzy ścianami. Niektórzy patrzą w monitory z miastami Bibi, dotykają ich, chodzą po ulicach, zrzucają na nie bomby atomowe, jak to dziecko trzymane przez ojca, żeby mogło dosięgnąć. Są tam wszyscy, nawet wuj Emil, patrzy na starą Japonkę i wydaje się trochę zagubiony, pod rękę trzyma go młody mężczyzna, to dobrze, bo mógłby się przewrócić. Pani Aneta z banku, dziewczyny, z którymi kiedyś Bibi chodziła do klubów, znajomi bliżsi i dalsi, ludzie z ekranu telewizora, wszyscy. Konrad filmuje małą kamerą i rozmawia z Dziunią. A mówił, że zerwali. Jest nawet tamten stary mężczyzna w dwóch płaszczach, białym i czarnym, którego spotkała w Amatorskiej, patrzy na kelnera trzymającego butelkę szampana. Pod słupem stoi Adam w szarej marynarce, wydaje się zagubiony, rozgląda się, jakby kogoś szukał. Może to mnie szuka, myśli Bibi i serce w niej zamiera. Ale Adam macha do kogoś stojącego pod oknem, takim samym gestem odpowiada mu kobieta w oprychówce na głowie, Bibi widzi tylko tył jej głowy i rękę.

W tej chwili ktoś krzyczy Bibi! i rzuca się na nią, całuje ją w policzki i śmieje się.

— Bibi, to ty? Jak się cieszę. To twoja matka, co nie? Chciałabym mieć taką. Jest najlepsza. Chociaż taka stara.

— Najlepsza? Dobry wieczór.

To Kasia, dziewczyna, którą Bibi poznała na Krecie.

— Wiesz, chciałam do ciebie zadzwonić. Zgubiłam telefon i nie mam numeru. Napisałam w końcu tę pracę, mówiłam ci, o dzieciństwie w cieniu bomby atomowej, we wtorek się bronię. Przyjdiesz we wtorek wieczorem na Chłodną? Upijemy się.

Kasia ma krótkie włosy, jak wtedy, gdy ostrzygła ją Bibi. Wygląda jak śliczny, delikatny chłopiec, ubrana w podziurawione dżinsy i męską marynarkę

— Tam już nie ma alkoholu. Byłam.

— Na imprezach można pić swoje. Tata przywiózł ze Słowacji cały samochód. Przyjdiesz? Proszę.

— Chętnie. Jak będę mogła — mówi Bibi.

— To mój chłopak — mówi Kasia.

Obok stoi nieogolony mężczyzna koło pięćdziesiątki, siwy, niski i chudy, w wojskowej kurtce. Kiwa głową, że prawda. Śmieje się. Podaje rękę i mamrocze jakieś nazwisko.

— Opowiadałam ci o Bibi, pamiętasz? Pomogła mi ewakuować się z Krety, od tamtego czubka, co chlastał mnie nożem — zwraca się do niego Kasia.

— Wyglądasz jak chłopak. Jak wtedy — mówi Bibi.

Kasia wybucha śmiechem.

— Teraz lubię tak wyglądać. Facet ma gorzej, nie może włożyć sukienki, musiałby zrobić jakiś coming out, co nie? Biorą nas za gejów — mówi, przytulając się do siwego mężczyzny.

— A ty jak? Zerwałaś z tamtym? — pyta.

— Już dawno — mówi Bibi obojętnie, chociaż chce jej się płakać.

— Idziesz do środka? Zaraz będzie szampan.

— Zaraz tam wejdę. Idźcie.

Idą do wejścia, objęci. Kasia jest od niego wyższa. Ten mężczyzna nigdy jej nawet nie uderzy, a co dopiero nóż, to widać.

Pod oknami w sali wystawowej stoi kilka malutkich monitorów na słupkach, obok każdego z nich wiszą słuchawki. Bibi nie widziała ich wcześniej.

Przepycha się przez tłum i gdy przechodzi obok pierwszego z nich, coś ją zatrzymuje, obraz lub przecucie. Staje i patrzy na czarno-biały, niewyraźny przekaz z marnej kamery. To pracownia matki. Obraz jest nieruchomy. Widać kawałek stołu zasłanego kartkami, podłogę i leżący podłużny kształt, to matka zakutana w śpiwór. Ktoś wchodzi, czyjaś ręka podnosi kartkę ze stołu, potem ją puszcza. To ona, Bibi. Odchodzi i zatacza się lekko, odwraca się do kamery i przez chwilę widać



wyraźnie jej twarz. Coś mówi, porusza ustami. Wygląda okropnie, jest pijana.

Bibi idzie w stronę podwyższenia, na którym siedzi ubrana w japońskie kimono matka, przepycha się pomiędzy ludźmi, odsuwa ich. Wchodzi po schodkach.

— Wsadziłaś kamerę do domu. Pokazujesz mnie. Tym razem przesadziłaś. Koniec z nami — mówi cicho do matki.

Wymierza jej mocny policzek, jeden, potem drugi. Matka wstaje i oddaje jej, raz i lekko. Słysząc oklaski, najpierw słabe, potem mocniejsze. Bibi schodzi z podestu i idzie w stronę wyjścia.

— To był cytat z Mariny Abramović, z jej starego performansu z Amsterdamu — mówi ktoś. — Świetne — dodaje ktoś inny.

Bibi staje na moment, odwraca się i patrzy na matkę. Matka stoi obok stolika i uśmiecha się. Pochyla się w ukłonie.

Bibi wychodzi z muzeum. I znów na ulicy jej wzrok natyka się na czterdziestoczworopiętrowy wieżowiec, płaski i wiotki jak pasek papieru. I wyobraża sobie, jak wjeżdża windą na górę, na trzydzieste albo czterdzieste piętro, wyjmuje z kieszeni klucz i wchodzi do mieszkania, które jest tylko jej.

Opis zdarzenia: kartki wiszą na linkach. Na różnych wysokościach. To prawdziwa gęstwina. Artystka, ubrana i umalowana jak gejsza, siedzi w głębi sali na podwyższeniu i rysuje. Jedna kartka na minutę. Gdy narysuje, kartkę zabiera jasnowłosy chłopak i przyczepia do kolejnej linki, a linka, nie wiedzieć jak, podjeżdża do góry.

Jednocześnie: wylatują w górę korki od szampana, wyją syreny, stroboskopowe światło miga i oślepia, huraganowy wiatr wieje w górę, na kartki, które podlatują pod sufit, a potem spadają na ziemię, jak liście. Kelnerzy nalewają szampana i roznoszą na tacach. Widzowie piją szampana, brodzą wśród kartek. Niektórzy je podnoszą i oglądają. Niektórzy zbierają kartki i składają je, chcą mieć ich jak najwięcej. Niektórzy stoją i piją szampana. Niektórzy odstawiają puste kieliszki i częstują się następnym. Artystka już nie rysuje. Ktoś podchodzi z rysunkiem i prosi o autograf. Chłopak, który wieszał kartki, stawia na nim stempelek-podpis. Inni też podchodzą. Artystka nie zwraca na nikogo uwagi.

Miasto uniosło się w górę i spadło na ziemię. Rysunki są wspomnieniami miasta, snami miasta, cieniami miasta. Czasem można się w nich czegoś dopatrzeć, czasem nie. Ubrania, garnki, pokoje, dzieci. Książki, łóżka, ołówki, dzbanuszki, kwiaty. Radia, kuchnie, lalki, tramwaje. Zwierzęta: psy, koty, ptaki, szczury. Litery. Znaki. Bazgroły. Linie, łączące myśli z wydarzeniami. Rysunki.

Co możemy z nimi zrobić? Możemy na nie patrzeć. Możemy schować je do szuflady. Możemy zrobić z nich papierowe samoloty albo papierowe żurawie. Możemy je spalić. Możemy po nich chodzić. Możemy o nich zapomnieć.

A artystka? Jaką rolę pełni? Jest starą kobietą ubraną w kimono, z włosami upiętymi w kok, z upudrowaną twarzą. Mogłaby tam być, w Hiroszynie, wtedy gdy wybuchła bomba. Wtedy była młoda. A teraz? Niedługo umrze. Pali papierosa.



## Na poczcie

ON: O, ale gównu. Na ekranie jest numer 213. A na kwitku, który wydał mi automat, 225.

ONA: Jeszcze dwanaście osób przed nami.

ON: Te baby, które mają tu pracować, chodzą sobie za okienkami i rozmawiają. Tylko jedno okienko jest czynne, widzisz? A ten facet, który tam stoi, ma ze sto identycznych pakietów. Jeszcze mamy dużo czasu. Możemy stać tu i czekać cały wiek. Możemy tylko myśleć.

ONA: O czym?

ON: O Auschwitz, a o czym niby mamy myśleć? Żadnych szans podczas selekcji, no wiesz, z powodu wieku. Wiadomo, pójdę na prawo, najpierw do gazu, a potem do pieca.

ONA: Ja też nie miałabym szans. Młodzi są bardziej przydatni. Oni jeszcze mogą mieć nadzieję.

ON: No to zrobmy selekcję. Już policzyłem. Według mnie sześć osób mogłoby zostać.

ONA: A siedem na pewno do gazu. Ta kobieta ze starym jamnikiem, ten mężczyzna z kulą, te dwie grube, ten staruszek, no i my. Od razu do gazu, nawet się rymuje.

ON: Słowo selekcjoner zawsze mi się kojarzy z rampą, nawet jak nazywają tak trenera naszej reprezentacji piłkarskiej. Wcale nie musiałem tam być, przecież urodziłem się dużo później.

ONA: Pewne rzeczy na zawsze wdrukowały nam się w mózgowo zwoje i przypominają się przy lada okazji. Kolejka na poczcie też może być taką okazją.

ON: Tamta dziewczyna pod oknem, rumiane policzki, długie nogi, wygląda na wysportowaną. Pewnie miałyby duże szanse, nie to co my.

ONA: Nie gratuluj jej, nie ma czego, bo facet, który z nią przyszedł, na pewno by się nie załapał. Ma sztywną nogę i kulę inwalidzką. A poza tym wcale nie jest młody, na pewno ma koło pięćdziesiątki. Mogłaby znaleźć sobie młodszego, miałby większe szanse.

ON: Nie mam zamiaru jej pouczać. To nie moja sprawa.

ONA: A tamte kobiety za okienkami? Ich wiek jest jakiś nieokreślony.

**ON:** *One są tutaj przedstawicielkami władzy. Ale nie rozdamy im ról esesmanek. Są jakieś granice.*

**ONA:** *To pomyśl teraz o poczcie w Japonii. Czy w Japonii na poczcie są kolejki?*

**ON:** *Wszędzie są.*

**ONA:** *No to jesteśmy na poczcie w Japonii, a przed nami czeka dwadzieścia osób. I o czym można myśleć w tej sytuacji? O bombie atomowej?*

**ON:** *Nie, to przesada.*

**ONA:** *Może w Japonii to nie przesada, może czeka tam jakiś staruszek o budowie owada i myśli o Hiroszimie. Trzyma w ręku list do wysłania, patrzy na ludzi stojących w ogonku i widzi ich bez skóry, pochylonych do przodu, wyglądających jak zombi. Wszystkich, nawet dziecko z zabawką w ręku.*

**ON:** *Tak sądzisz? A jednak może nie wszystkich? Może tamta poczta wcale nie musiała być położona w epicentrum wybuchu, może wystarczyło stać trochę dalej od okna, o, tutaj, za automatem do wydawania numerków. W tym kącie też mogło być bezpieczniej, bo ci, którzy stali przy tym wielkim oknie, nie mieli szans.*

**ONA:** *No właśnie, tam też ktoś miał szansę na ocalenie, a ktoś nie, zależnie od tego, gdzie znajdował się o tej godzinie 8.15, kwadrans po otwarciu poczty, tam też była jakaś selekcja, wprawdzie wstępna i raczej ślepa, to zależne jest od podejścia, czy wierzysz w ślepy los, czy też raczej w to, że wszystko z góry jest ustalone, zależne od naszych czynów w naszych poprzednich życiach.*

**ON:** *Albo od Megawidzimisia, który naciska guziki.*

## Arkadia

Oto Bibi, stojąca w oknie apartamentu na trzydziestym trzecim piętrze, 54 metry, salon, sypialnia i łazienka. Wszystko w tym pomieszczeniu jest nowe, tak jak biała sukienka Bibi. Okna od podłogi do sufitu, przez naciśnięcie guzika z framug wysuwają się rolety. Gdy jest zimno, podłoga sama się nagrzewa. Inteligentny apartament, tak było napisane w prospekcie apartamentowca o nazwie Cosmopolitan. Pałac Kultury, ten znacznik miejsca akcji, wydaje się na wyciągnięcie ręki, w innej historii byłaby to wieża Eiffla.

Obok Bibi stoi Konrad.

— Ale wysoko — mówi. — Nawet w Nowym Jorku nie byłem w takim mieszkaniu. Wszyscy moi kumple mieszkali w jakichś zapyziałych kamieniczkach na Brooklynie. Jeden ma stodołę, trochę dalej. Fajnie to wygląda. Pałac wydaje się mniejszy.

— A Dziunia? Był z tobą?

— No co ty. Przecież pracuje w szkole. Zresztą dobrze, że nie mógł. To pomogło nam się rozstać do końca. Już w samolocie przestałem o nim myśleć.

— A o kim teraz myślisz?

— Poznasz go.

— Czarny?

— To nie Amerykanin. Chłopak z Warszawy, maluje tam mieszkania. Wróci na święta. A ty? Jesteś z kimś?

— Nic stałego.

— A Irena? Nie mogłem się dodzwonić. Co z jej komórką? Zmieniła numer?

— Ona już nie używa komórki.

— Nigdy nie lubiła komórek. Na domowy też dzwoniłem. Nie ma już takiego numeru.

— No bo sprzedałam nasze mieszkanie na Nowym Świecie. Myślisz, że za co kupiłam tę dziupłę?

— Jasne. Słyszałem. To najdroższe mieszkania. A gdzie jest Irena?

Przecież nie umarła.

— Nie, nie umarła. Chcesz piwa?

— Pewnie.

Jedna ze ścian pokoju, ta srebrna, podzielona na prostokąty, z ekranem piecyka i wygiętą rurką kranu, stanowi kuchnię. Nad zlewem, gdzie zazwyczaj są kafelki, jest niskie, podłużne okienko lub fototapeta z kawałkiem miasta widzianego z góry, nie wiadomo. Bibi podchodzi do ściany i z niezachwianą pewnością dotyka jednego z prostokątów, który okazuje się drzwiczkami do lodówki. Radeberger, obwieszcza, a Konrad kiwa głową.



I znów stoją w tym wielkim oknie. Pałac nieco zrózowiał, zaraz będzie zachodziło słońce.

— Mama jest w Pruszkowie — mówi Bibi, pociągnawszy łyk piwa. Wkłada do ust czarny ołówek, który wzięła ze stolika, ssie go łapczywie i wypuszcza ustami kłębek dymu, a na końcu ołówka zapala się niebieskie światełko.

— Ty? To gówno? Nie palisz już vogue'ów?



— Za małe mieszkanie. Tylko salon i sypialnia. Nie mogłabym spać w tym smrodzie, a nie lubię klimatyzacji.

— Dlaczego sprzedałaś mieszkanie na Nowym Świecie? Dlaczego Irena jest w Pruszkowie? Co ona tam robi?

— Nic. Nie chodzi i nie mówi. To dom dla starych ludzi. Nazywa się Arkadia.

— Arkadia? Cholera! Powiesz mi wreszcie, co się stało?

Bibi znowu ssie czarny ołówek z niebieskim światełkiem zamiast gumki do ścierania, a potem wydmuchuje bezwonny dym.

— Z początku chciała stamtąd uciekać, wspinała się na ogrodzenie i krzyczała. Zwariowała. Myślała, że jest w obozie, w Ravensbrück. Szpikowali ją psychotropami, to się uspokoiła.

— Ale co się stało? Dlaczego tam się znalazła?

— Ja ją tam zawiozłam. Powiedziałam, że jedziemy na wycieczkę, weszła do samochodu i pojechałyśmy. Musiałam to zrobić, Konrad. Po tej wystawie wyprowadziłam się, wynajęłam sobie kawalerkę na Nowolipkach. Już nie mogłam z nią mieszkać. A ona nie przestała rysować, wiesz. Rysowała dniami i nocami. Nawet nie jadła. Zapominała o wszystkim. Zalała sąsiadów z dołu.

— Mogę ją odwiedzić?

— Pewnie. Ale ona już nic nie kapuje. Nie pogadasz z nią.

— Nie było mnie tu trzy miesiące — mówi Konrad, nie patrząc na Bibi, patrząc przez okno na miasto ścielące się w dole. — Jak do ciebie szedłem, to zajrzałem na chwilę do muzeum. Przypomniałem sobie, jak robiliśmy z Ireną wystawę. Wiesz, poznałem w Nowym Jorku Marinę Abramović. Pokazałem jej wideo z finisażu Ireny, jak się policzkujecie, najpierw ty Irenę, a potem ona ciebie. Podobało jej się. Ona też myśli, że to cytat z jej performansu z Amsterdamu, jak policzkowała się ze swoim mężem. Ale to nie był żaden cytat, prawda? Naprawdę ją spoliczkowałaś. Zresztą. Jak to było w muzeum, to już był performans. A Marina i jej mąż, to co? Tak bardzo się lubili? Potem się rozstali na zawsze. Daj sztachę, Bibi.

Bibi podaje mu ołówek wypełniony dymem. Konrad zaciąga się długo.

— Kurwa. Nic nie czuję — mówi.

Z trzydziestego trzeciego piętra Bibi patrzy na miasto. Jej profil jest tak elegancki jak jej biała sukienka. Światło. Setki samochodów kręcących się bez celu po ulicach. Helikopter.

Jak każdej niedzieli jedzie do Pruszkowa odwiedzić matkę. Bibi, dobra córka. Matka jest zawsze elegancko i czysto ubrana. Szaro-różowy sweterek z angory, niebieskie koraliki, ułożone przez fryzjerkę siwe włosy. Siedzi w fotelu na kółkach i patrzy w balkonowe okno, za którym jest park, wraz z porami roku zmieniający kolory. Jej pokój jest jasny i duży, naprzeciw łóżka wisi telewizor, a na ścianach obrazy, które kiedyś namalowała. To naprawdę luksusowy pensjonat dla starych ludzi, kosztuje majątek.

Tym razem obok fotela matki stoi krzesło. Siedzi na nim kobieta o czerwonych włosach. To pisarka, która kiedyś odwiedziła Bibi w gabinecie, aby obejrzeć widok z Babka Tower. Ubrana tak samo jak wtedy, stara kobieta w połatanych dżinsach i glanach, w wojskowej kurtce zarzuconej na jedno ramię. Trzyma matkę za rękę i coś jej opowiada, a matka patrzy na nią uważnie i kiwa głową, zupełnie jakby rozumiała, co tamta mówi.

Bibi bierze sobie krzesło i siada z drugiej strony, całuje matkę w czoło obciągnięte suchą, cienką skórą.

— Ona nic już nie rozumie — informuje kobietę.

— Rozmawialiśmy o obrazach — mówi kobieta. — To dobrze, że ma tutaj chociaż jeden z tych, na których namalowała bliźniaczki. Nie jest taka samotna. Jak była w Tworkach, też ją odwiedzałam, ale tam nie było tak luksusowo.

— Moja matka była w Tworkach?

— Przypomniało mi się, bo to przecież obok. Szłam od pociągu obok muru psychiatryka i przypominałam sobie wszystko tak dokładnie, jakby to było wczoraj.

— Nie wiedziałam, że była w Tworkach.

— Byłaś malutka. Byłaś w Kościelisku, u góralki.

— Dlaczego byłam w Kościelisku?

— Tam jest zdrowe powietrze. Chorowałam często na bronchit. To cię wyleczyło.

— Dlaczego była w Tworkach? Nie wiedziałam, że była chora psychicznie.

— Była zdrowa jak koń.

— To dlaczego tam była? Musi mi pani powiedzieć. Muszę to wiedzieć.

— Myślałam, że wiesz. Po prostu wolała iść do szpitala niż do więzienia. Ten jej kuzyn, Emil, załatwił to. Poznałam go właśnie wtedy,

w Tworkach. Fajny chłopak.

— Powie mi pani wreszcie, co się stało?

— Byłyście dwie. Ta druga urodziła się pół godziny po tobie. Nikt nie wiedział, że była jeszcze jedna. Gdyby wiedzieli, może by ją uratowali. A tak nic z tego nie wyszło. Żyła może piętnaście minut. Więc Renka poprosiła, żeby jej nigdzie nie wpisywali, i wzięła ją do domu razem z tobą.

— Znalazłam opaskę, którą założyli jej na rączkę.

— Zawsze tak robią. Ale do papierów nie wpisali. Nawet im było na rękę, ze względu na statystyki. Liczba martwych noworodków świadczy o poziomie służb medycznych.

— I co dalej? Co z nią się stało?

Kobieta patrzy na matkę i głaszcze ją po twarzy.

— Chyba powiemy jej, Renka, co? Już jest duża, prawda? Zrobiłaś małej trumnę z pleksi, prześlicznie wyglądała, noworodek zatopiony w pleksi jak w bursztynie. Przedtem ją zabalsamowałam, już nie pamiętam, zrobiłaś to sama czy ci ktoś pomógł. Stała u ciebie w pracowni. Mówiliśmy na nią Asia-Basia. Myślałaś, żeby ją dać na wystawę, uważaliśmy wszyscy, że to świetny pomysł, szczególnie jak byliśmy pijani. W końcu doniósł na milicję, ten, no, zapomniałam, jak się nazywał, wyglądał jak krewetka. Nie chciałaś mu dać, to się obraził. Wszystkim dawałaś, ale jemu nie chciałaś dać i już. Nie mógł tego zrozumieć. Ale uprzedził cię, że doniesie, i zanim przyszli, schowaliśmy Asię-Basię i wsadziliśmy cię do Tworek, bo ty od razu wszystko byś im wyśpiewała. No i nie znaleźli noworodka w pleksi, znaleźli tylko fotografie, ale nie były takie wyraźne, wszyscy mówili, że to lalka. Nikt nie sypnął, w końcu milicjanci zaczęli podejrzewać, że ten gnojek to wszystko zmyślił, a ty wyszłaś z Tworek, niby po wyleczeniu depresji. To były fajne czasy, co nie, Renka?

— A co się stało z moją siostrą?!

— Jaką siostrą? Nigdy nie miałaś siostry, dziecko. No, może przez piętnaście minut. To było dzieło sztuki. Nie bój się, nie zostało zniszczone. Sprzedaliśmy je. Po tym wszystkim pieniądze ci się przydały, co, Renka?

— Komu sprzedaliście?

— A skąd mam wiedzieć? Ktoś kogoś znał, ktoś to wywiózł za granicę. Na pewno gdzieś jest, w jakiejś prywatnej kolekcji, może kiedyś

wyplynie. Renka teraz jest znana, nie bój się, nikt tego nie wyrzuci, taka rzecz jest warta dużo pieniędzy.

Bibi wstaje i podchodzi do okna. Akurat jesień, więc park piękny.

— To straszne, co zrobiła. Jak mogła. Ona sprzeda wszystko, nawet umarłą córeczkę — mówi.

— Jesteś zazdrosna o tamtą, prawda? Myślisz, że twoja matka kochała ją bardziej niż ciebie? Może to i prawda. Taka była śliczna, leżała sobie w szklanej trumnie jak Królowna Śnieżka, na zawsze kochana i malutka. O to chodzi, dziecko? Nie myśl o tym, to było dawno. Teraz to tylko dobra historia. Może ją opiszę.

— Chce pani to opisać? Po co?

— Mówię przecież, że to dobra historia. Ale może zbyt dobra. Nikt nie uwierzy.

— A mój ojciec? Kto był moim ojcem?

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie jeden z tych licealistów, co biegali za Renką po wystawach. Po co ci jeszcze ojciec? Mało masz problemów z matką? Pójdę już, Renka. Zrobili z ciebie schludną staruszeczkę, siwe loczki i koraliki. Nigdy taka nie byłaś. Ale co to ma za znaczenie. Najważniejsze, że nie jesteśmy głodne. Pamiętasz, jak w obozie podarowałaś mi na urodziny szczoteczkę do zębów? Drewnianą, prawdziwą. Ciągle ją mam, jest na niej mój numer, 52372. Boję się myśleć, ile chleba musiałaś za nią dać. No, idę, pociąg mi ucieknie.

Matka siedzi wyprostowana, wpatrzona nieruchomym wzrokiem w drzewa za oknem. Kobieta całuje ją w czoło, wstaje i podchodzi do Bibi. Obejmuje ją i całuje, najpierw w jeden, potem w drugi policzek. Wychodzi z pokoju.

Bibi siada obok matki i bierze ją za rękę.

— Ślicznie wyglądasz, mamó — mówi.

Matka uśmiecha się, a może to mimowolny grymas. Z kącika jej ust spływa strumyczek śliny. Bibi wyjmuję chusteczkę i wyciera jej usta.

— Wiesz, mamó, nie wierzę jej — mówi po chwili. — Wymyśliła sobie tę Królowną Śnieżkę w trumnie z pleksi. Pisze bajki dla dzieci i wszystko jej się pomieszało, bajki z życiem, fikcja z prawdą. Nie zrobiłabyś czegoś takiego, prawda?

Za szybą, po gałęzi drzewa, spaceruje wiewiórka.

— Ślicznie tu — mówi Bibi. — Jak w Łazienkach. Byłyśmy kiedyś w Łazienkach, pamiętasz? Szłaś na jakąś wystawę do Pomarańczarni

i zabrałaś mnie ze sobą. Przeszliśmy przez całe Łazienki. Podeszła do mnie wiewiórka, bardzo blisko, ale nie miałam jej co dać. Jeden chłopiec karmił wiewiórki orzechami. Strasznie mu zazdrościłam. Następnym razem przywiozę trochę orzechów dla wiewiórek, chcesz?

Na ustach matki igra tajemniczy uśmiezek.



Cosmopolitan, Twarda 4, Warszawa 2016 (także s. 256)



## W szkole



ONA: Wiesz, ta Ania, ona uczy w czwartej klasie. Ona powiedziała mi, że jak mówi uczniom o Holokauście, to musi też opowiedzieć o Hiroszimie.

ON: A co jedno z drugim ma wspólnego?

ONA: Sama się zastanawiam. Może lubi rozwiązywać krzyżówki. No wiesz, poziomo albo pionowo, ludobójstwo na 9 liter, zaczyna się na H. Pasuje i Holokaust, i Hiroszima.

ON: Atak atomowy na Hiroszimę nie był ludobójstwem. To była wojna.

ONA: Przecież zabili od razu z 80 tysięcy. To co, to nie było ludobójstwo?

ON: Nie podpada pod definicję ludobójstwa.

ONA: Dziwna ta definicja. Ale nie powiesz, że Holokaust i Hiroszima nie zaczynają się od dużego H?

ON: Nie wiem, jakie są japońskie znaki.

ONA: Zawsze mnie zagniesz. A wiesz, o czy myślałam od dawna?

**ON:** Skąd mam wiedzieć?

**ONA:** O śmierci.

**ON:** Bardzo oryginalne.

**ONA:** *Hiroszima i Holokaust reprezentują dwa współczesne modele śmierci, oba bardzo popularne.*

**ON:** O co ci chodzi?

**ONA:** *No to zgadnij. Jedna szybka, błysk i już. Pikadon i po tobie. Zaskakuje cię w najmniej spodziewanym momencie. Jak wybuch Wezuwiusza. Druga powolna, degradująca, chudniesz, zmieniasz się, tracisz włosy, przyjaciół, twój świat zawęży się coraz bardziej, bywa, że lądujesz razem z takimi jak ty w zamkniętym miejscu. Od diagnozy mijają czasem lata. Albo do końca masz nadzieję, albo czekasz śmierci jak wybawienia.*

**ON:** *Sprytne. Śmierć na zawał i śmierć na raka. Śmierć w Hiroszynie i śmierć w getcie albo obozie. Ale to idiotyczne porównanie. Chyba przesadziłaś. Nie ma porównania. Japończycy to byli faszyci.*

**ONA:** *Kiedy myślę o śmierci, myślę najczęściej o jednej z tych dwóch. Nie wiem, którą bym wybrała.*

**ON:** *Nikt cię nie zapyta, jak przyjdzie co do czego.*

**ONA:** *Bo wiesz, Kazu mówiła mi, że w Japonii wyżej się ceni śmierć na raka. Podobno Japończycy myślą, że to lepsza śmierć, bo można wszystko przedtem załatwić, zamknąć różne sprawy, przygotować się...*

**ON:** *Tak? Oni są nienormalni! Nie chcę czekać i myśleć, że umrę. Wolę umrzeć na zawał, szybko, najlepiej we śnie. Nie lubię śmierci.*

**ONA:** *Więc już jesteś zdecydowany. Wybrałeś Hiroszimę. Ja jeszcze się zastanowię.*



# Epicentrum

## **Babka Tower. Scena 10**

*Bibi: brązowo-czarna sukienka COS 460 zł, czarne zabudowane pantofle Stuart Weitzman 1890 zł, srebrny pierścionek z sodalitem z kolekcji Palomy Picasso, Tiffany&Co. 335 US\$.*

*Janina: białe indyjskie pumpy 56 zł, czarna dresowa bluza z kapturem Nike 220 zł, robocze brązowe buty Blundstone 110 AU\$, obrączka z japońskich koralików Toho, biała z czarnym trójkątem, Dyndadło 70 zł.*

## Odłona 1

JANINA

Mąż chce, żebyśmy w przyszłym roku pojechali na wakacje do Norwegii. Chce kupić używaną przyczepę i pojechać aż do końca, na samą północ. Sześć tygodni. Całe szczęście, że nie ma już psa, nigdy nie lubił jeździć samochodem, a na tak długo nie mogłabym go zostawić. Dla mnie to też długo, nie wiem, czy dam radę.

BIBI

Dlaczego taka podróż miałaby być dla pani trudna?

JANINA

To strasznie mało miejsca, w samochodzie i przyczepie. Jak jesteśmy w domu, to mogę zawsze gdzieś iść, do pracy, do sklepu, na terapię. A tam nic takiego nie będzie. Dzieci ciągle się kłócą, a mąż patrzy na mnie jak pies. Nie mogę tego wytrzymać.

BIBI

Patrzy jak pies? Co to znaczy?

JANINA

Pies patrzył na mnie tak samo. Jakby miał poczucie winy.

BIBI

Pani mąż ma poczucie winy?

JANINA

Ostatnio tak. Od czasu, jak zerwał z kochanką.

BIBI

Kiedy to się stało?

JANINA

No, nie pamiętam. Jakiś czas temu.

BIBI

Nie mówiła mi pani. Dlaczego?

JANINA

Wolę rozmawiać o czymś innym.

BIBI

Mąż powiedział pani, że zerwał z kochanką?

JANINA

Jak mógłby mi o tym powiedzieć, skoro nigdy mi nie powiedział, że z nią jest? Żeby coś się skończyło, musi najpierw być.

BIBI

Jak się pani o tym dowiedziała?

JANINA

Zadzwoił brat i mi powiedział. Bardzo późno, było już po północy. Męża nie było, wrócił nad ranem pijany. Zwalił się w kuchni i zasnął z głową w szafie, na brudnej pościeli, którą miałam włożyć do pralki. Jak dzieci wstały, to ciągle tam leżał, cały zarzygany.

BIBI

To brat powiedział pani, że mąż zerwał z kochanką?

JANINA

No tak.

BIBI

A on skąd wiedział?

JANINA

Z fejsbuka.

BIBI

To było na fejsbuku?

JANINA

Mąż wyrzucił ją z grona znajomych. Jak brat zobaczył, że jej nie ma, to zaraz do mnie zadzwonił. Od razu sprawdziłam. Rzeczywiście wyrzucił.

BIBI

Nie mówiła pani nigdy, że zna pani kochankę męża.

JANINA

Bo nie znam. Nawet nie wiem, jak wygląda. Na fejsa wsadziła zdjęcie białego owczarka, bardzo elegancki, niebieskooki.

BIBI

I uważa pani, że to jest profil kochanki pani męża?

JANINA

Uważam? Tak jest. To nie było trudne, znaleźć ją. Ja i mąż jesteśmy znajomymi, prawda? Więc widzę jego znajomych. On ma ich ponad trzystu. Myślał, że łatwo jest ukryć kochankę.

BIBI

A nie jest to łatwe?

JANINA

Zależy. Można się postarać. Ale jak ktoś umie patrzeć, to zobaczy. Jak ojciec wyjeżdżał na obozy naukowe ze studentami, to potem pokazywał zdjęcia, takie zbiorowe, przed jakimś zamkiem albo kościołem. Bawiliśmy się z bratem w zgadywanie, którą studentkę poderwał. Nigdy nie pomyliliśmy się, chociażby stała jak najdalej i patrzyła w drugą stronę. Tak samo na fejsie. Są nawet już badania na ten temat, jeszcze chwila, a będzie można ściągnąć odpowiednią aplikację, która sama wynajdzie romanse. Jak się narysuje diagramy, to widać jak na dłoni.

BIBI

To interesujące, co pani mówi. Często porozumiewali się przez fejsbuka?

JANINA

Niby się nie porozumiewali. Wieszali jakieś bzdety, że ładne chmury albo co, że smutny dzień. Ale on zawsze lajkował, co ona napisała. Odwrotnie też. Istotne jest to, że prawie nie mieli wspólnych znajomych. Czytałam jakieś opracowanie na ten temat i wszystko się zgadzało. Najpierw ona przejawiała aktywność kilka razy dziennie, potem rzadziej. Aż ją wywalił i koniec.

BIBI

I co pani wtedy poczuła?

JANINA

Właśnie że nic. Nagle wszystko wydało mi się tak odległe, jakby dotyczyło jakiejś innej kobiety. Kogoś z filmu albo z książki.

BIBI

Ale przedtem marzyła pani o tym, prawda?

JANINA

Prawda. Gdy kiedyś wracałam z jakiegoś wyjazdu, to cały czas wyobrażałam sobie, że wejdę do domu i wszędzie będą stały kwiaty, a on powie, że zerwał z nią i chce być tylko ze mną. Ale kiedy wróciłam, to dom był pusty i był straszny syf, brudne naczynia sprzed tygodnia i wszystko śmierdziało. A mąż wrócił późnym wieczorem i spytał, dlaczego tu taki bałagan.

BIBI

I co pani wtedy powiedziała mężowi?

JANINA

Powiedziałam, że posprzątam jutro.

BIBI

Dlaczego? Czy zawsze sprzątanie należy do pani?

JANINA

To ja sprzątam i gotuję. Dzieci czasem pomagają.

BIBI

A nie chciałaby pani tego zmienić?

JANINA

Może. Ale kiedyś, jak byliśmy razem, to mi nie przeszkadzało.

BIBI

Nie jesteście już razem?

JANINA

Mieszkamy razem.

BIBI

A seks? Kocha się pani z mężem?

JANINA

No, tak. Czasem. Ale tylko po ciemku. Nie chcę, żeby mnie widział. Tamta była szczuplejsza.

BIBI

Nie sądzi pani, że pani relacja z mężem może się naprawić? Zdrada jest traumą dla obojga i może potrzebują państwo czasu, żeby się zbliżyć do siebie. Może powinni państwo przejść wspólną terapię.

*Janina patrzy na Bibi zaskoczona i nagle wybucha śmiechem. Śmieje się głośno i nie może przestać, zastaniając dłońmi usta. Wreszcie przestaje, zadyszana i zaczerwieniona.*

BIBI

Co panią tak rozśmieszyło?

JANINA

Właściwie to nie było śmieszne. Pomyślałam, jak by to było, gdybyśmy przychodzili tu razem, ja i mąż.

BIBI

I dlaczego śmiała się pani z tego?

JANINA

Nie z tego. Przypomniało mi się coś innego.

BIBI

A co to było?

JANINA

To nie ma nic do rzeczy.

BIBI

Nie wiadomo.

JANINA

Przypomniało mi się, jak dzieci przywiozły wszy z wakacji. Ja miałam najwięcej. Ale za nic nie chciałam obciąć włosów. Mąż całymi godzinami zdejmował mi gnidy z włosów. I cały czas rozmawialiśmy o nas, o naszym związku, z nudów. Wtedy byliśmy bardzo blisko. Potem już nigdy tak nie rozmawialiśmy.

BIBI

A gdyby teraz miała pani wszy? Obciąłaby pani włosy?

JANINA

Nie wiem. Może. Ale właściwie po co? Wszy to też robaki.



BIBI

Wszy nie są robakami. To są owady.

JANINA

Co za różnica. Wszystko to robale. Zjedzą nas i już.

BIBI

O czym pani mówi?

JANINA

Albo robale, albo popiół.

BIBI

Mówi pani o śmierci?

JANINA

Jeszcze można wyparować. Jak w epicentrum. Jeden błysk.

BIBI

A tamta historia z wszami... Nie chciałaby pani tak rozmawiać z mężem, jak wtedy gdy zdejmował gnidy z pani włosów?

JANINA

Już nie zależy mi na moich włosach. Mogłabym ogolić się na zero.



## **Odśłona 2**

*Bibi stoi na środku gabinetu z telefonem przy uchu. Mówi bardzo głośno, jest zdenerwowana.*

**BIBI**

To pomyłka, Adam. Samo mi się włączyło. Chciałam zadzwonić po hydraulika. Też ma na imię Adam. Nie myśl, że to złośliwość. Mówię, jak jest. Pozdrawiam. Cześć.

***Koniec sceny 10***

## Babka Tower. Scena 11

*Bibi: żółty sweterek Mexx 239 zł, szara wąska spódnica szyta na miarę, szare szpilki Sergio Rossi 1890 zł, bransoletka z kryształów Swarovskiego i żywicy Lewanowicz 1320 zł.*

*Suzuki: ciemnoniebieski garnitur Boss 2200 zł, półbuty Clarks 299 zł, biała koszula Wólczanka 149,90 zł, krawat bolo z drewnianą głową czarnego niedźwiedzia, kupiony na Hokkaido jako rękodzieło mieszkających tam Ajnów.*

SUZUKI

Rozmawiamy już prawie pół roku.

BIBI

To jest nasze 22. spotkanie. Jak pan się czuje?

SUZUKI

Czuję się dobrze. Ale ciągle jestem wariatem. Wstaję rano i patrzę na znicze. 382, jak zawsze. To nie znicze, tylko kolorowe słoiki. Muszę coś z nimi zrobić. Nie mogą tak stać w ogrodzie.

BIBI

Dlaczego?

SUZUKI

Bo to nie jest normalne. Ogród to nie cmentarz.

BIBI

Chciałby je pan wyrzucić?

SUZUKI

Nie mogę ich wyrzucić.

BIBI

A gdyby pan do każdego z nich włożył świeczkę i te wszystkie świece zapalił?

SUZUKI

No właśnie. To samo powiedziałem wczoraj. Bo wczoraj wieczorem przyszła do mojego pokoju Pola i powiedziała, że chce, żeby te znicze się paliły. Chcę zobaczyć światełka, powiedziała. I ja jej to obiecałem. Powiedziałem, że kupimy świece, powkładamy do lampek i zapalimy. A ona powiedziała, że będzie to wyglądało tak jak w tej książce *Hiroshima No Pika*. Bo tam jest opisane, jak w rocznicę wybuchu bomby atomowej rzeką płyną świecące lampiony.

BIBI

I co pan wtedy powiedział?

SUZUKI

Powiedziałem, że jest późno i musi iść spać. Ale ona powiedziała, że mam jej opowiedzieć bajkę o światełkach. Chciałem ją zanieść do jej łóżka, ale nie miałem siły. Czasem ją noszę, ale wczoraj nie mogłem. Położyła się na moim futonie i powiedziała, że nie ruszy się stąd bez bajki. To okropne dziecko, strasznie uparte. I sprytne. Mówiła do mnie po japońsku, nazywała mnie ojiisan. Więc opowiedziałem jej bajkę. Ale to wcale nie była bajka. Tylko tamta dziewczynka była wymyślona.

BIBI

Jaka dziewczynka?

SUZUKI

Miała na imię Wojna. Jak mogłem coś takiego wymyślić. Nie można dać dziecku takiego imienia. Może w Chinach, ale nie w Japonii. Ciągłe jestem wariatem, to dlatego.

BIBI

Proszę mi opowiedzieć tę bajkę.

SUZUKI

Pani? Po co? Czy ja przychodzę do pani, żeby opowiadać bajki?

BIBI

Proszę opowiedzieć. Chociażby streścić. Niedawno pracowaliśmy ze snami. Z bajką też możemy pracować.

SUZUKI

Dobrze. Powiem szybko. Tamta dziewczynka, Wojna, mieszkała w mieście nad siedmioma rzekami. To Hiroszima, ale nie powiedziałem tego. Ojciec dziewczynki kochał wojsko i broń, cały ten japoński militarizm czasów wojny, bo to działo się właśnie wtedy. Wojna też to lubiła, karabiny, miecze, maszerowanie, mundury. Uwielbiała to, marzyła, żeby Japonia zwyciężyła cały świat. Wtedy było dużo takich dziewczynek jak Wojna, nazywano je gunkoku shojo, dziewczynka militarnego kraju. Jej matka była inna. Nie znosiła broni, nawet na portret cesarza w mundurze i z szablą nie mogła patrzeć. I była surowa dla Wojny, tymczasem ojciec pozwalał jej na wszystko. Wojna kochała ojca, a matki nienawidziła. Był jeszcze mały braciszek. Jego też dziewczynka nienawidziła. Ojciec odpłynął na okręcie, żeby walczyć w morskich bitwach, i dziewczynka była z niego dumna. Potem zrobiło się bardzo źle. Nie było jedzenia, samoloty zrzucały bomby. Wojna strasznie tęskniła za ojcem. Była pewna, że Japończycy zwyciężą, a ojciec wróci obwieszony medalami. Była cały czas głodna, a dla jej małego brata zawsze było jedzenie. Pewnej nocy Wojna włamała się do spiżarni i zjadła wszystko, co tam znalazła. Rano matka chciała ją zabić, gonila ją z kijem, a Wojna uciekła na podwórze. Na niebie zobaczyła samolot, jeden samolot. Wojna zawołała do niego, żeby zabił jej matkę i brata. Zabij ich! Zabij ich! Zrzucić na nich bombę! — krzyczała, a samolot zrzucił bombę atomową i odleciał.

*Suzuki przestaje mówić, siedzi wyprostowany, nieruchomy.*

BIBI

To koniec?

## SUZUKI

Nie. Potem jest tak, jak naprawdę wtedy było. Najpierw jasno, potem ciemno. Potem nie było już nic, nie było domów, nie było ulic, nie było liści na drzewach. Wojna leżała na ziemi, obok matka z kijem. Matka już nie wyglądała na żywą. To, co zostało z domu, paliło się, a w domu było dziecko, młodszy brat. Wojna nie mogła się ruszyć, przywaliło ją coś ciężkiego. Krzyczała głośno, wołała swojego ojca. I ktoś przyszedł, uwolnił Wojnę i wziął ją na rękę. Ale to nie był ojciec, to był jakiś obcy, wielki mężczyzna z czarną twarzą. Niósł Wojnę i ona wszystko widziała. Ludzie szli jak zombi, z wyciągniętymi rękami, a skóra zsuwała się z ich rąk jak za duże rękawiczki. Trupy płynęły rzeką, rzeka była pełna trupów. Mężczyzna niósł Wojnę przez miasto, którego już nie było, żeby zobaczyła, co zrobiła. Bo to ona poprosiła samolot o bombę. Wojna krzyczała, że wcale tego nie chciała, ale to nieprawda, bo chciała. Nie wiedziała tylko, że to będzie tak. W końcu mężczyzna wszedł do szpitala i położył Wojnę na podłodze, obok innych ludzi. Niektórzy żyli, a inni nie żyli. Mężczyzna wreszcie coś powiedział, ale nie wiadomo co. Wojna nie zrozumiała ani słowa. Mężczyzna dotknął jej czoła i odszedł. Umarło wielu ludzi, ale Wojna przeżyła. Jej ojciec wrócił, ale już nie był taki jak przedtem. A Wojna zmieniła imię. Już nie chciała nazywać się Wojna. Wzięła sobie imię Pokój. Poszła nad rzekę, którą kiedyś płynęły trupy, a teraz płynęły światełka. Dziewczynka o imieniu Pokój zapaliła światełko i położyła je na wodzie. Teraz to już koniec.

## BIBI

Podobała się Poli ta bajka?

## SUZUKI

Tak. Najbardziej podobała jej się rzeka, którą płynęły trupy. Mówiłem, że to okropne dziecko. Ona też byłaby gunkoku shojo.

## BIBI

Mówił pan, że to nie jest bajka, tylko prawda. Czy ta dziewczynka, która miała na imię Wojna, istniała naprawdę?

## SUZUKI

Nie było jej. Ale mogła być mną. Bo czasem byłem dziewczynką. Gdy nie było ojca, matka ubierała mnie i czesała jak dziewczynkę. Nie chciała, żebym był chłopcem. Nienawidziłem jej za to. Ale teraz ją rozumiem. Nie chciała, żebym został żołnierzem, poszedł na wojnę i zginął. A ja ją zabiłem.

BIBI

Naprawdę pan tak myśli? Przecież to bomba atomowa zabiła pana matkę.

SUZUKI

Ja też ją zabiłem. Wołałem do samolotu „Zabij ją!”.

BIBI

Gdyby nie spadła bomba atomowa, mógłby pan przeprosić swoją matkę. A tak zginęła i nie mógł pan tego zrobić. Przecież nie zabiłby pan matki.

SUZUKI

Wcale tego nie wiem. Zabiłem kota. Najpierw zabijałem żaby, potem zabiłem kota. Ćwiczyłem się w zabijaniu. Chciałem zabić mojego brata. Byłem strasznym człowiekiem.

BIBI

Był pan dzieckiem.

SUZUKI

Myśli pani, że dzieci nie są ludźmi?

BIBI

Niech pan pomyśli o tej dziewczynce, która miała na imię Wojna. Potem zmieniła imię na Pokój. Zmieniła się i już była spokojna. Zapalała światełka i kładła je na wodzie. Pan też może tak zrobić. Zapalić swoje znicze i pogodzić się ze wszystkimi. Ze sobą też.

*Suzuki wstaje i zaczyna chodzić po gabinecie, od okna do drzwi*



*i z powrotem. Patrzy chwilę przez okno, potem znów idzie do drzwi, szybkim, sprężystym krokiem, pokonuje tę trasę z dziesięć razy. Podskakuje i obraca się w podskoku, wybucha krótkim śmiechem i siada z powrotem w fotelu. Bibi obserwuje go, nic więcej.*

SUZUKI

Nigdy się nie zrozumiemy, pani i ja. Pani ma to swoje przepracowanie, naprawianie relacji. A ja mam karmę. Karma to taki bank, gdzie każdy rewers leży do końca świata, dopóki nie zapłacę. Czego bym nie robił, i tak kiedyś przyjdzie do mojego domu komornik i weźmie, co mu się należy. Ale to wcale nie jest kara, niech pani tak nie myśli. To księgowość. Przychodzi rachunek i muszę zapłacić. Więc płacę. Komornik zabrał mi rozum, więc jestem wariatem. Z początku, jak tu przyszedłem, byłem zbyt smutny, żeby to zobaczyć, ale teraz widzę bardzo jasno. Mam być wariatem, to będę. Znowu pójdę na cmentarz i ukradnę wypalone znicze. Mogę być tylko zadowolony, że mogę zapłacić teraz, że nie będę umierał z tym długiem. Rozumie pani?

BIBI

Sądzi pan, że nasze rozmowy nic panu nie dają?

*Japończyk wstaje, macha rękami i wykrzykuje:*

SUZUKI

Ale co pani mówi! Czy ja tak powiedziałem? Jak to nie dają? To przez te rozmowy zobaczyłem prawdę! Już się nie wstydzę. Już nie jestem smutny. Smutek zasłania oczy i nic nie widać. Jestem wariatem, ale wiem, dlaczego jestem wariatem.

*Japończyk siada i wybucha śmiechem.*

SUZUKI

Ale się wygłupiam. Nie przeszkadza mi to. Niech mój syn mówi, że jestem cmentarną hieną. Trudno. Ma pani tyle cmentarzy dookoła, widać to z góry. Po terapii pójdę na cmentarz. Może nawet ukradnę jakiś znicz

do mojej kolekcji. Lubię rozmowy z panią. To trochę jak walka. Mówmy dalej.

*Bibi patrzy i nic nie mówi. Potem uśmiecha się.*

BIBI

A tamten człowiek z bajki, który uratował dziewczynkę... Jak pan myśli, kogo on symbolizuje?

SUZUKI

Siebie samego. Był dokładnie taki sam jak w bajce. Strasznie wielki, miał czarną twarz i kręcone czarne włosy. Nie był Japończykiem. Miał bardzo zielone oczy. Mówił w obcym języku. Zaniósł mnie do szpitala i odszedł.

BIBI

Więc to prawdziwa postać. Nie sądziłam. Spotkał go pan jeszcze kiedyś?

SUZUKI

Nigdy go już nie spotkałem. Przez wiele lat myślałem o nim bardzo często. Czasem wydawało mi się, że widzę go z daleka, w tłumie, na dworcu, na ulicy, w szybie wystawy. Biegłem bardzo szybko, ale to nie był on. Nie wiem nawet, czy był człowiekiem. Może był duchem. Albo bogiem.

BIBI

Słyszałam o kimś podobnym, kto uratował dziewczynkę w Hiroszynie. To był Polak. Znam kogoś z jego rodziny. Miał na imię Daniel.

SUZUKI

Myśli pani, że to on?

BIBI

Nie wiem. Może.

SUZUKI

Mówiłem, że to karma. Musieliśmy się spotkać. Jakbym nie był wariatem, tobym do pani nie przyszedł.

BIBI

On już nie żyje.

SUZUKI

No tak. A mógłbym porozmawiać z tym kimś z jego rodziny? Chciałbym wyrazić wdzięczność. Moi synowie i moje wnuki też na pewno chcieliby wyrazić wdzięczność. On ocalił nas wszystkich. Polę też, chociaż ona ma dopiero 5 lat.

BIBI

Może to będzie możliwe, nie mogę obiecać. Mówiono mi, że został pochowany na cmentarzu ewangelickim.

SUZUKI

Wiem, gdzie jest cmentarz ewangelicki. To trochę dalej, ale nie bardzo daleko. Ten cmentarz też widać z pani okna.

BIBI

Podobno na jego grobie jest napisane, że jest hibakusha. Tak słyszałam.

*Suzuki zrywa się z miejsca, wyciąga z kieszeni pieniądze, dwa banknoty i mówi, trzymając je w ręku.*

SUZUKI

Tak? To dobra wskazówka. Będę szukał. Jak znajdę jego grób, to zapalę znicze. Przyrowadzę wnuki. Razem zapalimy. Dam im zapałki i sami zapalą. Spodoba im się to, oni uwielbiają zapalać zapałki, a Pola najbardziej. Musimy zapalić znicze... Przepraszam, pani ma dla mnie jeszcze 10 minut, ale muszę już iść. Przepraszam.

*Kłania się nisko i wręcza Bibi banknoty, kłaniając się, wycofuje się tyłem*

*do drzwi, wzuwa buty, posługując się łyżką wyjętą z kieszeni, i wychodzi, mamrocząc słowa pożegnania.*

*Bibi zapala papierosa i wychodzi na balkon. Stoi przy barierce i pali. Podnosi rękę, jakby chciała zamachać, ale w połowie gestu rezygnuje. Stoi i patrzy, prawdopodobnie obserwuje z góry Suzukiego, który przecina skrzyżowanie i skręca w Okopową.*

***Koniec sceny 11***

## **Babka Tower. Scena 12**

*Janina: czarny, płócienny prochowiec H&M 249 zł, szyty na miarę czerwony garnitur, czarne, wysokie motocyklowe buty Rossi Boots 208 AU\$, optyczne okulary w czarnej oprawce Gucci 184 US\$. Na szyi, na czarnym rzemieniu zaśniedziały mosiężny owalny medalion z japońskimi znakami — nieśmiertelnik japońskiego oficera z okresu Meiji 109,55 US\$ na eBayu (prawdopodobnie podróbka).*

*Bibi: wzorzysta sukienka Kaaskas 540 zł, szafirowe krótkie botki na obcasie Sergio Rossi 2550 zł, minimalistyczny złoty naszyjnik z różowym turmalinem Beller 2000 zł, czarna skórzana torba Cinnamon Cocoon 553 €.*

## Odłona 1

*Tym razem scena została obrócona o 180 stopni. Na pierwszym planie jest balkon, za nim przeszklone drzwi do gabinetu, dalej, w perspektywie, drzwi wejściowe. Drzwi otwierają się i Janina z rozmachem wkracza do gabinetu. Jest ubrana w czarny, długi prochowiec. Bibi stoi tyłem do widowni, Janina wyciąga do niej rękę w geście powitania, Bibi z ociąganiem, trochę zdziwiona, bo do tej pory tak się nie witały, podaje jej swoją, a Janina nagłym ruchem wykręca jej dłoń i prowadzi przed sobą do drzwi balkonu. Bibi jest bezwolna i przerażona. Dopiero teraz widać różnicę gabarytów: przy Bibi Janina jest wielka jak Gwendoline Christie w Grze o Tron.*

JANINA

Tylko nie wrzeszcz. No, wyłaż. Jak krzykniesz, to polecisz.

*Janina puszcza rękę Bibi i zastania sobą wejście do gabinetu. Strząsa z siebie płaszcz. Sięga do włosów i zdejmuje je swojej głowy, jakby zrywała skalp, rzuca go do tyłu, na podłogę w gabinecie.*

*Teraz ma czarne, króciutkie włosy. Ma na sobie czerwony kostium, krótki żakiet, bryczesy i czarne wysokie buty.*

JANINA

Teraz sobie zapalimy.

*Janina wyjmuje paczkę marlboro gold i częstuje Bibi. Wyjmuje zapalniczkę. Przypala najpierw sobie, potem Bibi. Palą. Napięcie wyparowało, wyglądają jak dwie kobiety palące na balkonie.*

BIBI

Wyrzuci mnie pani? Jak pani brat kochankę ojca?

*Janina milczy. Pali.*

BIBI

Nie znoszę marlboro. Jak to ma być mój ostatni papieros... Nawet nie posadziłam kwiatków w tej donicy...

*Bibi pochyla się nad donicą w rogu balkonu, obok, na podłodze, leży okrągły kamień.*

JANINA (*spokojnie*)

Stop.

BIBI

Co się dzieje? O co pani chodzi? Proszę mnie wpuścić do gabinetu.

JANINA

Cicho bądź. Słuchaj.

*Janina sięga do kieszeni i wyjmuje okulary w cienkiej, czarnej oprawce. Zakłada je i rozgląda się dookoła. Zaciąga się papierosem.*

JANINA

Kochaliście się w gabinecie. Potem piliście wino na balkonie. Widziałam was. Stałam tam, po drugiej stronie ronda, pod murem cmentarza. Daleko, ale miałam dobrą lornetkę. Jak siedzieliście na balkonie, to was widziałam. Albo wychodziłaś na balkon sama, owinięta kołdrą. On pewnie spał. Lubi przespać się po seksie. Wiesz, jak mam na imię?

BIBI

Janina. Podglądała mnie pani?

JANINA

Podglądałam mojego męża, Adama. Jestem żoną Adama. Wcale nie miał na imię Benedykt. Przecież to wiesz. Naprawdę mam na imię Julia. To też wiedziałaś, co nie?

BIBI

Julia.

JANINA

Adam był dobry w łóżku?

BIBI

Zerwaliśmy ze sobą. Jakiś czas temu.

JANINA

Wiem, że zerwaliście. Wal się, skurwielu. Tak mu napisałaś. Fajny esemes jak na taką elegantkę. Widziałam na jego ajfonie.

BIBI

Co pani chce zrobić?

JANINA

Nie udawaj, znasz mnie. Byłam wtedy w pubie, gdy zobaczyłaś Adama pierwszy raz. Nie dałaś mi zatłuc pajaka. Obrończyni zwierząt. Szedł po barze, chciałam go walnąć gazetą, a ty przykryłaś go szklanką i powiedziałaś, że nie zabija się pajaków. A Adam, że nie dobija się koni. Głupek. Wzięłam go pod rękę i wyszliśmy.

BIBI

Wiedziała pani, że spotykałam się z pani mężem? Skąd pani wiedziała?

JANINA

Jego ajfonik wszystko mi mówił. Mój mały szpieg. A fejsbuk? Ostatecznie jesteśmy znajomymi, Adam i ja. Z tobą też mam wspólnych, choćby Konrad, w końcu kliknęłaś. Jestem pod panińskim, nie wiedziałaś. Pisałaś, że poszłabyś na spacer, a po półgodzinie on wylatywał z domu jak oparzony. Nawet nie chciało ci się używać prywatnej poczty, wieszalaś i już.

BIBI

Przyszła pani do mnie na terapię tylko dlatego, że miałam romans z pani



mężem? Czy też liczyła pani na coś? Że pani pomożę?

JANINA

Pomóc! Powinnaś. Za te pieniądze. Ja tyle samo biorę za godzinę. Ale ty siedzisz sobie wygodnie i uczynasz pogaduszki, a ja muszę zapanować nad trzydziestką dzieciaków.

BIBI

Lubi to pani? Sprawia to pani satysfakcję?

JANINA

Tym razem nie dostaniesz kasy, więc się nie wysilaj.

BIBI

A więc terapia nie pomagała pani?

JANINA

W czym niby miała mi pomóc?

BIBI

To proces długotrwały. Powinnyśmy jeszcze popracować.

JANINA

Jeszcze? Przecież chodzę tu już półtora roku. Wszystko miałam zaplanowane, od razu. Te nasze rozmówki nic nie zmieniły. Chociaż lubiłam rozmawiać o Janinie. Szłam i wymyślałam, co powiem. Wolałam Janinę od siebie. I lubiłam patrzeć na obrazy, które tu wiszą. Jakbym wchodziła do galerii. Ten, który dałaś Adamowi na Gwiazdkę, *Samobójczyni*, też lubię. Wisi w sypialni, budzę się i patrzę na niego.

*Bibi rzuca swojego papierosa do donicy i podnosi rękę, jakby chciała pomachać, dać znak komuś siedzącemu na widowni.*

*Janina skacze w stronę Bibi. Stoi blisko, znów wykręca jej rękę, przypiera*

*do ściany.*

JANINA

Nawet nie próbuj! Nie ruszaj się!

BIBI

Co pani chce zrobić?

JANINA

Boisz się, co?

BIBI

Proszę, nie... Niech pani się zastanowi. To brat jest pani problemem. Swoją edypalny stosunek do matki rozciągnął na panią. A pani...

JANINA

Przecież nie mam brata. Zawsze chcieliśmy mieć brata, starszego, marzyliśmy o nim, siostra i ja.

BIBI

Tak? Rozumiem. Wie pani, to ciekawe. Jest taka terapia, nazywa się Second Life Therapy. Terapeuta prowadzi terapię z awatarem pacjenta w świecie wirtualnym, w Second Life. Można powiedzieć, że Janina była pani awatarem, prawda? Chociaż nie, lepiej naszą terapię przyrównać do słynnej Terapii Szpiega. Ta nazwa pochodzi od pewnego szpiega niemieckiego, który działał w Ameryce podczas wojny pod fałszywym nazwiskiem. Miał wymyśloną osobowość i wymyślone wspomnienia. Miał lęki. Próbował różnych sposobów, w końcu poszedł na analizę, z tym że przedmiotem analizy była jego zmyślona osobowość i zmyślone wspomnienia z dzieciństwa. I to zadziałało, wyleczył się. Tylko jego sny nie były zmyślone.

*Janina uśmiecha się. Napięcie opada.*

JANINA (*cicho i spokojnie*)

Moje sny też były prawdziwe. Hiroszima jest prawdziwa. Fukushima jest prawdziwa.

BIBI

Właśnie. Wiem, kogo uratował pani dziadek w Hiroszynie. To japoński mistrz karate, mieszka tutaj od dawna. Może nawet pani go zna. On wyglądał jak dziewczynka i pani dziadek myślał, że jest dziewczynką. On chce panią poznać i podziękować. Wyrazić wdzięczność, tak powiedział.

*Janina wybucha śmiechem.*

JANINA

Co ty gadasz? Nie oszukasz mnie, Beatrycze. Takie rzeczy się nie zdarzają.

BIBI

On nazywa się Suzuki.

JANINA

A dlaczego nie Mitsubishi?

*Patrzą sobie w oczy, nie wiadomo jak długo. Janina puszcza rękę Bibi.*

JANINA

Widziałam film o Agacie Christie. Jej mąż rzucił ją dla sekretarki. A wtedy ona chciała popełnić samobójstwo, ale wymyśliła coś takiego, żeby wszyscy myśleli, że to ta sekretarka ją zabiła. Chciała się zabić i wrobić tamtą. Dobry pomysł, co nie?

*Odwraca się i wolno podchodzi do barierki. Patrzy na publiczność jak na powietrze. Bibi rzuca się w stronę drzwi, wbiega do pokoju. Janina cały czas stoi bez ruchu.*

*Bibi delikatnie, bezdźwięcznie zamyka balkon. Stoi za szybą i patrzy.*

*Janina, opierając prawą dłoń o barierkę, unosi się w górę, lekko i z gracją. Przeskakuje przez barierkę. Spada, już jej nie ma.*

*Bibi wciąż stoi bez ruchu. Wydaje się, że chce wybiec na balkon. Ale nie robi tego. Stoi.*



## **Odsłona 2**

*Przez szybę drzwi widać Bibi. Gabinet jest jaskrawo oświetlony.*

*Bibi wciąż stoi za zamkniętymi drzwiami balkonowymi i patrzy na balkon.*

*Gest, jakby wracała z niebytu. Rozgląda się. Widzi leżący na podłodze płaszcz Janiny. Podnosi go i ogląda. Wkłada go na siebie. Widzi perukę leżącą na podłodze. Podnosi ją i strzepuje. Podchodzi do drzwi prowadzących na balkon i przegląda się w nim jak w lustrze, twarzą do widowni.*

*Wkłada perukę, poprawia ją. Związuje płaszcz paskiem. Zawija rękawy. Przypatruje się sobie. Bierze torbę leżącą na parapecie, wieszka ją na ramieniu. Przegląda się jeszcze przez chwilę. Przeczesuje palcami rude włosy peruki, jakby to były jej włosy. Odwraca się, robi kilka kroków w stronę drzwi wyjściowych. Wyciąga rękę i gasi światło. Ciemno. Słychać odgłos zatrzasniwanych drzwi.*

**Koniec dramatu *BABKA TOWER***

Bibi stoi nieruchomo i patrzy przez okno na balkon. Widzi sylwetkę kobiety w czerwonym kostiumie na tle deszczu i chmur.

Kobieta opiera prawą dłoń o barierkę.

*Unosi się w górę*

*Lekko i z gracją*

*W czerwonym kostiumie*

Przeskakuje przez barierkę. Znika.

Czy to możliwe, żeby w jednej sekundzie rozważyć wiele możliwych zachowań i wybrać najbardziej optymalne? W głowie Bibi, jak na przyspieszonym filmie, przesuwają się sceny: oto ona, znana psychoterapeutka, tłumaczy się publicznie z faktu, że jej pacjentka skoczyła z balkonu jej gabinetu. Potem wychodzi na jaw, że ta pacjentka była żoną jej kochanka. A oto Bibi stoi przed sądem, oskarżona o morderstwo żony swojego kochanka, bo do tego też może dojść. Na szczęście w żadnych zapiskach Bibi nie ma śladu Julii, bo przecież tutaj była Janina. O ile nikt nie widział jej skoku, ale to jest mało prawdopodobne. I najlepiej, aby również Bibi nie było w tym czasie w gabinecie. Na szczęście w tym wieżowcu nie ma żadnej kamery, lokatorzy ich nie chcieli ze względu na zachowanie prywatności, mieszka tu sporo znanych ludzi, a zdjęcia z kamer są łakomym kąskiem dla tabloidów.

Jest tylko portier w holu. Bibi przyjechała samochodem i wjechała windą prosto z garażu, więc jej nie widział. Mogłaby w ten sam sposób opuścić wieżowiec, ale mógłby zostać jakiś ślad w automacie sterującym szlabanem przy wyjeździe z garażu. Po drugie, weszła tutaj Janina i prawdopodobnie portier ją zauważył, trudno nie zauważyć takiej kobiety. A zatem nie należy przejmować się Bibi, wyszła dziś na lunch przez garaż i nie wróciła już do pracy, ale jest jeszcze Janina, przecież rudowłosa Janina powinna opuścić budynek, aby wszystko się zgadzało. Bibi nie jest pewna, czy jej rozumowanie nie ma żadnych luk, ale przynajmniej wie, czego ma się trzymać. Musi wyjść stąd jako Janina i pozbyć się rzeczy, które Janina tu pozostawiła. I Janina może dać Bibi alibi, zaświadczyć, że jej tu nie było. Na szczęście Janina była dziś ostatnią pacjentką.

Od tej chwili wszystkie gesty Bibi są celowe i precyzyjne, oszczędne i spokojne. Podnosi z podłogi płaszcz i perukę. Wkłada płaszcz, na głowie mocuje perukę. Płaszcz sięga jej niemal do kostek. Związuje go paskiem, zawija rękawy. Przed lustrem poprawia perukę. Bierze torbę, telefon zostawia na stole.

Rozgląda się uważnie po pokoju. Nie, Janina nie zostawiła tu torebki, widocznie jej nie miała. Wyjmuje klucze. Działa jak automat, nie myśląc, dlaczego to robi. Wychodzi, pomijając alarm, zamyka drzwi na klucz, idzie w stronę windy. W windzie staje przed lustrem i patrzy na swoją twarz w aureoli włosów Janiny. Przyciska obie dłonie do boków, do kieszeni płaszcza. W jednej wyczuwa telefon, w drugiej też coś jest, pewnie portfel. I klucze.

Potem idzie powoli przez hol, stukając obcasami. Portier w budce przy bramie patrzy w telewizor.

— Nie widział pan pani psycholog z szesnastego? Byłam umówiona, czekałam i czekałam pod drzwiami. Była dziś? — pyta Bibi.

— Nie wiem, nie widziałem. Ona często wjeżdża windą prosto z garażu. No widzi pani, a tak pani się bała, że się spóźni. To dziwne, że jej nie ma, skoro się umówiła.

Nie poznał jej, wziął ją za Janinę. A przecież kłania się jej zawsze, często wymieniają uwagi. Czy tak łatwo się ukryć? Czy ludzie są ślepi?

Gdy wychodzi z bramy, od strony ronda słyszy sygnały karetek. Idzie w przeciwną stronę. Pada deszcz. Bibi naciąga na głowę kaptur płaszcza, chowa pod nim rude włosy Janiny. Na światłach przechodzi przez ulicę.

Oko kamery nad wejściem do Arkadii widzi kobietę w czarnym kapturze. Bibi jest już w Arkadii. Idzie alejką w lewo i skręca do toalety. Wchodzi do kabiny. Tutaj nie powinno być kamer. Zsuwa kaptur i zdejmuje perukę. Rozgląda się. Kosz na śmieci to niewielka skrzynka wisząca na ścianie, peruka się nie zmieści. Chowa ją do torby. Zdejmuje płaszcz. Przy kapturze jest metka z H&M-u. Opróżnia kieszenie płaszcza. Telefon, mała, wsuwana nokia, nie jest zablokowany, więc Bibi może go wyłączyć. Telefon, portfel i klucze też lądują w torbie, przedtem dokładnie wytarte chusteczką.

Bibi wkłada płaszcz, spuszcza wodę, wychodzi z kabiny i zanim zacznie myć ręce, zdejmuje płaszcz i kładzie go na umywalni. Patrzy w lustro. Czeka chwilę, ale wciąż ktoś wchodzi lub wychodzi, więc nie może zostawić tu płaszcza. Zabiera go i wychodzi. H&M jest

kilkadziesiąt kroków dalej, nikt tam nie sprawdza, ile rzeczy wnosi się do przymierzalni. Bibi przechodzi wśród ubrań dla dzieci, wjeżdża schodami na górę, do działu damskiego, powoli, nie spiesząc się, wybiera kilka bluzek i sukienek, wszystkie są czarne. W boksie w przymierzalni ktoś zostawił dwa puste wieszaki. Na jednym Bibi wiesza płaszcz Janiny. Ogląda ubrania, które wniosła, mierzy długą sukienkę. Wychodzi z boksu i wszystkie ubrania, razem z płaszczem Janiny, wiesza na drążku, na którym wiszą już inne. Uśmiecha się do dziewczyny, która składa rzuconą przez kogoś bluzkę. Wychodzi, ogląda wystawy. Następny duży sklep,

Peek & Cloppenburg, pod ścianą skromna ekspozycja Versace Collection, zaledwie kilka wieszaków na drążku. Bibi ogląda zielony płaszcz z cienkiego tworzywa, z szerokimi rękawami. Natychmiast zjawia się sprzedawczyni, pyta, w czym może pomóc.

— Owszem, chcę go zmierzyć. Proszę mi doradzić. Od godziny już krążę wokół niego, pewno potwornie drogi, ale w końcu, no cóż, chcę go zmierzyć.

Bibi patrzy w lustro i na moment zapomina o tym, co się stało. Jakby uszyto ten płaszcz specjalnie dla niej.

— Świetnie pani wygląda.

— Nie sądzi pani, że te rękawy są zbyt obszerne?

— Nie, skądże. To model wzorowany na japońskim kimonie.

— Może pani go zmierzy, popatrzę na niego. Jesteśmy takie same, prawda?

Bibi piętnaście minut droczy się ze sprzedawczynią, trzy razy podkreślając, ile to już czasu krąży wokół tego płaszcza. Wie, że są tu kamery, ale świadectwo świadka też ma znaczenie. Może nie przechowują długo obrazów z monitoringu. W końcu mówi „No, wezmę, namówiła mnie pani” i to samo zdanie powtarza przy kasie, dokąd sprzedawczyni zanosz płaszcz. Po drodze, idąc za sprzedawczynią, bierze jeszcze z jakiegoś stolika błękitne rękawiczki z jedwabiu. Pasują.

Płaszcz kosztuje 4599 złotych, rękawiczki 220. Karta Bibi ma limit 1000 złotych, więc daje złotą kartą matki, która teraz należy tylko do niej.

Podpis ćwiczyła już w czasach szkolnych, więc jest nie do odróżnienia. Kasjerka odcina metki, aby Bibi od razu mogła włożyć płaszcz i rękawiczki.



— Świetnie na pani leży. Pięknie — mówi kasjerka.

Płaszcz rzeczywiście jest świetny. Bibi nigdy w życiu nie miała takiego płaszcza.

Przystanek naprzeciw Arkadii. Deszcz już nie pada, wyszło słońce i odbija się w mokrej ulicy.

Bibi wsiada w 33. Tramwaj przejeżdża przez rondo i znów staje. Przez okno widać tłum ludzi, policyjną karetkę i żółte taśmy zagradzające kawałek chodnika. Jakaś kobieta skoczyła z dachu, mówi głośno starsza pani, która razem z Bibi wsiadła do tramwaju. Pewnie nic z niej nie zostało, ten dom ma ze trzydzieści pięter, dodaje inna.

Siedzi po lewej stronie wagonu, na skośnie umocowanym krzeselku, i patrzy w okno. Widzi przesuwane się domy i ulice, ale wciąż pod powiekami ma sylwetkę Janiny na tle deszczu i chmur.

— Chciałaś mnie zrobić, głupia kurwo — mówi cicho, ze złością. — Ale byłaś na to za głupia.

Wychodząc z Arkadii, kupiła w Lukullusie wielką słodką bułkę. Teraz, nie wyjmując jej ze swojej torby i manipulując dłońmi w rękawiczkach, wsuwa do papierowej torebki z bułką portfel oraz telefon Janiny. Zmieściły się, portfel nie jest duży, to właściwie portmonetka. Bibi wyjmuje bułkę w papierowej torebce i wysuwa ją do połowy. Je, odrywając kawałki palcami obciążonymi w jedwabne rękawiczki, aby nic, nawet maleńkie DNA, nie mogło jej łączyć z resztą bułki. Przystanek Dworzec Centralny. Bibi podnosi się z krzeselka, chowa bułkę do papierowej torebki, strzepuje okruchy z płaszcza, wysiada z tramwaju, idzie w stronę schodów, papierową torebkę z bułką, portfelem i telefonem wrzuca do cementowego pojemnika na śmieci.

Ilekcroć przejeżdżała tędy, zawsze ktoś w nim grzebał. Teraz nie ma przy nim nikogo, ale zaraz ktoś się zjawi, to rewir szperaczy, nurków.

Owinięte w papierową chusteczkę klucze Janiny lądują w koszu na Emilii Plater, pod Dworcem Centralnym.

Jeszcze peruka. Ale ta na razie pozostanie w jej torebce.

Ulicę Emilii Plater zamyka długi i wąski szaroniebieski pasek —

wieżowiec Cosmopolitan. Za kilka minut Bibi naciśnie kod na tabliczce i wejdzie do holu. Jadąc windą, wyjmie z torby klucze i po chwili otworzy drzwi swojego mieszkania. W progu zsunie z nóg pantofle i upuści torbę na podłogę. Nie zdejmie płaszcza. Wchodząc do salonu, spojrzy przelotnie na swoje odbicie w wielkim lustrze.

Stanie przy oknie. Niebo zaróżowi się, poczerwienieje, potem zacznie ciemnieć i tracić kolor i blask. A w dole, jak ogromne, szumiące jezioro, rozleje się miasto — najeżone domami, zakratowane ulicami, z rojami wściekłych samochodów krążącymi tam i z powrotem. Bibi zaciągnie się elektronicznym papierosem i z jej ust wydostanie się obłoczek pary wodnej, jakby tam, w tamtym mieszkaniu na trzydziestym trzecim piętrze, panowało śmiertelne zimno.

Ale może tak się nie stanie. Może Bibi nie znajdzie się w tamtej chwili w swoim mieszkaniu z bardzo prozaicznego powodu: nie będzie miała kluczy, z niemożliwej do wyjaśnienia przyczyny w ręku będzie trzymała klucze nie swoje, ale Janiny, a klucze do jej mieszkania będą leżały w koszu na śmieci przed dworcem. I co w takiej sytuacji zrobi? Zwróci się o pomoc do portiera? Nie, wcale tak nie musi się stać, może zjedzie na dół windą i wyjdzie szybko z budynku. Ale po co? Czyżby zamierzała wydobyć swoje klucze z betonowego kosza wypełnionego opakowaniami po ulicznym jedzeniu? Aby zdecydowała się na grzebanie w śmietniku, prawdopodobieństwo jest niewielkie. Nie skieruje się więc w stronę dworca, przejdzie skosem przez plac Defilad, do Marszałkowskiej, potem podziemnym przejściem do Złotej. Warecką wejdzie na swoje dawne podwórko, aby popatrzeć w okna mieszkania, do którego również nie ma już kluczy. Brak zasłon w oknach, puste pokoje i drabina oparta o ścianę — nowi właściciele nie dokończyli jeszcze remontu. Bibi postoi tu jakiś czas, a potem przejdzie przez bramę na Nowy Świat. Tam zawaha się, iść w prawo czy w lewo, jednak pójdzie w lewo, w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Tymczasem niebo zacznie tracić blask, a zyskiwać głębię. Zapalą się latarnie. Bibi będzie szła powoli. Naprzeciwko uniwersytetu zatrzyma się na chwilę przy księgarni naukowej, przebiegając wzrokiem przez tytuły książek. Pójdzie dalej, a gdy znajdzie się przy Hotelu Europejskim, przez chwilę będzie można odnieść wrażenie, że ma zamiar wejść do baru Przekąski Zakąski, z którego wylewa się na ulicę tłumek

palących. Ale zatrzyma ją obraz za wielką szybą: przy długim bufecie pod oknem będzie siedziało kilka osób nad kieliszkami i talerzykami, jedną z nich będzie Adam, obok niego wysokie krzesło zajęte tylko przez szary płaszcz przewieszony przez oparcie, sugestia, że to Adam zajął to miejsce i na kogoś czeka. Bibi będzie patrzeć na Adama, ale on nie będzie jej widział, będzie miał opuszczoną głowę i oczy wlepione w ekran ajfona: nadrealistyczny, jaskrawy obraz w jasnym wnętrzu, widziany przez okular fotoplastikonu. Bibi odwróci się gwałtownie, jakby nie chciała zostać rozpoznana. Po drugiej stronie ulicy, pod Pałacem Prezydenckim, zobaczy kilka osób z krzyżem, uliczny performans, żywy obraz, pomnik. Kilka kobiet, krzyż, mężczyzna czytający z kartki. Pourywane słowa, dobiegające poprzez szum miasta. Bibi, idąc ku nim na skos przez ulicę, wyjmie z torby perukę. Gdy dojdzie do celu, będzie już wyglądała zupełnie inaczej.

Mężczyzna w jasnej wiatrówce, stara kobieta w kurtce z wielkim logo Pумы, młodzieniec w okularach, niska, drobna dziewczyna z warkoczami, wyglądająca na gimnazjalistkę, chuda, długowłosa, siwa kobieta, trzymająca krzyż z listewek. I jeszcze jedna, z burzą rudych loków, w eleganckim zielonym płaszczu z szerokimi rękawami. Niedługo będzie północ, a oni wciąż stoją pod czujnym spojrzeniem wartownika chroniącego Pałac Prezydencki. Mężczyzna czyta z kartki po dwa, trzy słowa, a pozostali skandują refren: módl się za nami.

Róžo duchowna. Wieżo Dawidowa. Wieżo z kości słoniowej. Domie złoty. Arko Przymierza. Bramo niebieska. Gwiazdo zaranna.



## Na targu śniadaniowym

**ONA:** Wczoraj w bibliotece na Koszykowej poprosiłam o zszywkę „Życia Warszawy” z 1945 roku. Otworzyłam na 6 sierpnia, ale nic tam nie było, bo nie mogło być. Dopiero następnego dnia napisali, wielkie czarne litery: Bomba atomowa o potwornej sile wybuchowej. A poniżej, mniejszymi: Skonstruowana w Ameryce. Siła niszczycielska takiej bomby równa się sile bomby zwykłej o wadze 2000 ton. Lotnicy amerykańscy zrzucili bombę atomową na bazę japońską Hiroszima.

**ON:** Po co ci była ta stara gazeta?

**ONA:** Po nic. Chciałam tylko zobaczyć, jak to jest otworzyć gazetę i przeczytać, że właśnie gdzieś zrzucili bombę atomową. Przecież mogą rzucić. Północni Koreańczycy albo jacyś terroryści.

**ON:** I jak było?

**ONA:** Normalnie. Strasznie wielka płachta to „Życie Warszawy”. I papier gruby. Taki sztywny.

**ON:** Dziś przeczytałabyś to na fejsie. Albo na titterze. W telefonie. Zobaczyłabyś na instagramie.

**ONA:** No właśnie. Masz rację. Ale zdziwiło mnie, że nic specjalnego nie poczułam. Jakby to była normalna wiadomość. Ale potem, w nocy, miałam sen.

**ON:** Jaki sen?

**ONA:** Śniła mi się Hiroszima. Byłam tam z moim byłym mężem. Były dzieci i pies, ten, którego uspiliśmy. Siedzieliśmy na wysokiej górze nad miastem. Było też mnóstwo nieznanymi mi ludzi, w większości Japończycy, całymi rodzinami siedzieli na trawie. Mój były mąż położył mi rękę na kolanie. Widzieliśmy z góry całe miasto, wszystkie siedem rzek, mnóstwo kościołów i pałaców, szerokie aleje i parki. Chyba było jakieś święto, bo wszędzie powiewały chorągwie i było okropnie jasno, jakby włączyli reflektory. Przytuliłam do siebie dzieci, zasłaniając im oczy, bo to światło naprawdę było zbyt mocne. Ale sama patrzyłam.

**ON:** Ładny sen.

**ONA:** Piękny. No i jak się obudziłam, to dalej myślałam o Hiroszynie. Wstałam i usiadłam przy komputerze. Wpisałam „Hiroshima” w ramkę

gugla. Ukazały się czarno-białe zdjęcia: wypalone miasto, grzyb atomowy, poparzeni ludzie, trupy, sterta czaszek, no i ta śliczna aktorka, Emmanuelle Riva, z filmu *Hiroszima, moja miłość*, jedyne fajne zdjęcie. Potem weszłam w mapę i chodziłam po ulicach Hiroszimy. Ulicą wyłożoną kwadratową kostką jechała na rowerze dziewczynka. Miała czarne półbuty i czarne skarpetki, czarną spódnicę, czarne włosy i białą bluzkę z długimi rękawami. Rower był szary i miasto było szare, na bagażniku roweru leżał różowy plecak. Ten różowy plecak mnie pocieszył, już nie myślałam o tamtych strasznych zdjęciach. Poszłam kilka kliknięć dalej i zobaczyłam wejście do szkoły, stojak z rowerami, inną dziewczynkę z tornistrem wchodzącą przez szklane drzwi. A może to nie była szkoła? Skwer, skrzyżowanie, kobieta niosąca zakupy i kobieta z dzieckiem. Nie było dużo ludzi, ale jednak byli, głównie kobiety, jechały na rowerach albo szły piechotą. Jedna starsza kobieta niosła nad sobą srebrny parasol. Nie padał deszcz ani nie świeciło słońce. Skręciłam w szeroką ulicę, tam było więcej samochodów i jechał zielony tramwaj. Stary, z numerem bocznym 651, pamiętam. Domy były jak w innych miastach, tak samo kładka nad ulicą i drzewa. Gdyby nie napisy, których nie było tak wiele, nie wiedziałabym, że jestem w Japonii. Google zamazuje twarze i wyraźnie widać ludzi tylko z tyłu. Mężczyzna w czarnym garniturze i z czarną teczką, inny w jasnych spodniach i białej koszuli. Przed wejściem do sklepu stały automaty z napojami. I wisiał dziwny plakat, właściwie dwa takie same plakaty. Czarna dłoń trzymająca jakiś czarny kształt, liść albo granat. Weszłam do sklepu i wyszłam z drugiej strony, znalazłam się w pasażu handlowym, uliczce przykrytej szklanym dachem. Tu już było więcej japońskich napisów. Wyszłam na wielki plac i nagle zaświeciło słońce, samochody i ludzie rzucali cienie. Znow jechał zielony tramwaj, przed wejściem do sklepu stały w doniczkach zielone rośliny. Kobieta z koronkową parasolką, mężczyzna w krawacie, z telefonem przy uchu. Mogłabym tak chodzić do rana, idąc za strzałkami, jak kiedyś na wakacjach, gdy bawiliśmy się w podchody. Ale chciałam się wyspać. Położyłam się i nic już mi się nie śniło.

ON: Kawa z mlekiem?

ONA: Z kokosowym. I bajgla z marchewkowym humusem. Proszę.



Janek Twardowski, Bajka o Wojnie, kredka, 31 stycznia 2014

# Podziękowania

Dziękuję:

– wszystkim, którzy czytali tę książkę w różnych stadiach jej powstawania, a szczególnie Marii Dąbrowskiej-Majewskiej i Johannie Rubinroth — konstrukcja tej powieści jest efektem ich uwag.

– Racheli Rubinroth, psychoanalizy, a także mojej siostrze, za konsultowanie moich bohaterów,

– sahyumowi Januszowi Gutkowskiemu, mistrzowi taekwondo, za wejście w postać pana Suzukiego i opowieść o jego szaleństwie,

– redaktorowi Tomkowi Fiałkowskiemu za wnikliwość,

– redaktorce Agnieszce Trzeszkowskiej za fajne pomysły,

– oraz mojemu mężowi, Markowi Zalejskiemu, za jego nieustanną gotowość do czytania i omawiania każdego fragmentu, który napiszę; a także za opracowanie graficzne tej książki.

– Specjalne podziękowania należą się Marii Kaniewskiej i Lidii Pańków, które ubrały aktorów występujących w dramacie Babka Tower, a także Adzie Kordys i Natalii Myers, które dokończyły dzieła, ozdabiając ich biżuterią.

Ceny podane w didaskaliach nie muszą odpowiadać aktualnej rzeczywistości.

Cytaty z filmu Hiroszima, moja miłość pochodzą ze ścieżki dźwiękowej w tłumaczeniu Małgorzaty Wegner.

Bajka, którą pan Suzuki opowiada swojej wnuczce Poli, została oparta na mojej książce Bajka o Wojnie, Wydawnictwo Bajka, Warszawa 2015.



Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadzący: Anna Salwa  
Redakcja: Tomasz Fiałkowski  
Korekta: Ewa Hartman, Joanna Krystyna Radosz  
Projekt okładki: Joanna Strękowska  
Projekt graficzny wnętrza książki, fotoedycja, skład i łamanie: Marek Zalejski

### **Autorzy zdjęć**

Joanna Rudniańska:  
Okolice Pałacu Prezydenckiego, Warszawa, 11 kwietnia 2010  
Na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie, 2017  
Pod Pałacem Prezydenckim, Warszawa, lipiec 2010  
Cosmopolitan, Twarda 4, Warszawa 2016  
Centrum handlowe Arkadia, Warszawa 2017

Bettmann / Getty Images: Pierwsze zdjęcie w rozdziale *Babka Tower. Scena 7*

Reginald Kenny / Bettmann / Corbis / Getty Images: Drugie zdjęcie w rozdziale *Babka Tower. Scena 7*

John Springer Collection / Corbis / Getty Images: Emmanuelle Riva i Eiji Okada w filmie w reż. Alaina Resnais'go

### **Autorzy ilustracji**

Marek Zalejski: Południowa Kreta, akryl i ekolina na papierze akwafortowym, 30x15 cm, oprawa drewno + szkło

Janek Twardowski: Janek Twardowski, Bajka o Wojnie, kredka, 31 stycznia 2014  
Joanna Rudniańska – na początku rozdziałów I-IX

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel./faks (22) 828 98 08, 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6106-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**